

STEPHEN BAXTER

ANTYLOD



BAXTER STEPHEN

Antylod

(Anti-ice)

STEPHEN BAXTER

tłumaczył: Paweł Korombel

Matce poświęcam

Podziękowania

Pragnę, by podziękowania przyjęli: Eric Brown i Alan Cousins, którzy przeczytali wersje robocze książki; David S. Garnett, który entuzjastycznie ocenił pomysł powieści; moja agentka, Maggie Noach, wydawca Malcolm Edwards oraz zespół redakcyjny w HarperCollins za ciężką pracę przy tym przedsięwzięciu.

Prolog

List do ojca

Przedpole Sewastopola,

7 lipca 1855 roku

Drogi Ojcze,

zaiste nie wiem, jakimi słowami powinienem zwrócić się do Ciebie, Ojcze, po haniebnym występku, który wygnał mnie za próg rodzinnego domu. Liczyłem każdy dzień, który upłynął od tamtej chwili, i jeśli nie dałem znaku życia, to usprawiedliwia mnie pieczęć wielkiego wstydu, która zamknęła mi usta. Gdy pomyślę, iż Ty, Matka i Ned mniemacie, jakobym tułał się po zakątkach Anglii bez pensa przy duszy, mając tylko widmo bliskiego zgonu za towarzysza, wina ciężkim kamieniem gniecie mi pierś.

Jednak, proszę Ojca, miłość i obowiązek sprzysięgły się z nadzwyczajnymi wydarzeniami ostatnich dni, kazały ująć w dłoń pióro i przerwać milczenie. Ojcze, żyję, jestem zdrow i cały, i służę sprawie imperium w kampanii krymskiej jako żołnierz XC Kompanii Piechoty! Rozpaczynam tę relację, siedząc w szczątkach rosyjskich fortyfikacji, dwuramniku nazywanym przez Francuzów – Ząbek, a składającym się z niepozornych, acz starannie usypanych wałów wzmocnionych workami z piaskiem – przed ruinami Sewastopola. Nie wątpię, że już te wieści wprawiają Cię w nie lada zdumienie – i ośmielam się żywić nadzieję, iż Twoje serce zadrży, poruszone wyrokami losu, które przesądziły o moim przetrwaniu – atoli, drogi Ojcze, musisz być gotowy na opisy daleko bardziej zdumiewających zdarzeń, które zamierzam Ci przedstawić. Niewątpliwie czytałeś w „The Times” telegramy Russella o doszczętnym rozbebeszeniu sewastopolskiej fortecy przez infernalny

pocisk antylodowy niejakiego Travellera. Proszę Ojca, byłem świadkiem tego wszystkiego. To, że przeżyłem, traktuję w obliczu spoczywającego na mnie wiecznego potępienia jako niczym nie zasłużony dar od Boga, ponieważ wielu chwatów – Francuzów i Turków, Anglików nie wspominając – wyzionęło ducha wokół mnie.

Winienem Ci wyjaśnienia co do mych losów od chwili opuszczenia Leśnego Ustronia, tamtego mrocznego dnia minionego roku, i co do tego, w jakich okolicznościach przybiłem do tego odległego wybrzeża.

Jak wiesz, zabrałem ze sobą tylko parę szylingów. Przenikała mnie odraza do samego siebie, paliła hańba. Postanowiwszy odpokutować swój grzech, udałem się koleją napowietrzną do Liverpoolu i tam zaciągnąłem się do pułku. Zgłosiłem się do szeregu jako prosty żołnierz. Oczywiście, nie stać mnie było na wykupienie patentu oficerskiego, a zresztą i tak postanowiłem się ukorzyć, zmieszać z ludźmi najniższego autoramentu, bo tylko tym sposobem mogłem zmazać swój grzech.

Tydzień po przybyciu do Liverpoolu wysłano mnie do Chatham i spędziłem tam kilka miesięcy, kształtowany na żołnierza imperium. Następnie, oddając los swój w ręce Pana Naszego, w styczniu tego roku zgłosiłem się na ochotnika do służby czynnej, mając w perspektywie wyprawę na Krym.

Kiedy czekałem na okręt transportowy, przekonany, iż śmierć niewątpliwie wypatruje niecierpliwie mojej niegodnej osoby na dalekich polach Krymu, z całego serca pragnąłem napisać do Ciebie, lecz nawet w obliczu tak tuzinkowego obowiązku opuściła mnie odwaga – chociaż nie zabrakło mi jej potem, kiedy wokół mnie toczyły się najstraszliwsze rzezie, jakie człowiek tylko jest sobie w stanie wyobrazić – i opuściłem Anglię, nie odezawszy się słowem.

Podróż do Bałakławy ciągnęła się piętnaście dni, a po kilkudniowym marszu drogą północną znaleźliśmy się w obozie sprzymierzonych rozłożonym pod Sewastopolem.

Zechciej, proszę, łaskawie przeczytać opis sytuacji, którą tam zastałem. Co prawda główne wydarzenia kampanii szczegółowo zrelacjonowali korespondenci pokroju Russella, być może jednak zainteresuje Cię pogląd zwyczajnego piechociarza – gdyż za takiego się uważam i czerpię z tego tytuł do chwały – jak ja.

Ojcze, wiadomo, dlaczego się tu znaleźliśmy.

Nasze imperium opasuje świat. Wiążą je nici szlaków komunikacyjnych: drogi bite, drogi żelazne, drogi kolei napowietrznej i drogi morskie.

Car Mikołaj, wypatrując portu nad Morzem Śródziemnym, wpierw skierował chciwe spojrzenie na upadające imperium ot-tomańskie. Zagroził samemu Konstantynopolowi – i naszym szlakom do Indii. Niebawem sponiewierał tureckiego

żołnierza na łądzie i morzu, tak więc z Francuzami u boku wyruszyliśmy na wojnę z Rosjaninem.

Rozpoczęliśmy ją pod dowództwem lorda Raglana, niegdyś podkomendnego samego Wellingtona na polach Waterloo. Ojciec, widziałem raz na własne oczy tego wielkiego dżentelmena, jadącego przez nasz obóz na naradę z francuskim współdowodzącym, Canrobertem. Proszę Ojca, widząc Raglana tamtego dnia, sztywnego, jakby kij połknął, na grzbiecie stąpającego dostojnie siwka, z pustym rękawem ukrytym w palcie (Francuzi odstrzelili bowiem naszemu wodzowi ramię do łokcia), lustrującego nas tym swoim wielkopańskim, znużonym, acz zawsze jastrzębim wzrokiem, którym przeszywał ongi samego Bonapartego – zaprawdę, nie byłem jedyny, który darł gardło na jego cześć i ciskał czapkę pod niebiosa!

Ale od dnia przybycia nieraz obili mi się o uszy pogłoski wymierzone w naszego wodza.

Z głową nabitą wspomnieniami dawnej chwały, wyniesionej z walk przeciwko Korsykaninowi, ponoć zwykł nazywać Rosjan „Francuzami”! I, oczywiście, szemrano przeciwko jego sposobowi prowadzenia kampanii. Cokolwiek gadano, nasze pierwsze starcie z Rosjanami pod Almą, dobre dziesięć miesięcy temu, było zwycięskie. Daliśmy żołnierzom cara tęgiego łupnia. Z tego, co się słyszy, było to nie lada widowisko. Siły sprzymierzonych tworzyły las mundurów, rozświetlony błyskami bagnatów, podczas gdy uszy rozrywał niebывały tumult, bębny i trąbki wszelkiego rodzaju, a wszystko to niesione na nie kończącej się fali brzęku i warkotu maszerujących armii. Mamy tu zucha, który opisuje szarżę drugiego pułku dragonów szkockich. Ich wielkie czapy z niedźwiedziego futra płynęły nad szeregami wroga, gdy walczyli ramię przy ramieniu, tnąc i siekąc kogo popadło...

Żałuję tylko, iż nie dane mi było zakosztować tak przedniej zabawy!

Ale po Almie Raglan nie wykorzystał wiktorii, nie siadł Rosjanom na karki.

Być może przegonilibyśmy ich aż na piaski Krymu, a potem sprzątnęli z półwyspu i świętowali Boże Narodzenie w domu! Ale sprawy przybrały inny obrót i znasz ich bieg: wielkie bitwy pod Bałakławą i Inkermanem, hekatomba zacnej Lekkiej Brygady pod earlem Cardiganem. (Ojciec, niech dodam, iż na początku maja zdarzyła mi się okazja przejechać sławną doliną Bałakławy, prawie do stanowiska Rosjan, których bateria była celem Brygady. Ziemia pstrzyła się od kwiatów, ciepłych i złotych w promieniach zachodzącego słońca, okrywających rdzę na gęsto leżących pociskach z sześciocalówek i kawałkach gilz. Znalazłem koński czerep, całkiem obrany z mięsa i skóry, z którego życie wyciekło wylotem kuli. Nie natrafiliśmy na żołnierskie szczątki. Ale słyszałem, że pewien żołnierz widział ludzką szczękę – całą, wybielałą, z idealnie równymi zębami).

W każdym razie Rosjanie wylizali się i do świąt zaszyli w sewastopolskiej fortecy.

Musisz wiedzieć, Ojcze, że Sewastopol to ich wielka baza morska. Gdybyśmy ją zdobyli, wszelkie zagrożenie wiszące nad Konstantynopolem rozwiązałyby się natychmiast i śródziemnomorskie ambicje cara spaliłyby na panewce. A tak zalegliśmy tu w wielkiej liczbie i oblegaliśmy miasto od świąt, zdani na saperów, drążenie podkopów, kładzenie min i sypanie okopów.

Lecz wszystko to były – tak mi się przynajmniej wydawało – istne kpiny, a nie oblężenie. Rosjanie amunicji mieli, ile dusza zapagnie, a że my w żaden sposób nie mogliśmy zamknąć blokady morskiej, okręty cara niemal co dnia dowoziły oblężonym prowiant!

Jednak Raglanowi ani się śniło wyrzucać szturmem Rosjan z ciepłego gniazdka. Uznał, że jedyny sposób to czekać cierpliwie w okopach i zagłodzić ich na śmierć. I, oczywiście, z uporem odrzucał wszelkie sugestie, aby spożytkować broń antylodową; uważał, że człowiekowi honoru nie wypada sięgać po tego rodzaju nowomodne potworności.

Tak więc tylkośmy czekali i czekali...

Mogę jedynie podziękować dobremu Stwórcy, że okazał mi tę łaskawość i chociaż zupełnie nie zasłużyłem na taki zbieg okoliczności, przysłał mnie już po najsroźszych okrucieństwach zimy. Chłopcy, którzy przeżyli to wszystko, opowiadają rzeczy, od których włos się jeży. Letnie miesiące okazały się łaskawe, a jakże, i nietrudno było o kęs dobrego jadła i furaz dla koni, a czasu starczało nawet na zabawę w krykieta i chociaż nie obyło się bez najrozmaitszych improwizacji, trzymano się zasad, jak się patrzy! Ale zima zamieniła drogi i okopy w błotne rozlewiska. Jedyne schronienie oferował dach namiotu – a i to nie wszystkim – i jeśli już komuś nadarzyła się okazja zmrużyć oko, to w lodowatym błocie po kolana. Nawet oficerowie cierpieli haniebne męki; ponoć musieli nosić szable w okopach, bo inaczej nie rozróżniłbyś ich od prostych szeregowców! Ojcze, zaiste była to poniewierka, nie żołnierka.

I, oczywiście, zjechała do nas z portu w Warnie jaśnie pani cholera i nie było takiego zakątka obozu, do którego by nie zajrzała. Panie Ojcze, epidemia cholery to nie kaszka z mleczkiem, bo człek w przeciągu kilku godzin z junaka przemienia się w mizerny cień, a następnego dnia ląduje w dole z innymi zwłokami. To, że te zuchy zachowały dyscyplinę i dobry humor w tych okolicznościach, wiele mówi o ich zaletach ducha i śmiem twierdzić, że zwykły Anglik trzymał się znaczenie lepiej niż Francuziki, chociaż docierały do nas plotki, że zaopatrzenie sprzymierzeńców jest o niebo lepsze.

Ale względem aprowizacji mam własne zdanie, proszę Ojca. W mojej ocenie Francuzi lepiej umieją się znaleźć, kiedy niedostatek żywności zagląda im w oczy, niż

Anglicy! Sprzątnij Anglikowi ze stołu pieczeń wołową i kufelek piwka, a tylko pogdera, legnie i wyzienie ducha. Tymczasem te Francuziki... Niejaki kapitan Maude, zażywny chwąt (później odprawiony do domu, kiedy szrapnel eksplodował pod brzuchem jego konia i po-szatkował nogę jeźdźcowi), opowiadał nam, jak to raz zaprosił go na kolację francuski poruczniczek. Kiedy nasz Maude zbliżał się do namiotu tamtego zucha, błogie wonie pysznego żarełka połaskotały mu nozdrza, uszy oczarowały dźwięki muzyki operowej, a oczy olśniła biel obrusu rozłożonego pod płachtą namiotu. Wyobraź sobie, że zaserwowany posiłek składał się z całych trzech dań! Kiedy Maude wynosił pod niebiosa gościnność gospodarza, zdumiał się usłyszawszy, że te wszystkie smakołyki to jedynie parę garści fasoli umiejętnie przyprawionych mieszanką ziół rosnących w pobliżu!

Niech mnie kule biją!

Mnie samemu jednak trudno narzekać na warunki, odbiegały bowiem od tego, co musiał znosić przeciętny Anglik w czasach mojego przybycia. Kwaterowałem w chacie wzniesionej przez pluton Turków. Codziennie na stół wjeżdżała porcja solonej wołowiny i suchary. Prawda, żalosne menu w porównaniu z tym, czym rozpieszczano nas w ojczyźnie, ale trudno rzec, żeby to była porcja głodowa. Co zaś się tyczy trunków, to już doprawdy nie można się było uskarżać. Piwo trafiało się z rzadka i było horrendalnie drogie – ale nie siarczyste trunki. Jest tu na przykład odmiana trucizny, którą zwą „rakija”, a którą pędzi miejscowe chłopstwo. Nieraz zdarzało mi się wiedzieć żołnierzy, w tym również noszących szlify, rozpaczliwie szukających godnej postawy po zmierzeniu się z paroma szklaneczkami zdradzieckiego płynu; takie zachowanie, oczywiście, nie było tolerowane. Niech przypomnę, jak to pewnemu zuchowi w naszej kompanii powinęła się noga, bo chociaż wyśmienity był z niego żołnierz i chłop na schwał, dobre sześć stóp cielska bez butów, to lubił tego popić. Karny apel jest zawsze wczesnym rankiem, przed całym regimentem; wtedy mróz ściał powietrze i wiał przenikliwy wiatr. Naszemu żołnierzowi przywiązano przeguby i kostki u nóg do solidnego trójkąta zbitego z drewna i obnażono go do pasa. Dobosz pracował dziewięcioramiennym pieścidełkiem, a tamburmajor liczył razy. Ojczce, ten zuch wytrzymał ich pięć tuzinów i ani nie pisnął, chociaż strumyki krwi trysnęły już po pierwszej dwunastce. Kiedy było po wszystkim, wyprężył się i zasalutował kapitanowi.

–To dopiero ciepłe śniadanko, panie kapitanie, serdeczne dzięki – rzekł, po czym odprowadzono go do lazaretu.

Wierz mi, Ojczce, lub nie, ale od tamtego nieszczęsnego dnia, w którym opuściłem Twój dom, nie zakosztowałem ani kropli trunku.

Teraz – wreszcie niemal słyszę Twój płacz! – opiszę Ci wielkie wydarzenia ostatnich kilku dni i jeśli łaskawie nakłonisz ucha, zakończę, zdając sprawę ze stanu mojego ducha i ciała.

Sewastopol to port wojenny nad Morzem Czarnym. Wyobraź więc sobie rozległą zatokę ciągnącą się od zachodu ku wschodowi i miasto rozłożone szeroko po jej południowej stronie. Jest podzielone na dwoje drugą, tym razem wąską zatoką, która wrzyna się na jakieś dwie mile w głąb lądu.

Ma to ten praktyczny skutek, Ojczy, że do zdobycia miast potrzeba dwóch armii. Siły atakujące jedną stronę nie mogą zaoferować wsparcia pozostałym, gdyż uniemożliwia im to zatoczka. Stąd też my i Francuzi rozłożyliśmy się osobno – oni po lewej, Brytyjczycy po prawej.

Obrona Rosjan jest – czy była – z pozoru skromna, ale zajmowali wyższe pozycje, ufortyfikowane z woli samej natury. Wspomniałem już o Ząbku, obsadzonym siedemnastoma ciężkimi działami.

Pamiętam, jak pewnego dnia zbliżyłem się milę do miasta, zamierzając przyjrzeć się okolicom. Ze wzgórzka roztaczał się widok na znakomite okręty wojenne Rosjan, spoczywające niczym szare upiory w zatoce, i na mieszkańców Sewastopola przechadzających się bez żadnej obawy ulicami miasta, jakby sto czterdzieści tysięcy żołnierzy oblegających port było tylko snem. Ale forteca, która spoglądała w dół na nasze pozycje, nie była żadnym snem. Wielkie czarne lufy lustrowały mnie ze strzelnic, a kiedy okazałem zbyt dużą śmiałość, podniósł się obłoczek dymu i kula przeleciała z sykiem nad moją głową; tamci bowiem bardzo dobrze wstrzelali się w cel i trzymali w szachu całe przedpole.

Wspomniałem już, że oblężenie ciągnęło się przez wiele miesięcy i sporo ludzi, zniecierpliwionych brakiem postępu, pomrukiwało, że lord Raglan, żyjący dalekimi wspomnieniami i przyzwyczajony do tradycyjnych metod prowadzenia operacji, nie ma dość giętkiego umysłu, aby rozwiązać problem Sewastopola.

Z początkiem maja dało znać o sobie podobne niezadowolenie w kręgach dowódczych. Dołączyła do nas grupa oficerów, wyraźnie świeżo przybyłych z Anglii, gdyż ich epolety błyszczą jasno. Przewodził im generał James Simpson, zażywny dżentelmen o srogim spojrzeniu. Był z nimi cywil, dziwaczny jegomość mający pięćdziesiąt lat, wysoki na sześć stóp, obdarzony krogulczym nosem i gęstymi, smolście czarnymi bokobrodami. Na głowie nosił niebotyczny cylinder, który przydawał mu jeszcze cztery stopy. (Krażyła legenda, że zabłąkany strzał Ruskich – jeden z tych, które nieustannie powalały kogoś z naszych – któregoś dnia przeszył na wylot to nakrycie głowy, ale nasz dżentelmen zdjął je, spokojny nad podziw, obejrzał dokładnie szkodę i obiecał, że po powrocie do Anglii wezwie do sądu carską ambasadę, domagając się zwrotu kosztów cerowania!) Jegomość ostrożnie brnął przez błoto, zaglądał do okopów i przypatrywał się inwalidom i rannym, a wszyscy widzieli jego zaaferowanie i troskę.

Mam nadzieję, że z mojego opisu rozpoznasz sławnego sir Josiaha Travellera,

autora tych wszystkich cudów inżynierii, które przysporzyły wielkiej chwały manchesterskim przemysłowcom. Ale na ile mi wiadomo, urządzeń antylodowych nigdy wcześniej nie wykorzystywano podczas działań wojennych.

No cóż, sir Josiah przybył na półwysep we własnej osobie, służyć nam radą w tej właśnie sprawie.

Oczywiście, nie znalazłem się w gronie, które naradzało się po przybyciu Travellera, i z konieczności moja relacja opiera się na zasłyszanych wieściach. Generał Simpson, gorący zwolennik użycia nowego pocisku Travellera, optował za jak najszybszym wykorzystaniem wynalazku. Ale Raglan był temu z gruntu przeciwny. Czy stary książę sięgnąłby po diabelskie urządzenia tego rodzaju, ten sam książę, który zakazywał nawet używać bata przeciwko niepoprawnym moczymordom? (Takie pewnie argumenty wygłaszał Raglan). Nie, panowie, nie sięgnąłby, i lord Fitzroy Raglan nie zaaprobuje podobnego sprzecznego z naturą działania. Tradycyjne metody oblężenia, udoskonalone przez stulecia, nie mogą zawieść i nie zawiodą w tym miejscu.

No cóż, słowa Raglana spotkały się z poklaskiem i zaplanowano atak na fortecę.

Lecz tak się składa, Ojcze, że wystarczała już niewielka znajomość sztuki oblężniczej, aby zrozumieć, iż porywamy się z motyką na słońce. Zdobywanie takiej fortecy, jak Sewastopol z odsłoniętymi skrzydłami, przy niewielkiej przewadze liczebnej, bez wielkokalibrowych dział oblężniczych i wsparcia, było wręcz rozpaczliwym przedsięwzięciem. Niemniej jednak osiemnastego czerwca, po dziewięciu miesiącach wyczerpującego i bezowocnego oblężenia, oddziały sprzymierzonych podjęły się tego wyczynu.

Nasze bombardowanie zaczęło się dwa tygodnie wcześniej. Ojcze, pociski z dział i karabinów latały nad naszymi głowami nocą i dniem, a Rosjanie odpowiadali nam pięknym za nadobne. Nie ściągając munduru z grzbietu, tuląc karabin do piersi, prawie nie zmrużyłem oka podczas całego przygotowania artyleryjskiego. A jakby hałas dział nie wystarczał do zniszczenia spokoju naszych umysłów, żołnierze cara z całym zapalem zasypywali nasze pozycje trzydziestodwufuntowymi pociskami, jakby to były piłki krykietowe, we dnie, jak i w nocy, tak że o spaniu nie było nawet mowy!

W końcu wczesnym rankiem osiemnastego usłyszeliśmy trąbki i bębny wzywające do ataku. Wydaliśmy niezbyt zgrany okrzyk – pamiętaj, Panie Ojcze, że wtedy po raz pierwszy dane mi było skosztować smaku prawdziwej bitwy – i wystawiłem swój głupi łeb z okopu, żeby lepiej widzieć, co się dzieje.

Jako pierwsi ruszyli w dymach wystrzałów i oparach mgły Francuzi, depcąc zsiekaną ziemię. Rosjanie tylko na nich czekali i galijskie zuchy legły pokotem, niczym podcięte kosą; następne szeregi wpadły na powalonych i niebawem rozpętało

się prawdziwe piekło. Obawiam się, Ojczy, że część dzielnych Galów oddała życie w tym całym chaosie z winy źle prowadzonego ognia sprzymierzonych.

W końcu dostaliśmy rozkaz do natarcia. Ruszyliśmy, strzelcy, po zrytym błocie, okrzyki paliły nam gardła, a odblaski słońca na zjeżonych bagnietach wskazywały drogę. Biegliśmy na najświetniejszą rosyjską redutę – Ząbek; mieliśmy osłaniać oddział, który niósł drabiny i worki z wełną, żeby wspiąć się na kamienne ściany dwuramnika. Wypaliłem z mojego karabinu i przez kilka chwil ogień bitewny płonął mi w żyłach!

Na nieszczęście Rosjanom ani było w głowach tańczyć do naszej melodii.

Pozostali w fortyfikacjach i zasypali nas najbardziej morderczym gradem z kartaczy i karabinów, jaki można było sobie wyobrazić. Ojczy, nigdy nie pojmę, jakim cudem przeżyłem tamto natarcie, gdyż wszędzie wokół mnie padali i nie wstawali lepsi niż ja żołnierze. W końcu zahaczyłem obcasem o miękką krawędź leja po pocisku; poleciałem na brzuch i wylądowałem na dnie leja. Ogień kartaczowy Rosjan zasłonił mi światło słońca. Wciskałem się w błoto, wiedząc, że wychylić nos w tamtej chwili, to szukać pewnej śmierci.

Mam nadzieję, że wierzysz mi, Ojczy, iż to nie tchórzostwo kazało mi przywrzeć do ziemi. Kiedy tam leżałem, w nozdrzach mając smród krwi i kordytu, a w duszy wściekły gniew, ślubowałem sobie, że kiedy tylko będę mógł, podejmę atak i drogo sprzedam młode życie.

W końcu wygramoliłem się z mojego schronienia i do wtóru gwizdu kul, z karabinem w dłoniach, pobiegłem przed siebie.

Przywitał mnie najbardziej niesamowity widok, jakiego mógłbym się spodziewać.

Długie drabiny oblężnicze zasłały równinę jak patyczki, a pośród nich spoczywały trupy żołnierzy – niektóre całe, inne pokawałkowane, zasnute dymem strzelniczym i zarzucone odłamkami pocisków. Tylko jedna drabina jakimś cudem zdołała wesprzeć się o wyniosłą ścianę reduty; drużyna, która ją doniosła, zastygła u dołu w błotnistej mazi – splątany kłęb rąk i nóg. A rosyjskie armaty spoglądały wyniosłe z każdej strzelnicy.

Zagrała trąbka do odwrotu i pokuśtykaliśmy do okopów, odprowadzani świeżym gradem kul kartacznych naszych niegościnnych gospodarzy.

Tak zakosztowałem po raz pierwszy prochu, Ojczy, i kiedy tego wieczoru spocząłem na posłaniu, nękały mnie poważne wątpliwości. Bo jak usprawiedliwić równie absurdalne natarcie i śmierć tak wielu świetnych żołnierzy?

Nastał ponury tydzień. Między namiotami i chatami ciągnęły szeregi dwukółek,

przyjmowały naszych biednych rannych i podskakując, odwoziły ich do szpitala, trzy mile w głąb wybrzeża.

Straszliwe krzyki i szlochy unosiły się w powietrzu.

A kanonada rosyjskiej artylerii nie dawała nam spokoju dniami i nocami, jakby szydząc z porażki i bezradności.

Niemniej niepokojące były pogłoski o awanturach, które wybuchły wśród dowództwa. Obrady toczyły się na okrągło i nieraz widziało się jakiegoś wyniosłego dżentelmena, jak wynurza się z kwatery lorda Raglana i przemierza obóz wielkimi krokami, płonąc gniewem na pobliznionych policzkach, trzaskając białymi rękawiczkami o tańczącą pochwę szabli. Kilka razy widzieliśmy tego inżyniera, Travellera, przemierzającego kłusem obozowisko do namiotu Raglana, dźwigającego pod pachą tajemnicze plany i inne rysunki. Tak więc zdawaliśmy sobie sprawę, że w końcu zaczęto rozważać użycie tej dziwnej substancji – antylodu.

Ale sam lord Raglan nie ukazał się ani razu.

Wyobrażałem sobie tego dżentelmena, Ojczy, z twarzą zmartwiałą, choć ściągniętą bólem, głową pełną wspomnień o Waterloo i Żelaznym Księciu, w oku huraganu szykan i oskarżeń.

W końcu, dwudziestego siódmego czerwca, nasz kapitan zrobił zbiórkę. Z posępną miną poinformował nas, że lord Fitzroy Raglan zmarł poprzedniego dnia, dwudziestego szóstego. Generał James Simpson został mianowany nowym naczelnym dowódcą i powinniśmy być gotowi do kolejnej ofensywy, która nastąpi w ciągu dwudziestu czterech godzin. Tę ofensywę, powiedział kapitan, poprzedzi „inne niż dotychczas przygotowanie artyleryjskie o bezprecedensowej sile”.

Po czym odszedł szybkim krokiem, sztywno wyprostowany, odmawiając wszelkich wyjaśnień.

Nigdy nie podano nam przyczyny śmierci Raglana. Niektórzy powiadali, że umarł rażony zawodem, po tym jak załamało się natarcie na reduty Rosjan, ale trudno mi w to uwierzyć. Bo już miesiąc wcześniej, kiedy przeprowadzał inspekcję obozu, Ojczy, troska i długotrwałe zmęczenie, zdawały się na stałe wyryte na jego szlachetnym obliczu. Niech Bóg broni, abyś kiedykolwiek spotkał ofiarę cholery, Ojczy – ja sam widziałem ich za dużo – ale jeśli ci się miało to przydarzyć, to na pewno rzuci ci się w oczy wynędzniałe, niespokojne oblicze takiego nieszczęśnika; tak więc nie wątpię, co przypieczętowało los Raglana.

Takim jak on serce nie pęka z żalu.

Tamtej nocy powróciliśmy do naszych błotnistych kwater. Nie spałem dobrze,

Ojciec, lecz nie dokuczały mi obawy czy ekscytacja, ani nawet nieustanny łomot artylerii, raczej depresja z powodu śmierci tylu dzielnych chwatów i samego Raglana – a wszystko to okazało się daremne. Miałem wrażenie, że tam, na równinach Krymu, kona armia brytyjska.

Pobudka była o świcie. Trąbki i bębny milczały, niemniej jednak zarządzono szyk jak do natarcia.

Zająłem miejsce w szeregu, kryjąc dłonie w manszetach kurtki przed chłodem szarego brzasku, a parciany pas karabinu tarł mi zarośnięty kark. Nieustanny ogień artyleryjski walił zza naszych pleców, odpowiadały mu reduty Sewastopola i koszmarna obawa chwyciła mnie w swoje szpony. Bo jeśli działa Rosjan nie umilkły, to znaczyło, że natarcie będzie kolejną szarżą samobójców. Znowu błagam, Ojciec, nie bierz mnie za tchórza, ale nie miałem – i nie mam – ochoty oddawać życia bez pożytku, a w tamtej chwili wydawało mi się, że mój los został przesądzony.

Nagle nasze działa umilkły i niebawem, jakby w odpowiedzi, ucichły również działa Rosjan. Nad naszym obozem zapadła cisza, co w mglisty poranek stworzyło tak niesamowity nastrój, że drżąc, objąłem się ramionami. Poruszał się jedynie Mały Księżyc, wyrosły nad nami oślepiający strumień blasku. Rozpoczął kolejną półgodzinną przechadzkę po niebie. Rozejrzałem się dookoła, szukając oparcia w szeregach ściągniętych, niepewnych twarzy; ale nie znalazłem żadnego pocieszenia. Można by pomyśleć, że wszyscy, piechota, oficerowie i konie, zostaliśmy przetransportowani na jakąś odległą, zbielejącą gwiazdę.

Wstrzymałem oddech.

Z baterii za moimi plecami dobiegł huk działa.

Pewien zaprzyjaźniony artylerzysta zdał mi później relację z tego, co wydarzyło się w ostatnich chwilach poprzedzających ten pojedynczy wystrzał. Działonowy widział, jak inżynier Josiah Traveller w cylindrze wciśniętym głęboko na uszy zbliżył się do wzmiankowanej baterii. Co zabawne, na rękach miał grube skórzane rękawice, a w wyciągniętych dłoniach dźwigał sporych rozmiarów metalowy kuferek, który lśnił od mrozu, lodowatego niczym śmierć. Za Travellerem stąpał sam sir James Simpson i kilka osób z jego sztabu. Blask cmił się na ich epoletach i orderach, ale miny mieli ponure. Inżynier złożył kuferek na ziemi, poniżej wylotu lufy, zwolnił zatrzaski i uchylił pokrywę. Mój przyjaciel twierdzi, że wewnątrz kuferka było skromnych rozmiarów, co znaczyło, że ścianki miały dobrych kilka cali grubości, i mogły zawierać jakąś substancję, która utrzymywała w środku niezwykle niską temperaturę.

W kuferku spoczywał jeden pocisk, na oko dziesięciofuntówka. Inżynier uniósł go delikatnie jak niemowlę i wsunął do lufy. Następnie odstąpił na bok.

Działo wystrzeliło z głuchym odgłosem przypominającym kasznięcie. W przeciągu kilku sekund cenny pocisk zatoczył łuk nad moją głową, niosąc parę uncji antylodu do Sewastopola.

Z mojego miejsca nie widziałem samego miasta, lecz mimo to wytężyłem wzrok nad głowami kolegów, podczas gdy pocisk sunął ku podniszczonej fortecy; nawet zepchnąłem z czoła czapkę i zrobiłem daszek z dłoni, żeby lepiej widzieć.

Ojcie, od tamtej pory dowiedziałem się co nieco o tej dziwnej substancji, antylodzie. Jest dobywana z dziwnego złoża w zamrzniętym oceanie bieguna południowego i tak długo jak spoczywa w lodowatych temperaturach, jest idealnie bezpieczna. Jednak podgrzana...

No cóż, pozwól, że opiszę Ci, co widziałem.

Pocisk pomknął z wyciem.

A potem jakby Słońce dotknęło Ziemi.

Horyzont nad Sewastopolem wybuchł w milczącym morzu światła, światła, które wdarło się w skórę, tak że każdy z patrzących czuł, jak wyskakują mu pęcherze. Zatoczyłem się w tył, dołączając swój głos do chóru ogarniętych grozą i wstrząśniętych żołnierzy. Odjąłem dłoń od czoła i wpatrywałem się w nią. Okryta bąblami, poparzona, była zupełnie jak nie moja, raczej przypominała groteskową rzeźbę w wosku. Wreszcie czucie powróciło w odrętwiałe ciało i zawyłem z bólu. W tej samej chwili skóra na moich spalonych policzkach zaczęła pękać. Trysnęła ropa i krew. Musiałem czym prędzej się zamknąć. Nie minęło jednak wiele czasu, Ojcie, a dowiedziałem się, że choć zupełnie na to nie zasłużyłem, szczęście kolejny raz uśmiechnęło się do mnie; co prawda spaliłem sobie dłoń, ale osłoniłem oczy przed najgorszym porażeniem świetlnym, podczas gdy wszędzie wokół moi towarzysze zwijali się na ziemi, trąc wypalone oczodoły. A potem – zaledwie chwilę po straszliwym olśnieniu – nadleciał wiatr jak tchnienie Boga. Cisnął nas w tył i schowałem oparzoną rękę do kieszeni kurtki, by uchronić kończynę przed dalszymi urazami. Przywarłem do ziemi pośród kurzawy pyłu i drobnych kamyków i krzychałem nieprzytomnie, zagłuszany przez wiatr.

Żar był nieprawdopodobny.

Po długim czasie podmuch opadł i podniosłem się na rozdygotane nogi. Poparzeni i szlochający ludzie, broń, resztki namiotów, oszalałe ze strachu konie – wszystko leżało porozrzucane na ziemi, jak zabawki rozkapryszonego dziecka gigantów. Ojcie, w niecały kwadrans nasz obóz został zniszczony w takim stopniu, w jakim do tej pory nie udało się tego uczynić Rosjanom, jaśnie pani cholerze, generałowi styczniowi i pułkownikowi lutemu.

Tymczasem nad Sewastopolem wyrósł wielki czarny młot.

Jakiś żołnierz leżał obok mnie i płakał. Jego oczy zamieniły się w mętną galaretę – straszną galaretę, jak ślepia gotowanego pstrąga. Długie chwile kucałem przy nim, ściskając mu dłoń i pocieszając, jak tylko umiałem. Obok przechodził oficer – mundur miał spalony nie do poznania, ale poskręcana szabla nadal wisiała u pasa – i zawołałem:

–Co oni nam wyrządzili, panie kapitanie? Czy to jakaś nowa diabelska broń Kozaków?

Przystanął i spojrzał na mnie. Piekielne światło wryło na twarzy tego młodego człowieka starcze zmarszczki.

–Nie, chłopcze, to nie Kozacy, to nasze dzieło – rzekł.

Początkowo nie pojmowałem sensu jego słów, ale wskazał na chmurę rozwiewającą się nad Sewastopolem i wreszcie dotarła do mnie zdumiewająca prawda: jeden pocisk naszego inżyniera trafił w Sewastopol i doprowadził do tak potężnego wybuchu, że nawet my – oddaleni o trzy mile – staliśmy się ofiarami jego działania.

Najwyraźniej zupełnie nie doceniano mocy nowej bomby; w przeciwnym razie rozkazano by nam ukryć się w okopach i zagłębieniach terenu.

Powoli zdałem sobie sprawę, że działa Rosjan, przemawiające nie milknącym chórem od dnia mojego przybycia na półwysep, wreszcie umilkły. Czy w takim razie osiągnęliśmy zasadniczy cel? Czy jeden niszczycielski cios rozłożył Sewastopol na łopatki?

Uniesienie i radość z odniesionego zwycięstwa pulsowały mi w żyłach; ale ból, widok zniszczenia wokół i tamta chmura burzowa nad Sewastopolem sprawiły, że rychło przestałem się radować, a z ust tych, którzy wokół mnie jako tako trzymali się na nogach, nie padł ani jeden okrzyk triumfu.

Było zaledwie wpół do ósmej rano.

Nasi oficerowie szybko zaprowadzili porządek. Ci jako tako sprawni – ja również, Ojciec, kiedy tylko opatrzone, obandażowano i wsadzono w grubą rękawicę moją biedną rękę – dostali rozkaz niesienia pomocy pozostałym. Postawiliśmy namioty i doprowadziliśmy obóz do stanu, w którym choć z grubsza przypominał zgrupowanie brytyjskiej armii.

Zaczęto podstawiać szpitalne dwukółki.

Tak więc mozoliliśmy się do południa, aż słońce stanęło wysoko na niebie. Siadłem

w cieniu. Słony pot wżerał się w oparzenia, kiedy żulem zimną wołowinę i popijałem wodą, z trudem rozchylając popękane wargi.

Chociaż czarna chmura nad Sewastopolem rozplynęła się ostatecznie, nie przemówiło żadne rosyjskie działo.

Okolo drugiej po południu rozkazano nam ustawić się do ostatecznego szturmu. Ale, Ojcie, dziwnie się ten szturm zapowiadał; co prawda nie pozbyliśmy się karabinów i amunicji, ale dozbrojono nas w łopaty, oskardy i inne narzędzia przydatne do kopania ziemi. Załadowaliśmy na wózki wszystkie koce, bandaże, medykamenty i zapasy wody, jakie mieliśmy na zbyciu.

Wreszcie ruszyliśmy. Od Sewastopola dzieliły nas trzy mile.

Pokonanie ich zajęło nam ze dwie godziny. Po dziesięciu miesiącach bombardowań artyleryjskich i wojny pozycyjnej ziemia była oceanem rozpadlin, kruchego błota. Wciąż wpadałem do lejów po pociskach i niebawem wszyscy byliśmy skąpani w cuchnącej, mętnej wodzie. Brnęliśmy przez istny śmietnik wojny: potrzaskane łuski, porzucony sprzęt, rozerwane pociski artyleryjskie... i strzepy tak ponurej natury, że szacunek do Ciebie, Ojcie, nie pozwala mi ich opisać.

Lecz w końcu dotarliśmy do Sewastopola. Przystanąłem kilka minut na wzniesieniu i spoglądałem na miasto z góry.

Ojcie, wspomnisz mój wcześniejszy opis, nietkniętych murów, groźnych paszcz armatnich. Teraz wszystko wyglądało tak, jakby przeszedł tam jakiś wielki buciur. Nie znajduję innych słów na odmalowanie tego, co się stało. Tam, gdzie dawniej nieopodal doków było śródmieście, ział krater na trzy czwarte mili. Rozdarta ziemia nadal dymiała, rozżarzone kamienie i żużel płonęły czerwienią. Wokół krateru był wielki płaski krąg. Domy mieszkalne i inne budynki zostały zrównane z ziemią, zmiecione do fundamentów, widocznych teraz, jakbyśmy oglądali jakiś gigantyczny plan. Tu i tam jakiś szerniały komin lub kawałek ściany trwał uparcie w pionie. Za obszarem zniszczenia budynki wydawały się przeważnie nietknięte – ale z okien i dachówek zostało niewiele. W kilku dzielnicach wybuchły rozległe pożary. Chyba nikt ich nie gasił.

Dumne mury obronne runęły na zewnątrz i zamieniły się w kupy gruzu; wyloty luf armatnich celowały na chybił trafił w niebo. Z reduty zostały tylko szczątki; trupy Rosjan wały się na resztkach dział, okryte strzępkami workowatych mundurów.

Za piekielnym pejzażem rozciągały się błękitne, rozmigotane, spokojne wody zatoki; lecz po kotwiczących okrętach zostały jedynie wraki z potrzaskanymi masztami.

Staliśmy długą chwilę, rozdziawiając usta.

–Ruszać się, chłopcy – zarządził wreszcie kapitan. – Robota czeka.

Kolejny raz stanęliśmy w szyku. Rozległy się trąbki i bębny, ich dziarskie dźwięki wydawały się zupełnie nie na miejscu, i pomaszerowaliśmy przez zburzone mury.

Tak więc w końcu o czwartej po południu armia brytyjska wkroczyła do Sewastopola.

Początkowo trzymaliśmy broń gotową do strzału i zachowywaliśmy szyk jak się patrzy, poprzedzani przez zwiadowców i czujki; ale towarzyszył nam jedynie chrzęst szkła i gruzu pod butami, tak że mogło by się zdawać, iż zdobyliśmy Księżyc. Nawet budynki na obrzeżach były bez wyjątku spalone i szerniałe, przypominając o straszliwym gorącu, które runęło z serca miasta. Przeszliśmy przez dom, który wyglądał jak rozłupany na dwoje, tak że oglądaliśmy meble i wyposażenie nieszczęsnych mieszkańców. Zmiażdżone pojazdy wszelkich rozmiarów tarasowały ulice, martwe lub ranne konie nadal tkwiły w uprzężach.

A ludzie...

Ojciec, ludzie leżeli tam, gdzie upadli: mężczyźni, kobiety i dzieci, o ciałach powykręcanych i bezradnych jak lalki, a ich obfite, rosyjskie stroje były potargane, pokrwawione i wciąż się tliły. Wygląd tych nieszczęsnych trupów zupełnie nie przypominał ludzkich i szedłem ogarnięty nie zgrozą, ale obrzydzeniem i odrętwieniem.

Natrafiliśmy na pierwszego żywego Rosjanina.

Przykuśtykał przez próg, za którym już nic nie było. Był żołnierzem – na ile mogłem to ocenić, oficerem – i wokół mnie chłopcy zaczęli mruścić i szykować broń do strzału. Ale biedak nie miał czapki, broni i wspierał się na improwizowanej kuli z kawałka drewna. Włókł za sobą nogę. Kapitan zakomenderował: „Na ramię broń!”. Rosjanin zaczął bełkotać po swojemu i kapitan stopniowo wyciągnął od niego, że kawałek dalej tuzin ludzi został uwięziony w ruinach szkoły.

Posłano tam drużynę z łopatami i innymi narzędziami. Rosjanin wskazywał jej drogę.

I tak to wyglądało przez następnych kilka dni. Ojciec, o ile wiem, po zrzuconiu pocisku z antylodu nie oddano w Sewastopolu ani jednego strzału. Wręcz przeciwnie, pracowaliśmy ramię w ramię z tymi Rosjanami, którym udało się przeżyć – i z Francuzami, i Turkami – w trzewiach zdruzgotanego portu.

Pamiętam jedną dziewczynkę. Leżała na plecach, na głowie miała czerwoną chustkę. Unosiła dłoń ku niebu, które ją zdradziło, a jej palce płonęły jak świece. Jeden nieszczęśnik wyczołgał się ze szwalni żagli. Nie miał nóg, poruszał tylko rękami. Zostawiał za sobą czerwony lśniący ślad, jak jakiś upiorny ślimak...

Ojcie, zdecydowałem się opowiedzieć Ci te rzeczy, ale wiem, że nie dopuścisz do tego, aby zapoznali się z nimi Matka i Ned, mogłyby bowiem przyprawić ich o nadmierne cierpienia.

Najtrudniejszym zadaniem było uprzątnięcie zwłok; wypełnienie go trwało długo. Po kilku dniach gorącego krymskiego słońca nie dało się wytrzymać i wszyscy nosiliśmy na ustach przepaski zamoczone w rakii.

Na najdziwniejszy widok natknąłem się blisko krateru w sercu miasta. Musieliśmy obwiązywać buty mokrymi ścierkami, bo gruz był tak gorący, że parzył skórę. Ujrzałem tam odłamek muru, sterczący z rozwalonej ziemi jak wielka szczerbata płyta nagrobna. Był jednolicie czarny – poza dziwną jasną plamą. Po jakimś czasie rozpoznałem kształt skulonej starej kobiety.

Ojcie, ten mur zachował zarys postaci jakiejś biednej staruszki, kiedy padło na nią światło antylodowego pocisku. Oczywiście, po kobiecie nie został nawet paznokieć i w tamtej części miasta nie znaleźliśmy nikogo żywego.

Wiele razy natknąłem się na inżyniera Travellera, pracującego w pocie czoła obok nas, i zdarzyło mi się ujrzeć łzy ciekące po wpadniętych, szarych od kurzu policzkach. Doszliśmy do wniosku, że nawet on się nie spodziewał rozmiarów zniszczenia, które spowoduje jego wynalazek. Rozważałem, jakże Traveller przeżyje resztę swoich dni i jakie inne cuda – lub przekleństwa – zrodzi antylód.

Ale nie zagadnąłem go nigdy i nie widziałem, żeby ktoś inny to uczynił.

Mam niewiele więcej do dodania, Ojcie. Zwolniono mnie z pracy w Sewastopolu, kiedy świeże oddziały i wyposażenie przybyły z Brytanii i Francji. Teraz, po dziewięciu czy dziesięciu dniach, miasto – chociaż w ruinie -już trochę mniej przypomina sceny z *Boskiej komedii*, a port znów zaczyna funkcjonować.

Oczywiście, miesiące oblężenia mają się ku końcowi i wojna jest wygrana. Ale podczas okupacji dowiedzieliśmy się, że przed zrzućciem antylodu Rosjanie tracili tysiąc dusz dziennie z winy ostrzału i przeróżnych braków, które musieli wycierpieć. Rozważali coraz bardziej rozpaczliwe kroki i, jak mi powiedziano, rosyjskie dowództwo zastanawiało się nad ostatecznym ryzykownym zagranem, szturmem na oblegających i próbą rozerwania naszego pierścienia, próbą, która jestem pewien, zakończyłaby tę wojnę ich klęską, a naszym zwycięstwem.

Tak więc, Ojcie, czy musiano użyć antylodu? Nie mogliśmy zwyciężyć bez narażania cywilów na ogrom cierpień?

Obawiam się, że jedynie Bóg, Pan nie tylko naszego padołu, ale i innych światów, zna odpowiedź na te pytania.

Co się tyczy mnie samego, to lekarz oznajmił mi, że z czasem powinienem odzyskać częściową władzę w oparzonej ręce, chociaż nigdy nie będzie przedstawiać pięknego widoku i nigdy więcej nie ujmę w nią smyczka! Względem zaś pięknych widoków, muszę wspomnieć, uprzedzając dzień naszego spotkania i pojednania, które, mam nadzieję, kiedyś nastąpi, że płomienie antylodu zostawiły wieczny znak na mojej twarzy. Widnieje na niej także nie dający się z niczym pomylić cień dłoni, którą zasłaniałem oczy, kiedy tamten niezwykły pocisk ugodził w Sewastopol.

Ojcze, będę kończył. Proszę, przekaż wyrazy mojej miłości i przywiązania Matce i Nedowi. Powtarzam, mam nadzieję, że spotkam się z Wami wszystkimi, jeśli wyrazicie na to ochotę, po moim powrocie do Anglii. Wtedy będę mógł Ci podziękować, Ojcze, za zadośćuczynienie krzywdom tej młodej damy, której cześć tak niebaczenie naraziłem na szwank moim młodzieńczym zachowaniem.

Niech Bóg ma Cię w opiece, Ojcze.

Łączę wyrazy miłości, Twój wierny syn

Hedley Vicars

Rozdział 1

Nowa wystawa światowa

Sławnego inżyniera Josiaha Travellera spotkałem osobiście dopiero z okazji otwarcia Nowej Wystawy Światowej, osiemnastego lipca tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku, chociaż znałem go z opowieści mojego brata Hedleya o diabelstwach, których narobił Travellerowy antylód podczas kampanii krymskiej. Nasz pierwszy kontakt był jak najbardziej przelotny i zaćmiły go cuda Kryształowej Katedry oraz wszystko, co kryła pod swoim dachem – nie wspominając prześlicznej twarzyczki niejakiej Françoise Michelet – a jednak łańcuch wydarzeń zainicjowany przez tamto przypadkowe spotkanie zaprowadził mnie ogniwo po ogniwie ku zdumiewającej przygodzie, która wyniosła mnie nad samą stratosferę i pogrążyła w głębinach piekła stworzonego ludzkimi rękami w Orleanie.

W tamtym przełomowym roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym byłem młodszym attache w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ojciec, rozpaczając nad płytkością mojego charakteru i jeszcze płytszym intelektem, energicznie szukał stanowiska, na którym odegrałbym znaczącą rolę w służbie krajowi. Podejrzewam, że nosił się z myślą o kupieniu mi patentu w takiej czy innej formacji, lecz poruszony doświadczeniami Hedleya w kampanii krymskiej zarzucił ten pomysł. Poza tym zawsze okazywałem niejaką łatwość w posługiwaniu się obcymi językami i ojciec mętnie wyobrażał sobie, że być może takie umiejętności ułatwią mi zdobycie stanowiska na zamorskiej placówce. (Mylił się, rzecz jasna; angielski pozostaje łaciną cywilizowanego świata).

Tak oto stałem się dyplomatą.

Wyobraźcie więc sobie mnie w wieku dwudziestu trzech lat, gdzieś poniżej najniższego szczebla wielkiej Drabiny Dyplomacji. Miałem pięć stóp dziesięć cali wzrostu, szczupłą budowę, jasne włosy, twarz gładką bez cienia zarostu – w sumie prezencja do przyjęcia, jeśli mogę sobie pozwolić na tak pochlebne słowa, chociaż może nie łącząca się z przesadną bystrością. Dopiero co ukończyłem college, ale praca już przyprawiała mnie o znudzenie, gdyż polegała głównie na przekładaniu papierków z biurka na biurko w zapchanym do niemożliwości gabinecie, głęboko w czeluściach Whitehall. (Początkowo spodziewałem się stanowiska w stolicy, Manchesterze, lecz rychło dowiedziałem się, że Londyn pozostał administracyjnym ośrodkiem imperium, mimo obniżenia statusu). Z jakąż niecierpliwością wyglądałem pierwszego stanowiska z dala od kraju! Kiedy wpatrywałem się niewidzącym wzrokiem w suszkę na biurku, spacerowałem przed obsypanymi klejnotami pałacami radzów, stawałem twarzą w twarz z dzikimi Indianami Kanady uzbrojony jedynie w rulony banknotów i krokodyle pazury, a filiżanka herbaty była szkunerem, na którym żeglowałem śladami Cooka w tęgie ramiona mieszkańek wysp Południowego

Pacyfiku.

Pochłonięty takimi oto sprawami, nie mogłem się pochwalić wielkimi osiągnięciami w pracy i pan Spiers, mój przełożony, niebawem zaczął fukać i warczeć jak kociół, którego para osiągnęła niebezpiecznie wysoki poziom.

Stąd też byłem więcej niż szczęśliwy, kiedy talenty językowe zapewniły mi bilecik na otwarcie Nowej Wystawy Światowej.

Spiers kiwał się nad moim biurkiem; przekrwione od dżinu policzki dygotały, gdy przygryzał szczurzy wąsik.

–Będziesz towarzyszył delegacji Prus! – wyskrzecztał. – Z tego, co słyszę, przyjeżdża sam stary Bismarck.

Koledzy przy biurkach nie kryli zawistnych spojrzeń. Przechadzać się ramię w ramię z księciem Ottonem von Schönhausenem Bismarckiem, Żelaznym Kanclerzem Prus – który nieca cztery lata wcześniej w krótkie dwa miesiące dał do wiwatu wojskom starego cesarza Austrii, Franciszka Józefa...

–Prusacy dotrą koleją napowietrzną do portów belgijskich, a potem szybką łodzią do Dover. Będiesz w Komitecie Powitalnym przy ich lądowaniu.

–Panie dyrektorze, czemu wybrano taką okrężną drogę? Kolej napowietrzna z Calais zapewnia o wiele szybszą podróż...

Zmierzył mnie ponurym wzrokiem.

–Vicars, za każdym razem, kiedy wyda mi się, że cię nie doceniłem, znowu coś palniesz. Z powodu sytuacji między Prusami a Francją, chłopcze. Nie czytasz gazet? Na litość boską lepiej nie odzywaj się do Bismarcka, bo wywołasz kolejną cholerną wojnę...

I tak dalej w tym stylu.

W każdym razie zrobiłem porządek na biurku i z lekkim sercem wyruszyłem do Dover. Stamtąd pruska delegacja udała się koleją napowietrzną do Londynu. Przedsiębiorstwo dostarczyło wagon ozdobiony herbem króla Wilhelma, a pruskie flagi powiewały z drzewców w każdym rogu. Piękny widok musieliśmy przedstawiać, kiedy pruliśmy naszą szyną z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę, sto stóp nad falującymi wzgórzami Kentu!

Delegacja jadła obiad w ambasadzie przy St. James Square i był to niezrównany spektakl. Tuzin Prusaków w znakomitych mundurach, z połami lśniącego od medali, prezentował się niczym rządkiem posiwiałych pawi. Ja, przepasany świeżutką szarfą,

najniższy rangą przy stole i bez najmniejszej blaszki na piersi, nie mogłem znaleźć języka w gębie, lecz kiedy wino i cięższe trunki zrobiły swoje, miałem wrażenie, iż mój duch rozwinął skrzydła i wypełnia przestrzeń przestronnej, ozdobnej jadalni jego ekscelencji. Uczciwie pracowałem srebrnymi sztucami, smakowałem aromat koniaku, który spoczął w dębowej beczce wcześniej, zanim Napoleon był dzieckiem i mój świat poplamionego atramentem biurka wydawał mi się tak odległy jak Mały Książyc. W końcu służba dyplomatyczna odstąpiła mi swoje powaby.

W miarę jak mijał czas, odnosiłem wrażenie, że moja osoba przypadła do gustu samemu Bismarckowi. Okrąglutki, przywodził na myśl dobrodusznego dziadunia i tytułował mnie: „herr Vicars, nasz zacny gospodarz”. Odwzajemniałem się szklistymi uśmiechami i szukałem tematów konwersacji. Jadł z apetytem, ale pił jedynie cuchnące germańskie piwsko z wielkiego kufła z pokrywką. Miałem wrażenie, że odsączał sumiastymi wąsami najmniej przyjazne osady napoju. Piwo, wyszeptał mi kulawą angielszczyzną, pozwala mu zapomnieć o utrapieniach na dworze króla Wilhelma i utula do snu każdego wieczoru.

Osiemnastego zerwaliśmy się wczesnym rankiem. Mały Książyc nadal widniał na rozjaśnionym brzaskiem niebie, świetlista kula pędząca ku horyzontowi. Na Euston wsiedliśmy do kolei napowietrznej i podążyliśmy do Manchester Piccadilly, skąd rozparcelowani między kilka dorożek udaliśmy się do Peel Park, na północ miasta. W południe dołączyliśmy do orszaku dygnitarzy kroczącego do szerokich bram Kryształowej Katedry. Nawet Bismarck, Kolos Europy, stał się anonimową częścią tłumu i czułem rozbawienie – a także dumę – wiedząc, jak twarda szczeka Prusaka opada na widok najświeższego obrazu brytyjskiego geniuszu.

Jak pierwszy Kryształowy Pałac – wzniesiony w Hyde Parku podczas pierwszej Wystawy Światowej roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego – Katedra była niesłychaną konstrukcją zaprojektowaną przez sir Josepha Paxtona, wzniesioną ze szkła i żelaza na planie krzyża jak katedry gotyckie. Tysiące szklanych płyt górowały nad naszymi głowami, połyskując w lipcowym słońcu. Kolej napowietrzna biegła ze wschodu wdzięcznymi pylonami i wkraczała do budynku przez łukowaty portal, jakieś sto stóp nad ziemią. Nad wejściem wspinała się pięćsetstopowa wieżyca, której wyniosły szpic, ozdobiony dumnie powiewającą flagą państwową, muskał lekkie obłoki.

Ledwo słyszałem nieprzerwany szmer głosów moich kolegów, wyjaśniających olśnionej pruskiej delegacji:

–Targi noszą nazwę: Wystawa Dziel Przemysłowych Wszystkich Narodów. Jest to również pomnik ku czci Północnej Anglii i Manchesteru, fabryki i stolicy Brytanii oraz imperium... Powierzchnie wystawowe osłania pięćdziesiąt akrów szkła, dwa razy więcej niż w roku pięćdziesiątym pierwszym. Jest sto tysięcy wystawców (dwa razy więcej niż w Paryżu w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym). Organizatorzy

spodziewają się dziesięciu milionów zwiedzających, tylko sto tysięcy pierwszego dnia...

Wkroczyliśmy do budynku. Stałem w rozległej wyciszonej przestrzeni; przezroczysty szklany dach unosił się tak wysoko, że spodziewałem się ujrzeć przepływające niżej chmury, a żelazna konstrukcja sir Josepha robiła wrażenie bajkowo lekkiej, niezdolnej do udźwignięcia ogromnego ciężaru. Czułem się tam jak w wielkiej oranżerii – ale nie dokuczały typowe w takich pomieszczeniach zaduch i wilgoć. Przeciwnie, powietrze było przyjemnie chłodne dzięki dwudziestu ogromnym wentylatorom umieszczonym wysoko w ścianach i napędzanym, jak dano mi do zrozumienia, turbinami antylodowymi.

Gwar podekscytowanych głosów, który wypełniał budynek, wzbijał się zaledwie kilka stóp powyżej mojej głowy, jakby ogrom powietrza sprowadzał ludzką aktywność do pozbawionej jakiegokolwiek znaczenia krzątaniny mrówek. Szyna kolei napowietrznej wisiała w tej wielkiej przestrzeni bez widomych punktów oparcia, dobiegając peronu zaczepionego o ścianę niczym jaskółcze gniazdo. Ruchome schody niosły pasażerów na dół.

W głębi budynku wzniesiono wysokie podium. Zasiadał na nim zastęp godnych dżentelmenów we frakach i cylindrach – nie wspominając orkiestry symfonicznej i tysiącosobowego chóru. Królowie, kanclerze i prezydenci pokornie zajmowali fotele przed podium. Zaprowadziłem moją grupkę Prusaków na wyznaczone miejsca, obwiedzione czerwonymi sznurami wiszącymi na słupkach z brązu. Skrzyżowawszy na piersiach urękawiczone dłonie, zająłem swoje miejsce. Kiedy spojrzałem w dół, skonstatowałem ze zdumieniem, że cały parter Katedry zaścielono grubym czerwonym chodnikiem.

–Doprawdy nie liczone się tu z kosztami.

Zaskoczony przeniosłem wzrok w lewo i... napotkałem spojrzenie niewieścich oczu barwy nieba, osadzonych w alabastrowej twarzyczce. Wyrażały cierpkie rozbawienie.

Próbowałem wybąkać jakąś niezdarną odpowiedź.

–Proszę o wybaczenie – rzekła uprzejmie młoda dama. – Dostrzegłam, że ocenia pan wzrokiem te wydywanione równiny. Również jestem pod wrażeniem.

Uśmiechnęła się do mnie i... jakby słońce wyszło zza chmur. Moja rozmówczyni miała może z dwadzieścia pięć lat; nosiła elegancką, ciasno skrojoną suknię z bladoniebieskiego aksamitu, który idealnie podkreślał urodę jej oczu. Ciemne włosy związała w prosty kok, zostawiając figlarne pukielki, otulające oblicze. Szyję ozdobiła czarną aksamitką. Z tej wysmukłej, białej kolumny mój wzrok spłynął na kremowe półkule...

I pozostał na nich stanowczo za długo, jakbym był jakimś gamoniem, pozbawionym wszelkiego obycia. Niejasno uświadomiłem sobie, że damie towarzyszy młody człowiek. Stał za nią; smagły, chudy egzemplarz płci brzydkiej, lustrujący mnie podejrzliwie. W końcu skleciłem parę słów:

–Pani wybaczy. Nazywam się Vicars. Edward Vicars.

Podawała mi drobną urękawiczoną dłoń. Uścisnąłem ją delikatnie.

–Jestem Françoise Michelet.

–Ach... – Miała nieznaczną, ale nie dający się pomylić z żadnym innym akcent, wskazujący na pochodzenie z południowych regionów Galii, może Marsylii. – Jest pani Francuzką, mademoiselle.

–Co za spostrzegawczość. Winien pan pracować w tym waszym Foreign Office – stwierdziła sucho.

–Ależ tam właśnie pracuję – odparłem idiotycznie, po czym uśmiechnąłem się do siebie, zrozumiawszy, że kpi z mojej francuszczyzny. – Niestety, mam tu swoje obowiązki.

–Jestem przekonana, że są obowiązki o wiele bardziej u-ciężliwe.

–A pani?

–Ot, zabijam czas – powiedziała lekko znudzonym tonem. – To gwóźdź sezonu. Potem mam zamiar wyskoczyć do Belgii, na prezentację „Księcia Alberta”. Doprawdy wy, Brytyjczycy, postaraliście się wypełnić kalendarz socjety prawdziwymi atrakcjami.

–Jeśli wszyscy goście będą równie czarujący jak pani, to nasze starania na pewno okażą się warte zachodu.

Uniesieniem brwi skomentowała ten popis przyciężkiej galanterii.

–A pan pojawi się na prezentacji „Alberta’”, panie Vicars?

Skrzywiłem się.

–Obawiam się, że przypisano mnie do herr Bismarcka na dłużej. Ale, być może moglibyśmy... – zacząłem z pośpiechem.

Lecz nie dane mi było kontynuować konwersacji z intrygującą nieznaną, królewski pochód ruszył bowiem majestatycznie na podium. Chór zaintonował pieśń. Głosy odbijały się echem od szklanych ścian. Czerń otulała jego imperialny majestat,

tak że król prawie ginął pośród szkarłatnych i srebrnych mundurów. Nieco za Edwardem stąpał Gladstone. Jaskółka premiera odcinała się szarą plamą od przepysznych strojów wojskowych.

Chór umilkł, ostatnie echa uderzyły o tafle szkła jak uwięzione ptaki. Wystąpił arcybiskup Canterbury, przyodziany w mitrę i uroczyste szaty, i donośnym głosem wezwał nas do modlitwy.

Pełna szacunku cisza ogarnęła tłum znakomitości.

Następnie podniósł się sam Edward. Stałem daleko w rozległym budynku, ale widziałem, jak poprawił binokle i otworzył notatnik. Mówił głosem przyciszonym, niemniej jednak słyszalnym w najodleglejszych zakątkach wielkiej szklanej hali.

Używał słów prostych, pozbawionych afektacji, kiedy wspomniał pierwszą wystawę z tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku, która, jak obecna, miała „ożenić sztukę wysokiego lotu z największymi umiejętnościami nauk technicznych”. Inspiratorem tamtej był ojciec Edwarda, książę małżonek Albert, ugodzony śmiertelnie zabójczymi zarazkami tyfusu, i Edward zauważył, iż Albert byłby niezwykle dumny, mogąc obejrzeć wydarzenia dnia współczesnego.

Słuchając przemówienia króla, miałem wrażenie dziwnego odcieleśnienia, przebywania poza konkretnym czasem i przestrzenią. Oto takie głowy państw, jak Bismarck i Grant stały w postawie pełnej szacunku, tu, w sercu najpotężniejszego imperium, jakie znał świat; imperium, którego okręty rządziły morzami, a antylodowe cuda opasywały świat.

A miały przed sobą tylko niepokąźnego młodego człowieka, który cichymi słowy wspominał zmarłego ojca.

Jego królewska mość zakończył i wycofał się, a chór pełną piersią odśpiewał „Alleluja”.

Françoise przysunęła się do mnie i szepnęła między słowami oratorium:

–Trudno powiedzieć, aby wasz król okazał szczególny entuzjazm.

–Proszę...?

–Krążą opowieści, że młody Edward i krąg jego zamożnych przyjaciół pokroju Liptona, to... jak się to mówi...? sybaryci...? Płytki hedonista w sam raz pasuje do wpływowych ludzi. Mam na myśli przemysłowców rządzących dziś waszym krajem. Jego matka nie znalazłaby z nimi wspólnego języka.

–Wiktoria abdykowała po stracie małżonka – odparłem sztywno – i nagłym

wycofaniu się z polityki Disraeliego dwa lata temu. Co zaś się tyczy samego Edwarda...

Nadęła uroczo – ale i drwiąco – usteczka.

–Och, czyżbym pana uraziła...? No cóż, proszę o wybaczenie. Ale Edward ma rację w jednym: Albert byłby dumny, widząc to wszystko. A może byłby jeszcze bardziej dumny, widząc zachowanie nikczemników zasiadających w waszym parlamencie.

Zapach jej perfum uderzył mi do głowy i z prawdziwym trudem wymamrotałem:

–Co pani ma na myśli, mademoiselle?

Machnęła ręką.

–Proszę mi mówić Françoise. Wasi posłowie sprzeciwili się pierwszej wystawie, popieranej przez Alberta; a jednak, kiedy ujrzeli, jak znakomicie spełniła swój zasadniczy cel, zaczęli się prześcigać w popieraniu kolejnych. – Przyjrzała mi się krytycznie. Dwie drobne zmarszczki wyrosły nad zgrabnym noskiem. – Czy pan rozumie, jaki cel przyświeca takim targom, panie Vicars, czy może nie za bardzo?

–Jak powiedział jego majestat, jest to uświęcenie...

Ręka w rękawiczce kolejny raz przecięła powietrze, tym razem z nieco większą niecierpliwością.

–Reklama handlu, panie Vicars. Kryształowa Katedra to ogromne okno wystawowe z waszymi wspaniałymi brytyjskimi towarami.

Podczas gdy przeczesywałem mój tępy mózg w poszukiwaniu następnych tematów konwersacji, towarzysz Françoise dotknął jej ramienia.

–Moja droga, nie powinniśmy zatrzymywać twojego nowego przyjaciela. – Miał zły akcent i spojrzenie wyzbyte śladu ciepła. – Jestem przekonany, że czekają na niego liczne obowiązki.

Przedstawiliśmy się sobie chłodno – był to niejaki Frederic Bourne, francuski arystokrata bez żadnego wiadomego zajęcia – i wymieniliśmy jeszcze chłodniejszy uścisk dłoni.

Françoise przyglądała się temu wszystkiemu z beznamiętnym rozbawieniem.

Muzyka umilkła, lokaje zwinęli sznury oddzielające gości i dygnitarze zaczęli mieszać się ze sobą. Odwróciłem się do dziewczyny.

–Cieszę się, że mogłem panią poznać, Françoise.

–Ja również – powiedziała szybko po francusku. – Przynajmniej nie okazał się pan jedną z tych niemieckich świń.

Te słowa przyprawiły mnie o wstrząs.

–Mademoiselle, cóż za opinia – zaprotestowałem w jej języku.

–Dziwi pana? – Uniosła idealnie zakreśloną brew. – Jest pan dyplomata; z pewnością pojmuje pan, jaki był sens telegramu z Ems.

Ten dokument był w owym czasie na ustach całej Europy. Między Francją a Prusami wybuchł wcześniej spór, po tym jak cesarz Wilhelm zaproponował, aby jego krewny, książę Leopold Hohenzollern, zasiadł na tronie Hiszpanii (opuszczonym przez skandalicznie się prowadzącą królową Izabellę). Francja, rzecz jasna, ostro zaprotestowała, lecz Wilhelm okazał się głuchy na stanowisko przedłożone bezpośrednio przez francuskiego ambasadora. Prusy przedstawiły następnie swoje stanowisko w sposób obraźliwy w sławetnym telegramie z Ems.

–Ten dokument to afront dla Francji – powiedziała dziewczyna.

Uśmiechnąłem się z nadzieją, że wyrażę w ten sposób swoje pobłażanie.

–Droga mademoiselle, takie rupiecie jak sukcesja hiszpańska to sprawy bez znaczenia w nowoczesnym świecie. – Ruchem ręki objąłem otaczające nas wspaniałości. – A to, mademoiselle, jest nowoczesny świat!

Zmarszczyła czoło.

–Doprawdy. Proszę nie traktować mnie tak protekcyjnie. Tylko zupełnie naiwni ludzie – poczerwieniałem – mogą sobie wyobrazać, że kandydatura na króla Hiszpanii sama w sobie ma jakiegokolwiek znaczenie. W gruncie rzeczy to pretekst, którego chwyta się ten przebiegły Bismarck, prowokując nas do wojny.

Pochyliłem się ku niej i ze spokojem wyraziłem opinię brytyjskiego korpusu dyplomatycznego.

–Szczerze mówiąc, mademoiselle, Prusacy są śmiechu warci, mimo tego całego ich pozowania. – Zacząłem wyliczać na palcach. – Po pierwsze, Francja posiada najznakomitszą armię w Europie. Po drugie, żyjemy w erze rozumu. Panuje równowaga sił, trwająca od kongresu wiedeńskiego, który zebrał się po upadku Bonapartego, ponad pięćdziesiąt lat temu, i...

Zamknęła mi usta machnięciem dłoni.

–Bismarck to oportunist. Nie dba o waszą równowagę; kieruje się tylko własną

ambicją.

Pokręciłem przecząco głową.

–Ale do czego miałyby mu posłużyć wojna z Francją?

–Pan musi go o to zapytać, Vicars. Co się tyczy Francji, to z pewnością wie pan, że już przeprowadziliśmy mobilizację.

Mimowolnie opadła mi szczeka, tak że pewnie wyglądałem jak ogłuszona ryba.

–Ale...

Ale smagły Bourne położył dłoń na ramieniu Françoise i wdzięcznie skończyła naszą konwersację. Przeklinałem się w duchu. Że też pozwoliłem naszej rozmowie zabląkać się w meandry kandydatury tego Hohenzollerna! O czym ja myślałem?

–Może spotkamy się dziś po południu...? – zawołałem.

Ale znikła w rozchodzącym się tłumie.

Ekspozyty wystawiono na parterze Katedry – i na obiegającej ściany antresoli – pod ciężkimi szyldami, wskazującymi kraj pochodzenia. Te szyldy wykonano z rur świecących elektrycznym światłem. Bismarck i jego otoczenie zwiedzali wystawę cierpliwie i w dobrych nastrojach. Szczególne zaimponowało im stoisko Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pośród rewolwerów Colta, bel tytoniu do żucia i innych artykułów miłych sercom Amerykanów stał kombajn zbożowy dostarczony przez przedsiębiorstwo McCormicka. Komin i kocioł były jak z pancernika i grupka zachwyconych Prusaków pożerała wzrokiem sześciostopowe ostrza tnące.

Jakiś nieznajomy, niski człek o okrągłej rozbawionej twarzy, pochylił się ku mnie.

–Ciekawe zderzenie, nie uważa pan?

–Nie rozumiem.

–Oto przed owocami nowoczesnej, anglosaskiej wynalazczości mamy podstarzałą generalicję Starego Świata i w chwili, w której ich armie zajmują pozycje manewrowe przeciwko Francji, ci panowie niewątpliwie zachodzą w głowę, jak by przekuć ten wielki amerykański lemiesz na mechaniczny miecz.

Roześmiałem się.

–Poznawszy tych Prusaków, podejrzewam, że ma pan rację, sir.

Podał mi dłoń; uścisnąłem ją.

–Jestem George Holden – powiedział.

Przyjrzał mi się uważnie jasnymi, szczerymi oczyma. Ocenilem go na jakieś czterdzieści lat. Miał proste rysy twarzy, bardzo wyraziste pod szopą smoliście czarnych włosów. Łańcuszek kieszonkowego zegarka – właściwie łańcuch – opinał wydatny brzuszek.

Przedstawiłem się.

–Miło mi pana poznać – powiedział. – To dla mnie szczęście, że mogę przyłączyć się do tak szacownego towarzystwa. Jestem szarym pracownikiem redakcji „Manchester Guardian”.

Prusacy podeszli do działu kanadyjskiego. Bismarck sięgnął po składany scyzoryk rozmiarów opasłej książeczki, który wedle dumnego zapisu miał nie mniej niż pięćset zastosowań. Rozanielony Żelazny Kanclerz wyciągał kolejne, coraz dziwniejsze ostrza.

–Popatrz pan – rzekł kwaśno Holden. – Jak niewinne dziecię, czyż nie?

Prawdę powiedziawszy, chłopięcy entuzjazm Bismarcka wy-dał mi się ze wszech miar zabawny, ale nic nie powiedziałem.

W końcu moi podopieczni przeszli do największego stoiska – brytyjskiego. Puls uderzył mi żywiej, bo spodziewałem się nie lada reakcji; lecz Niemcy, niewątpliwie pragnąc dowieść jakiejś sobie tylko wiadomej tezy, przemaszerowali z pośpiechem obok olśniewających eksponatów. Zadarte posiwiące głowy wojaków tylko mignęły na tle naszych towarów. Jednakże dostrzegłem, że niejedno załzawione oko strzeliło bezwolnie na bok, co zaś się mnie tyczy, to głodnym wzrokiem spijałem każdy szczegół tych cudów.

Ogromne połyskliwe maszyny zdominowały stoisko. Przyczajone tłoki i śmigłe kominy nadawały im w tej delikatnej katedrze wygląd zwierząt w klatce. Stał tam nowy model pociągu napowietrznej kolei, o lokomotywie w kształcie pocisku, gdyż wylot niskiego komina pokrywał się niemal z korpusem. Wsparta na wąskiej szynie była lekka i wdzięczna, jakby lada chwila mogła unieść się w powietrze. Mój nowy znajomy, Holden, powiadomił mnie, że dopiero co wynaleziony kształt pozwala obszernej lokomotywie łatwiej zwalczać opór powietrza, przez co ta osiąga większą prędkość.

–Ale tak naprawdę to niezwykła koncentracja energii cieplnej dostarczana przez antylód – wyjaśnił – a w konsekwencji sprawność mechaniczna umożliwia projektowanie takich cudownie zwartych urządzeń.

Za lokomotywą stał tylko jeden wagon pasażerski (choć pisemna informacja

głosiła, iż ten model bezpiecznie poprowadzi pięćdziesiąt wagonów). Widokowe okno ułatwiało również obejrzenie wnętrza i mogłem podziwiać kanapki, wygodnie tapicerowane grubym aksamitem, błyszczące mosiężne okucia i polerowane skóry, którymi przedział kusił niczym najwygodniejszy salon klubowy.

Inne urządzenie, które wpadło mi w oko, to była nowoczesnych kształtów maszyna górnicza. Obudowany wózek, nie większy niż urządzenie szpitalne służące do przewozów pacjentów, miał na froncie tarczę z hartowanej stali, o średnicy jakichś dziesięciu stóp, która połyskiwała ostrzami oraz czerpakami wszelkich rozmiarów.

–To zrewolucjonizuje wydobywanie angielskiego węgla i innych minerałów – oznajmił Holden. – Oto kolejny wynalazek niemożliwy do zastosowania w praktyce bez antylodu. Bez niewielkich, czystych kotłów pracujących na antylód tego rodzaju maszyna potrzebowałaby urządzeń stosowanych w klasycznych lokomotywach i w kopalnianych wyrobiskach udusiłaby się własnymi spalinami w przeciągu pół godziny.

Minęliśmy modele pras parowych i przędzarek bawełny. Moją chłopięcą wyobraźnię poruszył model nowej stoczni imienia króla Edwarda w Liverpoolu, prezentowany w całości wraz z rzeką Mersey, małą kliprą i holownikami, które unosiły się na wodzie!

Towarzystwo przystanęło i patrząc nad sztywno wyprostowanymi ramionami Prusaków, widziałem, jak Bismarckowi przedstawiano wysokiego, szczupłego mężczyznę mającego około siedemdziesięciu lat. Dżentelmen ów nosił zniszczony cylinder, jakimi zadawano szyku dobrych trzydzieści, czterdzieści lat temu. Jego okolona bujnymi siwymi bokobrodami twarz była jedną plątaniną blizn i śladów po oparzeniach; w jej środku sterczał sztuczny nos wymodelowany w platynie.

Świetliste niebieskie oczy przewiercały Bismarcka, a dłoń, która ujmowała rękę kanclerza, trzymała ją tak, jakby dotknęła niechcący ścierwa śmierzącego już od miesiąca.

Podniecony zwróciłem się do Holdena:

–To jest... to jest...

Moje podekscytowanie wzbudziło rozbawienie żurnalisty.

–Sir Josiah Traveller, wielki inżynier i spadkobierca Bru-nela. We własnej osobie.

–Nie miałem pojęcia, że Traveller zamierza odwiedzić wystawę. Plotki głoszą, że to odludek.

–Zapewne możliwość spotkania z wielkimi tego świata wywabiła z ukrycia tego

wybitnego człowieka i jego nieśmiałość uległa sile ciekawości.

Przez chwilę baczniej przyjrzałem się Holdenowi.

Chociaż przemawiał tonem znudzonego światowca, widziałem, że przypatruje się Travellerowi głodnym wzrokiem, nie odrywając oczu.

–Oczywiście, wy, dziennikarze, powtarzacie nam, że sir Josiah jest stanowczo przeceniany – powiedziałem nieco kpiarskim tonem. – Że cała jego sława opiera się na jednym prostym fakcie, tym mianowicie, iż tylko on ma dostęp do tej cudownej substancji: antylodu.

–Żaden dziennikarz nie odważy się już na podobny idiotyzm – parsknął Holden. – Traveller to geniusz, mój chłopcze. Tak, antylód sprawił, że wizje uczonego stały się rzeczywistością, ale takich wizji nie miał żaden inny człowiek pod słońcem. Antylodowe urządzenia Travellera są podstawą srebrnych szlaków nad i pod skorupą globu. Josiah Traveller to Leonardo naszej ery... – Z namysłem pomasaował pełne szczęki. – Nie znaczy to, oczywiście, jakoby był geniuszem na wszystkich polach. Można odnieść wrażenie, że problemy finansów i handlu sprawiają mu sporo kłopotu. Podobnie było z jego sławnym mentorem, Brunelem. Wiadomo panu, że prezentacja jego liniowca lądowego, „Księcia Alberta”, stoi pod znakiem zapytania?

Pokręciłem przecząco głową.

–Jest w pełni sprawny, ale firma Travellera musi jeszcze wystarać się o kapitały na pokrycie kosztów operacyjnych. Obiło mi się o uszy, że w planie jest emisja nowych akcji, i z tego, co wiem, Traveller zwrócił się do rządu. – Pociągnął nosem i poprawił łańcuszek zegarka. – Być może to wyjaśnia obecność inżyniera na wystawie. Czy zamierza pan pojawić się na prezentacji, Vicars?

–Obawiam się, że nie będzie to możliwe – odparłem ponuro. – Chociaż pragnąłbym tego całym sercem, bo... z kilku powodów – dodałem, myśląc o Françoise.

Holden spojrzał na mnie pytająco, ale nie naciskał więcej.

Widziałem niesmak na pobliźnionym, niemniej jednak szlachetnym obliczu Travellera i wyobraziłem sobie, że niecierpliwie oczekuje zakończenia tego jarmarku próżności i powrotu do swoich pracowni i stołów kreślarskich.

–Jakie to niefortunne, że zmuszamy naszych inżynierów do tego, żeby byli również dyplomatami – zauważyłem.

Holden wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

–Być może jest równie niefortunne, że nie wymagamy od naszych dyplomatów

zdolności inżynierskich.

Prusacy, którzy w dalszym ciągu zachowywali kamienne twarze, usilnie dając do zrozumienia, że nasza ekspozycja nie wywarła na nich żadnego wrażenia, pośpiesznie skierowali się ku kolejnemu stoisku, zajmowanemu przez fotografie. Traveller został sam, z boku; ostre rysy twarzy nie wyrażały żadnych uczuć i kierowany jakimś niepojętym impulsem zbliżyłem się do wyniosłego inżyniera.

–Sir Josiah... – powiedziałem, lecz język mi się zaplątał, spojrzenie bowiem, które spłynęło na mnie z wysokości platynowego dzioba było tyleż ironiczne co przeszywające. Nabrałem powietrza w płuca i brnąłem dalej: – Zechce pan wybaczyć – po czym przedstawiłem się.

Skinął nieznacznie głową.

–A więc, panie dyplomato, jaki jest dyplomatyczny pogląd na zabawki, które tu zaprezentowałem? – Jego głos dudnił niczym ogromna maszyna parowa i w duchu zadałem sobie pytanie, czy wypadek, który zostawił głębokie ślady na twarzy, uszkodził również gardło i płuca.

–Zabawki, sir? – Wskazałem wdzięczne kształty kolei napowietrznej, skąpane w niebieskim świetle Katedry. – Wszak mamy tu przed sobą osiągnięcia nowoczesnej mechaniki, która w połączeniu z możliwościami anty lodu...

Zbliżył twarz do mojego oblicza.

–Zabawki, mój chłopcze – powtórzył. – Zabawki dla takich zwiedzających, jak twoi Prusacy. Tak długo, jak nimi igrają, być może nie przyjdzie im do głowy wykorzystać mojego antylodu do innych, bardziej złowieszczych celów.

Wydawało mi się, że go rozumiem.

–Ma pan na myśli Krym, sir.

–A jakże. – Przyglądał mi się z odrobiną ciekawości. – Większość równych ci wiekiem młokosów ma równie uporządkowaną wiedzę na temat tamtej upiornej kampanii, co na temat wojny galijskiej Cezara.

–W moim przypadku jest inaczej. – Opisałem mu przeżycia wojenne mego brata, Hedleya. Opowiedziałem, jak po powrocie do Anglii, okryty bliznami, lecz poza tym zdrowy na ciele i umyśle, zamieszkał z powrotem w domu naszych rodziców, „Leśnym Ustroniu”, i teraz wiodł cichy żywot księgowego. W końcu poślubił niewiastę – kiedyś pomoc kuchenną – z którą nawiązał był znajomość wykraczającą poza granice wyznaczone przez dobre obyczaje, co sprawiło, że musiał opuścić dom rodzinny i wyruszyć na wojnę z Rosjanami. To Hedley opisał mi zachowanie

Travellera po wybuchu pocisku antylodowego. Teraz inżynier słuchał mnie w skupieniu. – Tak więc od czasu Sewastopola zdecydował się pan wykorzystać antylód jedynie do przedsięwzięć pokojowych.

Skinął głową. Oczy błyszcząły mu jak diamenty.

–Ale, sir Josiah, tu jest Anglia, nie Prusy – kontynuowałem. – Przecież nie musi się pan obawiać, iż rząd brytyjski kolejny raz zażąda wykorzystania antylodu do takich celów...

–Myślę, że twoi Prusacy zakończyli oglądanie wystawy – przerwał mi. – Być może winienes do nich powrócić.

W istocie, Bismarck i jego towarzysze monarszym krokiem odsunęli się od rzędu fotografii. Szukając tematu, którym mógłbym zamknąć rozmowę z Travellerem, bąknąłem:

–Co za intrygująca prezentacja.

Prawdę mówiąc, była zupełnie nieczytelna. Przedstawiała lśniące fragmenty jakiejś zakrzywionej płaszczyzny na czarnym tle. Traveller kolejny raz pochylił się ku mnie.

–W rzeczy samej, intrygująca. Wiesz, co przedstawia?

Przyznałem się do całkowitej ignorancji w tym względzie.

–Ziemię oglądaną z wysokości pięciuset mil – szepnął Traveller.

Rozdziawiłem usta w zdumieniu, gotów zasypać Travellera pytaniami, ale już odwrócił się ode mnie i mogłem tylko odprowadzić wzrokiem jego sztywno wyprostowane plecy, niknące w tłumie.

Prusacy sformowali dumny szereg przed eksponatami przysłanymi przez ich ojczyznę, a fotograf ukrył się już pod płachtą czarnego aksamitu. Bismarck przyzwał mnie skinieniem ręki.

–A więc, herr Edward Vicars, jakie wrażenie sprawia na panu to, co Niemcy mają do zaoferowania światu?

–Sir, wasze eksponaty świadczą o wysokim kunszcie waszych rzemieślników – odparłem niezdarnie.

Skłonił głowę i westchnął żartobliwie.

–My, biedni Niemcy, nie mamy waszego antylodu do zabawy, tak więc musimy zadowolić się lepszymi silnikami, lepszymi rzemieślnikami i lepszymi technologami.

Co, herr Vicars?

Bezradny, spiekłem raka i szukałem repliki na tę dobroduszną drwinę, lecz nagle adiutant dotknął ramienia Bismarcka. Kanclerz z uwagą wysłuchał meldunku. Kiedy się w końcu wyprostował, w jego oczach lśnił stalowy błysk.

–Pan wybaczy – rzekł.

Klasnął dwa razy w dłonie i pruski szereg złamał szyk. Wielce zirytowany fotograf wychynął spod płachty.

Prusacy ustawili się równiutkimi dwójkami jak na placu koszarowym i zaaferowani ruszyli ku wyjściu. Mój tymczasowy przełożony, niejaki Roderick McAllister, pośpieszył za nimi. Złapałem go za rękaw.

–McAllister, co się dzieje?

–Obawiam się, że koniec zabawy, Vicars. Prusacy skrócili wizytę. Muszę im zaaranżować powrót...

–A co ze mną? Co mam robić?

–Zmieniam cię! – krzyknął przez ramię. – Masz urlop...! – Po czym znikł. Prusacy torowali sobie prostą ścieżkę w tłumie zaskoczonych dygnitarzy, a biedny Roderick popędził za nimi jak pudełek.

–To dopiero stanowczy faceci, nieprawdaż?

Podrapałem się po głowie.

–Kto by się spodziewał, że sprawy przybiorą taki obrót, Holden. Wie pan, co się wydarzyło?

Spojrzał na mnie z zaskoczeniem i wygładził nastroszoną czuprynę.

–Nie dopuszczają was, dyplomatów, do informacji, co? Wystawa aż huczy od wieści.

–Jakich wieści?

–Francja wypowiedziała wojnę.

–No, niech mnie... Pod jakim pretekstem?

Machinalnie bawił się łańcuszkiem zegarka.

–Rzecz jasna, poszło o ten przekłety telegram. Oczywiście, specjalnie wybrali ten moment. Cholerni Francuzi musieli ruszyć na wojnę dokładnie w dniu otwarcia naszej wystawy. Wyjdą ze skóry, byle tylko ściągnąć na siebie uwagę świata. – Popatrzył na mnie z zastanowieniem. – Ale nie ma tego złego... Vicars, wygląda na to, że ni stąd, ni zowąd dostał pan urlop. Zdaje mi się, że wciąż można by się wkręcić na prezentację „Alberta”. Może to pana interesuje, bo ja tam jadę...

Byłem tak oszołomiony, że początkowo pokręciłem przecząco głową.

–Urlop czy nie, chyba powinienem zgłosić się do pracy...

Ale przypomniałem sobie Françoise.

Klepnąłem Holdena w plecy.

–Jak się dobrze zastanowić, Holden, to naprawdę byczy pomysł. Pozwoli pan, że zaproszę go na herbatę i omówimy ten pomysł?

Ruszyliśmy przez tłum zwiedzających, rozprawiający z ożywieniem o bliskiej wojnie.

Rozdział 2

Podróż przez kanał la manche

„Książę Albert” miał jeszcze trzy tygodnie do zaprezentowania się szerokiej publiczności, więc Holden i ja postanowiliśmy poczekać przed podróżą do Ostendy. Zbijaliśmy baki w okolicach mojej kwatery w Bayswater i w samej miejscowości. Kiedy włóczyliśmy się po kawiarniach, restauracjach i music-hallach, nagle kompania moich przyjaciół wydała mi się pusta i niewiele warta; wielokrotnie przyłapałem się na tym, że topię smętny wzrok w szklaneczce whisky z wodą, zakotwiczony w kącie klubowej kanapy i obserwując moich rozweselonych kumpli, robiących z siebie idiotów – podczas gdy sam rozważałem, jak wytworna Françoise potraktowałaby podobne wygłupy.

Wróciłem na wystawę, ale nie spotkałem uroczej rozmówczyni. I chociaż przeglądałem kolumny wydarzeń towarzyskich od deski do deski, o niej nie było ani słowa.

Tak oto dałem się głupio usidlić uczuciu po przelotnym spotkaniu...

Ale miałem dwadzieścia trzy lata i chociaż w tym okresie cięłectwa zaiste zachowywałem się jeszcze jak cielę, to przecież nie mogłem mieć o to do siebie pretensji. Każdy wiek ma swoje prawa!

W końcu pierwszego sierpnia spakowałem mój skromny sakwojaż i udałem się na Międzynarodowy Dworzec Dover. Mgła nadal czaiła się w zakątkach doków, gdy przecierając oczy zapuchnięte z niewyspania, wynurzyłem się przy Waterloo, na dworcu kolei napowietrznej – lecz oczekujący mnie korpulentny George Holden tryskał energią. Uścisnął mi dłoń i zaoferował powitalny łyk koniaczku ze srebrnej manierki. Wzbraniałem się początkowo, lecz pokusa ognistego trunku okazała się nieodparta, a jego czary szybko dały o sobie znać.

Nasz pociąg połyskiwał na wysokiej szynie niczym ryba wykuta w drewnie i mosiądzu, której żywołem nie jest woda, lecz powietrze, i kiedy podnosiłem wzrok, wydawało mi się, że przyszłość zwiastuje mi przygodę, ekscytację i – może – romans.

...Ale wprawdzie czekało nas opóźnienie.

Słońce wisiało na niebie, białe i gorące. Holden i ja piliśmy niezliczone filiżanki herbaty i skubaliśmy kandyzowaną skórkę pomarańczy. Wypity wczesnym rankiem koniak nie dawał spokoju mojemu żołądkowi, gdy włóczyliśmy się po stacji.

Tymczasem ośrodkiem niepokoju pracowników kolei był jeden z pylonów

wyrastający z asfaltowego peronu i podtrzymujący napowietrzną szynę, biegnącą sto stóp nad naszymi głowami. Tenże pylon odgradzono długą, usmarowaną liną, podczas gdy funkcjonariusze ochrony kolei sprawdzali każdy cal konstrukcji. Nieszczęśni strażnicy, spoceni w grubych serżowych mundurach, sprawiali komiczne wrażenie, gdy łazili po chwiejnych drabinach. Jeden z nich stuknął łbem o poprzeczne wzmocnienie i jego hełm sfrunął na asfaltowe podłoże, do wtóru wiwatów gapiów. Funkcjonariusz potarł łysiejącą głowę i zamruczał coś niesłychanie nieparlamentarnego.

Tęgi starszawy konstabl trzymał straż przy kordonie. Twarz miał okrytą potem, a gdy przemówił, usłyszeliśmy szorstki akcent, właściwy bukolicznym zakątkom hrabstwa Kent.

–Widzi się, że podłożono urządzenie wybuchowe – odparł na nasze pytania.

–Macie na myśli bombę? – spytałem z niewiarą. – Ale przecież bomba nawet średnich rozmiarów zniszczyłaby szynę. Dziesiątki... setki ludzi poniosłyby śmierć!

Mundurowy spojrzał na mnie z milczącą powagą.

–Kto targnąłby się na taki czyn?

–Hm. – Zsunął hełm na potylicę. – Świat jest pełen anarchistów, socjalistów i innych szaleńców, sir. Nie kuźden jest tak wrażliwy jak pon czy ja.

Holden odciągnął mnie na bok.

–Może pański wiejski przyjaciel ma rację – mruknął. – Ale obawiam się, że o taką potworność można podejrzewać wielu osobników, których spora część wydaje się na pierwszy rzut oka równie zdrowa na umyśle jak pan, ja... czy nawet ten hrabia herbu widły.

Roześmiałem się.

–Ale kto to mógłby być?

Holden wzruszył ramionami.

–Kolej napowietrzna to piękny wytwór rąk ludzkich, nieprawdaż? Ale wielu uważają za zagrożenie. Widzisz, mój młody przyjacielu, wszystko, co nowe, godzi w stary porządek. Wszystko, co nowe, wymaga nowego sposobu widzenia świata, nowych sposobów myślenia, a w rozlicznych zakątkach kontynentu wielu 1 po prostu nie stać na rewolucyjne zmiany poglądów.

Podrapałem się w podbródek i spojrzałem w górę. Lśniący łuk napowietrznej kolei

wybiegał ponad kanał, obojętny na zamęt w mojej głowie.

Była dziewiąta wieczór, kiedy wreszcie weszliśmy na ruchome schody, które zaniósł nas do naszego pociągu. Ogarnąłem spojrzeniem port. Słońce całowało teraz wodę i Księżyc wisiał wysoko na niebie, tworząc idealny sierp; Mały Księżyc, chmurka o zamazanych konturach i wielkości ziemniaka, wspinał się na ciemniejące niebo.

Ustawiliśmy się w kolejce przed krótkim pomostem. Przebiegłem wzrokiem sznur wagonów i zatrzymałem go na lokomotywie. Ogromna maszyna drzemała na szynie niczym wielka pan-tera; na połyskującym układzie przenoszącym skraplał się opar. Lokomotywa miała zasadniczo kształt cylindra, jak starsze modele napędzane węglem – chociaż komin, żelazny pierścień wysokości dwóch cali, był ledwo zarysowany. Wynikało z tego, że lokomotywa nie pluje zwałami dymu, powstałymi ze spalanego węgla. Wręcz przeciwnie, opar, na który zwróciłem uwagę, to nie był dym ani para wodna. To skroplone powietrze zbierało się wokół gigantycznego naczynia Dewara, spoczywającego w brzuchu lokomotywy i utrzymującego kilka cennych uncji antylodu w arktycznej temperaturze.

Na mosiężnej plakietce przyśrubowanej do cylindra wpisano numer silnika i nazwę lokomotywy „Latawiec z Dower”. Dziwne miano wzbudziło moje rozbawienie.

Podąłem sakwojaż tragarzowi, który zaniósł go przerażająco wąską kładką do wagonu bagażowego, po czym udałem się za Holdenem do naszego przedziału. Był niezwykle wygodny, z rozłożystymi, dobrze sprężynującymi skórzanymi kanapami barwy gęstej purpury – koloru Międzynarodowego Przedsiębiorstwa Transportu Napowietrznego. Kelner, drobny facecik o małej twarzyczce, wyglądającej prześmiesznie nad kołnierzem śnieżnobiałej kurtki, przyniósł nam napitki – mnie szkocką z wodą, Holdenowi koniak; czekając na zajęcie miejsc przez resztę towarzyszy podróży, spoczęliśmy przy wygodnym oknie, paląc i gawędząc.

Wyznałem Holdenowi, jak bardzo rozbawiły mnie kształty naszej lokomotywy, nie dające się porównać z nową maszyną o kształcie pocisku, przedstawioną na wystawie. Wyraziłem myśl, iż postęp dokonany dzięki antylodowi musiał zapewne kosztować. Rozważyliśmy szczegółowo tę sprawę, nie szczędząc jej czasu, po czym przeszliśmy do zagadnień ogólniejszych, roli i wpływu technologii antylodowej na życie społeczeństw. W końcu Holden stał się bardziej wylewny; rozkrochmalił się na dobre i przedstawił mi niezwykle intrygującą historię odkrycia antylodu...

U jej początków były tajemnicze legendy australijskich tubylców, Aborygenów. Te dzikusy opowiadały, że dawno temu w Australii spadł „ogień uwięziony w lodzie”. Byłoby to mniej więcej wtedy, kiedy Mały Księżyc po raz pierwszy pojawił się na niebiosach Europy (około 1720 roku). Tenże lód był zabarwiony na żółto i czerwono, a kiedy jakiś śmiałek ujął go w dłonie, wybuchął diabelski ogień, co kończyło się

całkowitą zagładą ciekawskiego.

Legendy usłyszane w jakimś podłym szynku zaintrygowały brytyjskiego uczonego i podróżnika Rossa, kierującego się na Antarktydę. Zdecydował się wyjaśnić zagadkę.

Poszukiwania doprowadziły go na przylądek Adare, skraj Antarktydy na południe od Australii. Ross i jego ludzie strawili sporo czasu na przeczesywaniu skutych lodem równin. W końcu dotarli do łagodnie pofałdowanych gór i niespodziewanie natrafili na płaskowyż zarzucony ogromnymi głazami. Kiedy psi zaprzęg z trudem kluczył między ostrymi, pokrytymi lodem fragmentami skał, Ross miał wrażenie (co opisał w swoim dzienniku), że nastąpiła tam jakaś podziemna eksplozja, która wyniosła odłamki skalne na powierzchnię. A co jeszcze dziwniejsze, w górskim łańcuchu pojawiła się wyrwa, jakby zdrową szczękę pozbawiono jednego zęba.

W miarę jak Ross zbliżał się do serca dziwnej równiny, zauważył, że głązy malały, aż płozy sań zaskrzypiały na kamykach drobnych jak żwir rzeczny. Tamtejszy lód był bardzo dziwny; miał gładkość szkła, jakby górna warstwa została do czysta zmieciona, i więził liczne kamienie, większe i mniejsze, niczym owady w bursztynie.

–Ross odniósł wrażenie, że dotarł do miejsca ogromnej eksplozji – powiedział Holden. – Góra rozpękła się, wielkie głązy wleciały wiele mil w powietrze; lód w mgnieniu oka zamienił się w parę, która gigantycznymi chmurami sięgnęła mroźnego podbiegunowego nieba. Para zamarzła, otulając fragmenty skalnego gruzowiska.

Holden, postukując cybuchem, wysypał popiół. Wydał mi się wtedy gnOMEM, opowiadającym pasjonującą opowieść o skarbach ukrytych w ziemi.

Coraz bardziej podekscytowany Ross parł dalej przed siebie, kontynuował opowieść Holden.

W końcu dotarł do centrum eksplozji.

Wyznaczała go wysoka na dziesięć stóp kopuła z nieznannej żółtej substancji.

Początkowo Ross mniemał, iż natknął się na jakiś rodzaj budynku, i rozważał, czy nie dane mu było dokonać nieoczekiwanego odkrycia antarktycznych dzikusów. Lecz szybko zdał sobie sprawę, że nie jest to ludzka konstrukcja; a kopuła nie była wydrążona. Miał przed sobą jakiś dziwny nowy lód. Zbliżył twarz do mroźnej powierzchni, startł kilkucalową warstwę świeżego śniegu i spróbował przeniknąć wzrokiem tajemnicze wnętrze.

Pokłady różowo-czerwonej substancji wisiały w żółtej masie jak zastygłe welony.

Ekspedycja rozbiła obóz w pobliżu lodowej kopuły. Ross zdawał sobie sprawę, że najbezpieczniej byłoby przewieźć próbki wyjątkowego lodu na statek – albo nawet do

Anglii – i tam dopiero poddać je uważnej analizie. Ale zafascynowany opowieściami Aborygenów nie potrafił czekać z założonymi rękami.

Cóż, był człowiek dociekliwym, badaczem.

Tak więc gdy krótka antarktyczna noc miała się ku końcowi, nakazał jednemu ze swoich ludzi naskrobać pełny cynowy garnuszek dziwnego materiału i postawił naczynie na przenośnym piecyku.

Większość uczestników wyprawy zgromadziła się wokół.

–Wybuch pozbawił życia trzech ludzi, a resztę ciężko poranił – rzekł sucho Holden. – Zabił część psów, część śmiertelnie wystraszył, powywracał sanie. Sam Ross stracił ramię i oko, a w miejscu, w którym stał piecyk, zionął krater głęboki na sześć stóp. – Holden uśmiechnął się. – Tamtego dnia Ross umieścił w dzienniku zapis, który zyskał nieśmiertelną sławę: „Żółty lód przyprawił mnie o pożałowania godny stan. Po piecyku i garnuszku Bena nie zostało ani śladu”.

Proste bohaterstwo tych słów wycisnęło mi gorące łzy z oczu. Łście angielski styl!, pomyślałem.

Ross i ci jego towarzysze, którzy przeżyli, wrócili na statek i udali się do najbliższego cywilizowanego portu.

–Kiedy wieści o odkryciu dotarły do Anglii, Królewskie Towarzystwo Naukowe zorganizowało nową ekspedycję na przylądek Adare, wyposażoną w najnowocześniejszą aparaturę pomiarową, tak że teraz w tym zakątku Antarktyki mieści się prawdziwe miasto naukowców i inżynierów. Sam Traveller nazywa to zapomniane przez Boga miejsce swoim drugim domem. I pojawiła się całkiem nowa profesja – kriosyntetyków – godnych dżentelmenów, którzy opracowują sposoby bezpiecznego przewożenia antylodu w niskich temperaturach z przylądka na drugi koniec globu, wykorzystując ogromne naczynia Dewara i tym podobne.

Gwizdek poinformował nas w końcu, że pociąg jest pełny i gotów do odjazdu i ruszyliśmy z prawie niewyczuwalnym szarpnięciem; tylko lód leciutko zadzwonił w szklance. Minęliśmy budynki portowe i znaleźliśmy się nad kanałem La Manche. Ostatki słonecznego blasku rozłożyły się brylantową poświatą pod naszym wagonem i poczułem przyływ uniesienia i dumy.

Jedną z sensacji sezonu było zaopatrzenie głównych linii kolei napowietrznej w wagony restauracyjne w stylu amerykańskim, toteż nasz kelner o małpiej facjacie pojawił się wkrótce, informując, iż kolacja będzie podana za kwadrans, i uzupełnił zawartość naszych kieliszków.

–Tak więc antylód jest dostępny tylko w jedynym miejscu na Ziemi, na przylądku

Adare?

–To logiczne, że tylko regiony polarne zapewniają przetrwanie tej substancji – tłumaczył cierpliwie Holden. – Jeśli bowiem znajdzie się w cieplejszym klimacie, szybko niszczy samą siebie i... sporą część otoczenia. Nasi badacze spenetrowali obszary Antarktyki, ale nie natrafili na inne skupiska antylodu. Interesująca sprawa, flaga brytyjska powiewa nad biegunem południowym od tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku. Kto wie, czy bez tego bodźca, jakim okazało się znalezienie antylodu, wystarczyłoby chęci do zorganizowania ekspedycji.

–Tak więc złóżę lodu, na które natknął się Ross, to jedyny zapas?

–Najwyraźniej. Jego masę szacuje się na tysiąc ton i o ile mi wiadomo, to wszystko, co znajduje się na naszym globie. Doprawdy wygląda na to, że stare opowieści Aborygenów były prawdziwe – antylód spadł z nieba. Przeleciał nad Australią i spoczął na Adare.

Potarłem podbródek.

–To żałośnie skąpa ilość, biorąc pod uwagę niesłychane znaczenie tego materiału dla Brytanii, jeśli nasz kraj nadal chce grać pierwsze skrzypce w orkiestrze narodów świata.

Holden skinął głową.

–Na szczęście nawet niewielka ilość antylodu wystarcza na bardzo długo. Na przykład, do napędzania tego pociągu potrzeba zaledwie kilku uncji na miesiąc. Niemniej jednak ma pan rację. A przecież znajdujemy coraz bardziej pomysłowe sposoby wykorzystania tego materiału. Daje to argument do ręki tym, którzy sprzeciwiają się użyciu antylodu do działań wojennych – kontynuował. – Nieprzyjaciele Brytanii nie dysponują inną obroną przeciwko artylerii antylodowej poza... czasem. Kiedy wyczerpiemy nasz cenny materiał, tamci będą mogli runąć na nas niczym wilcza wataha.

Zamilkł. Dokończyliśmy nasze napitki i udaliśmy się w kierunku wagonu restauracyjnego. Kiedy szedłem rozgrzany whisky, zdałem sobie sprawę, że pociąg rytmicznie się kołysze. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem szynę zwisającą na pylonach. Kiedy pociąg mijał kolejne gigantyczne wsporniki, towarzyszyły temu prawie niewyczuwalne wstrząsy. Pylony zbudowano z żelaznych kratownic, które zdawały się wyrastać prosto z pociemniałej powierzchni kanału – lecz ja wiedziałem, że w istocie zamocowano je do ogromnych pontonów zanurzonych tuż pod lustrem wody, od których szły z kolei liny kotwiczne stawiające dzielny opór osławionym prądom kanału.

Wszystkie trzy mosty na kanale skonstruowano identycznie. Wedle mojej wiedzy

zdecydowała o tym lekkość samej szyny kolei napowietrznej i niestabilność dna morskiego w regionie, uniemożliwiająca osadzenie stałych fundamentów.

Zajęliśmy miejsca w wagonie restauracyjnym i niebawem pochłonęły nas znajome, kojące dźwięki: brzęk sztućców o porcelanę zdobioną godłem Międzynarodowego Przedsiębiorstwa Transportu Napowietrznego, szmer wyszukanej konwersacji, syte aromaty wyśmienitej angielskiej kuchni, a później porto, koniaków, kawy i wybornych cygar. Podczas jedzenia wymienialiśmy z Holdenem niewiele uwag; lecz po kolacji odsunąłem fotel, rozprostowałem nogi i uniosłem koniakówkę w stronę dziennikarza.

–Za antylód i jego potomstwo, bogactwo cudów tej epoki! – powiedziałem, być może nieco niewyraźnym głosem.

–Dołączę się do tego toastu – rzekł z uśmiechem Holden. Rozsiadł się wygodnie i zawiesił pulchne kciuki na łańcuszku zegarka. – Ale przy jego powtórzeniu nie radziłbym wrzucać do szklanki kostki antylodu. Widzi pan, antylód został tak ochrzczony z racji niezwyklej antypatii wobec każdej „normalnej” substancji, w tym wypadku whisky i szkła. Antylód i równa mu masa trunku i naczynia zniknęłyby, zastąpione przez wielką ilość energii cieplnej, wyzwolonej w niezwykle gwałtowny sposób. To całkowicie zepsułoby pański dobry nastrój.

–Czyżby zwykła whisky... czy cokolwiek innego... mogła się zamienić w substancję tak niszczycielską jak, powiedzmy, dynamit?

Uśmiechnął się z pobłażaniem i nadaremnie usiłował wygładzić niesforną czuprynę.

–O wiele bardziej niszczycielską, młody człowieku. – *lil* Przeszedł na bardziej familiarny ton. – Ale nie wiemy jak niszczycielską. James Maxwell postawił hipotezę, że być może antylód reaguje podobnie jak tlen, który łącząc się z innymi pierwiastkami, uwalnia energię w postaci ciepła i światła. – Przyjrzał się mej twarzy, wyrażającej, jak się obawiam, całkowitą bezmyślność. Dodał z ciepłą wyrozumiałością: – Opisuję normalny proces spalania. Ogień, Ned.

–...Aha. Hm, w takim razie jest wyjaśnienie! Antylód to nowy rodzaj tlenu, powodujący nowy rodzaj ognia.

–Być może. Ale Joule, wyciągając logiczne wnioski ze swych eksperymentów przeprowadzonych wraz z Thomsonem, wykazuje, że ilość energii, jaka ulega wyzwoleniu podczas reakcji z antylodem, jest nieporównywalnie większa od tej, jaka wiąże się ze wszystkimi znanymi reakcjami chemicznymi. Być może mamy do czynienia z siłami związanymi z jakąś głęboką strukturą materii, daleko wykraczającymi poza to, co wiemy obecnie o reakcjach chemicznych. Być może musimy poczekać aż do następnego stulecia, Ned, kiedy posługując się wielkimi mikroskopami, wejrzymy na tyle głęboko w materię, żeby zrozumieć tajemnice

spoczywające w jej rdzeniu.

Zamówiłem następną kolejkę koniaku.

–Wszystko to bardzo piękne – powiedziałem nieco bełkotliwym tonem – ale co ci sławni goście, Maxwell i... i...

–Joule.

–No, Joule, mają do powiedzenia na temat, moim zdaniem, najbardziej zagadkowej sprawy – mianowicie tego, że tym interesem da się idealnie bezpiecznie operować w temperaturach polarnych. Przecież wybuchu dopiero wtedy, kiedy się go podgrzeje, jak biedny stary Ross przekonał się na własnej skórze.

–Hm. – Holden oczyścił fajkę, nabił świeżym tytoniem i zapalił. – Ostrożne... i niebezpieczne... eksperymenty w Ada-re wykazały, że w antylodzie jest silne pole magnetyczne. Osłania groźną substancję, izolując ją od normalnej materii. Lecz ze wzrostem temperatury pole magnetyczne zanika, co w konsekwencji prowadzi do eksplozji.

Zmarszczyłem czoło, próbując zrozumieć ten wykład.

–A co powoduje istnienie tego pola magnetycznego? Drobiny magnetytu rozproszone w naszej substancji?

Pokręcił przecząco głową.

–Prawda jest nieco bardziej skomplikowana...

–Tego się obawiałem.

Holden opisał mi, jak eksperymenty Michaela Faradaya wykazały, że można wzbudzić pole magnetyczne, wprowadzając silny prąd elektryczny. Wygląda na to, że w antylodzie przepływa bez końca potężny prąd elektryczny, generując w ten sposób potrzebne pole magnetyczne.

–Ale w tej substancji nie ma żadnego miniaturowego dynama; prawdopodobnie prąd elektryczny po prostu krąży w nieskończoność wewnątrz niej, jak woda w zamkniętym kanale. Bez początku, końca i pierwszej przyczyny. Można by to porównać do robaka Ouroborusa z perskich opowieści, który utrzymuje się przy życiu, połykając w nieskończoność własny ogon.

–Na Jowisza, to dopiero! Ale posłuchaj, Holden; rzeka nie może tak po prostu płynąć i płynąć. Prędzej czy później musi się zatrzymać, bo przecież nie da się stworzyć zamkniętego kanału, w którym woda płynęłaby wiecznie przed siebie... a

może się da? – Nagle ogarnęły mnie wątpliwości.

Skłonił twierdząco głowę.

–Faktycznie. Nie da się. Ale jeśliby taki zamknięty kanał wyłożyć jakimś cudownym szkłem, likwidującym zjawisko tarcia, woda płynęłaby nim w nieskończoność.

Próbowałem sobie to wszystko wyobrazić.

–A jak taki kanał pomaga wytłumaczyć fenomen elektryczności?

–Faraday prześledził niewidzialne ścieżki w próbkach anty-lodu. W tych ścieżkach nie ma oporu elektrycznego. Rozumiesz, tak jak w szklanych kanałach, które ci opisałem. Faraday nazwał ten fenomen „nadprzewodnictwem”. To właśnie owo nadprzewodnictwo załamuje się, gdy rośnie temperatura antylodu. Widzisz, prąd elektryczny przestaje płynąć, tak więc pole elektryczne zanika.

–Mam wrażenie, że ta materia mogłaby przynieść jakieś handlowe korzyści – zastanowiłem się na głos. – Chociaż tak na gorąco trudno mi coś wymyślić...

–Jak najbardziej! – Holden rozsiadł się wygodniej. Fajkowy dym spowijał mu głowę.
– Wyobraź sobie, że zamienilibyśmy nasze kable pod Atlantykiem na połączenia nadprzewodzące. Najślabszy prąd, najmniejszy sygnał pokonałby ocean, nie tracąc ułamka mocy! A gdyby wykonać energetyczne linie przesyłowe z materiału nadprzewodzącego, można by rozsyłać prąd po całych kontynentach, nie licząc się z odległościami! – Klasnął dłonią w stół. Resztki sreber zatańczyły i kilka głów odwróciło się z ciekawością w naszą stronę. – Powiadam ci, Vicars, przy takim kroku w przyszłość antylodowe cuda wydałyby się niczym. Człowieku, cały świat stałby się inny!

Roześmiałem się, poruszony jego entuzjazmem.

–A czy uczeni są pewni, że uda im się zbudować takie kable i przewody?

Westchnął, jakby uszło z niego powietrze.

–Jestem przekonany, iż Traveller zbudował prototypowe urządzenia, które wykorzystują nadprzewodzące ścieżki w blokach antylodu. Ale to nie doprowadziło do wyizolowania komponentu antylodu odpowiedzialnego za nadprzewodnictwo.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem, dostrzegając w tym dziwnym człowieku o pulchnym obliczu duszę marzyciela. Jego rojenia o przemienionej Europie wydawały się spoczywać na wyciągnięcie ręki, ale pozostawały poza zasięgiem realności.

Zerknął z ukosa na mnie i moją pustą koniakówkę.

–Czy jesteś w nastroju do słuchania o innych zaletach antylodu? Na przykład o temperaturze, którą wzbudza, co prowadzi do niesłychanego wzrostu sprawności cyklu Carnota, proporcjonalnego do różnicy temperatur pracy między...

Machnąłem dłonią uzbrojoną w kielich.

–Na Jowisza, przyjacielu, jestem pod wrażeniem twojej erudycji, ale jeszcze bardziej twojej bystrości. Masz rację! Nie jestem w nastroju do dalszego zgłębiania takich naukowych implikacji. Ale spójrz! – Wielce teatralnym gestem wskazałem obraz za oknem.

Zrobiło się bardzo późno i za odbiciami przygaszonych koszulek gazożarowych widniała bogata luminescencja rozgwieżdżonego nieba; lato słało swój blask, nie gasnący nawet nocą. Światła jakiegoś wielkiego statku przesuwaly się pod metalową konstrukcją mostu niczym tratwa zbita ze spadających gwiazd.

Wykręcaliśmy szyje, jako że pociąg unosił nas coraz dalej od statku; wraz ze zmieniającą się perspektywą uwydatniały się zarysy kadłuba i nadbudówek. Ramy tego żywego obrazu tworzyły latarnie pozycyjne pylonów.

–Dobry Boże, to ci widok! – szepnął Holden.

Musiałem odwrócić głowę, żeby objąć wzrokiem statek.

–Ależ on ma z pół mili długości! Taki lewiatan musi być napędzany antylodem.

Holden rozparł się w fotelu i poprosił o kolejny napitek.

–W rzeczy samej. To może być tylko „Wielka Wschodząca”, istny potwór stworzony ludzkimi rękami.

–Sławne przedsięwzięcie Brunela?

–Nie, nie, chodzi mi o jednostkę zaprojektowaną przez Jo-siaha Travellera jakieś pięć lat temu i ochrzczonej na cześć tamtego wielkiego inżyniera. – Holden uśmiechnął się nad swoim znów pełnym kieliszkiem. – To ironia losu, że Travellera nękały podobne kłopoty finansowe jak Brunela, szukającego funduszy na zbudowanie swojej „Wschodzącej”. No, ale jednostka Brunela to był ni pies ni wydra; liniowiec pasażerski tak paskudny i brudny, że jedyną jego zaletą były nowatorskie rozwiązania konstrukcyjne. Traveller przynajmniej od początku zdecydował, że jego statek będzie przede wszystkim frachtowcem. Nową „Wschodzącą” napędza turbina antylodowa; statek jest tak wielki, że praktycznie nie musi się liczyć z siłami przyrody. Nie musi też zawijać do portów w celu uzupełniania paliwa, bo chociaż dźwiga niebezpiecznie wielki ładunek antylodu, to kriosyntetycy zabezpieczyli go tak starannie, że nie grozi nam żaden wybuch!

Uniosłem koniakówkę i wzniosłem toast nieco dobitniejszym głosem niż miałem zamiar:

–W takim razie za Travellera i wszystkie jego dzieła!

Holden uniósł swoje naczynie i jego krągła postać ze sterczącymi ramionkami przeobraziła się w moich oczach w żywy balon – zasługa rozbawienia podsycanego dobrym trunkiem.

–Josiah Traveller – powiedział wolno i z namysłem. – Złożona osobowość. Dorównująca inżynierskiemu geniuszowi Brunela, a jednocześnie prawie bezradna w obliczu złożoności świata. Być może zupełnie bezradna. Brunel przynajmniej obracał się między wielkimi globu, pracował z równymi sobie. Z tego, co wiem, Traveller trzyma się na uboczu, w swoim laboratorium w Farnham. Nie ślęczy nad stołem kreślarskim, nie rysuje projektów. Konstruuje prototypy, z których ludzie pomniejszych talentów muszą stworzyć działające maszyny.

–Jednak mimo tego, to on jest ojcem zmaterializowanych wizji.

–Zaiste.

Zafascynowany pochyliłem się nad stolikiem.

–A czy to prawda, Holden, że Traveller wzniósł się w powietrze? Tamte fotografie na wystawie w Manchesterze...

Machnął ręką z pewnym lekceważeniem.

–Kto wie? W przypadku Travellera trudno odróżnić bajki od prawdy. Być może ten pierwiastek fantazjowania, który w nim tkwi, jest w równej mierze źródłem twórczej mocy co wadą charakteru. No, a to całe jego przedsięwzięcie z „Księciem Albertem”... Czy Europa naprawdę potrzebuje liniowca lądowego? Obawiam się, że tego rodzaju pytania są gotowi zadać przeciętni... i przyziemni... inwestorzy, chętni raczej włożyć pieniądze w nowe przędzalnie bawełny i fabryki. Lękam się, że nie są oni podatni na tchnienie fantazji.

Pociągnąłem łyk koniaku.

–Nie są, a podejrzewam, że wszystkie podobne im kufry mamony, niechętnie uszczuplić swój stan posiadania, będą w siódmym niebie, kiedy budowa „Alberta” rozbije się o finansowe rafy.

–Tak. – Holden skinął głową. Zmrużył oczy i przybrał chytrą minę. – Jak najbardziej. Nie każdy Francuz uraduje się, oglądając na wodach Sekwany lewiatana z powiewającą flagą Wielkiej Brytanii. Zazdrość nie jest wyjątkowym uczuciem pośród

przeciętnych obywateli kontynentu.

Roześmiałem się.

–Byłby z ciebie niezły dyplomata!

–No, ale przyjrzyjmy się z kolei narodom kontynentu! – rzekł ze zdecydowaniem. – Oto Francuzi wiecznie przywołujący pamięć krwawej przeszłości, rządzeni przez Ludwika Napoleona, tak zwanego „bratanka” Bonapartego. Rosjanie to masy tkwiące w średniowieczu, a marzące o przyszłości. Austria jest tylko wspomnieniem dawnej świetności – spójrz, jak padła po wojnie siedmioletniej ze swoim germańskim kuzynem! Nic dziwnego, że wszyscy obrzucają zawistnymi spojrzeniami Brytanię, ojczyznę inicjatyw i przedsiębiorczości, ojczyznę przyszłości!

–Może masz rację – rzekłem, rozruszany jego wigorem i poczuciem humoru. – A co się tyczy Prusaków, to możemy oczekiwać, że uwagę herr Bismarcka pochłonie bez reszty Francja. Ha! Obawiam się, że niebawem się przekona, iż jego apetyt przerasta możliwości.

Holden zasępił się, rysy jego twarzy zaostrzyły się.

–Europa... cóż to wybuchowa mieszanka... Ned, czy trafiłeś na pamflety Synów Gaskonii? „Jeszcze raz na Calais”... nęcący tytuł. Synowie wierzą, że obowiązkiem Brytanii jest narzucić porządek tym nierozgarniętym obcokrajowcom.

–Pamiętaj, że Brytania jest monarchią konstytucyjną – powiedziałem, starannie dobierając słowa, trochę zaniepokojony twardą nutą, zadającą kłam dobremu nastrojowi mego towarzysza podróży. – Od naszych kontynentalnych sąsiadów dzieli nas przepaść. Władza w Brytanii spoczywa nie w rękach jednostki, ale jest solidnie umocowana na fundamencie dawnych instytucji i praw.

–Jak najbardziej – przyznał mi rację Holden, kiwając przy tym głową. – A jednak nasz król i jego matka są za przywróceniem Burbonom tronu Francji! Co o tym myślisz? Jaki to ma związek z naszą konstytucją? Hę?

Natężyłem umysł, szukając odpowiedzi, a kiedy zajrzałem do kieliszka, tam szukając inspiracji, przekonałem się, że nie wiedząc kiedy, osuszyłem go do dna. Gdy podniosłem wzrok i ujrzałem zawiadacką minę Holdena, nie myślałem już o jego pytaniu.

–Myślę, że czas udać się na spoczynek – powiedziałem.

–Na spoczynek...! – Był wstrząśnięty. – Mój chłopcze, rozejrzyj się: oto światła Ostendy. Zapominasz, że żyjesz w Wieku Cudów, Ned. Jesteśmy na miejscu! Daj spokój. Sądzę, że wypadałoby przełknąć łyk świeżej kawy, zanim przybijemy do portu

i wkroczyliśmy na cierniową drogę poszukiwań dorożki...

Pociąg westchnął leciutko i zaczął zwalniać.

Rozdział 3

Liniowiec lądowy

W Ostendzie spędziliśmy kilka dni. Następnie udaliśmy się na miejsce budowy „Księcia Alberta”, jednaście mil na południe od Brukseli.

Szyna kolei napowietrznej skręcała nad stolicą Belgii z północy na południe, podążając śladem kolei żelaznej. Obejrzeliśmy rozległe leśne przestrzenie Domaine Royal i przemknęliśmy nad spiczastym dachem Gare du Nord, głównego dworca. Ostre słońce nadawało Brukseli wygląd średniowiecznego malowidła, eleganckiego, złotego i ozdobnego, pełnego barw i życia.

Parc du Bruxelles rozłożył się pod nami niczym zielono-biała chusteczka rzucona przed bramy miasta. Oddalaliśmy się coraz bardziej na południe.

Wiejskie okolice były zielone i urozmaicone, tak że poczuliśmy się prawie jak nad wesołą Anglią. Suchy dok „Księcia Alberta”, który niebawem przesłonił horyzont, był jaskrawą plamą hałd węgla, zardzewiałego żelaza i oleju.

Do stacji końcowej położonej blisko suchego doku przybyliśmy około szóstej wieczór. Zjechaliśmy na ziemię ruchomymi schodami, poprzedzani sznurem niewiast słusznych kształtów i wieku, odzianych w aksamity; obserwowaliśmy je z rozbawieniem, kiedy lawirowały między błotem i żelastwem, osuszając przy tym rąbkami sukien oleiste kałuże.

Prezentację „Alberta” zaplanowano na południe następnego dnia i wezwaliśmy dorożkę, aby przewiozła nas do gospody. Pojazd podskakiwał na nierówno ułożonym bruku, kiedy rozweseleni oglądaliśmy okolicę. Wokół doku wyrosło tymczasowe miasto – wzniesione z nie heblowanych desek, blachy żelaznej i kartonów, niemniej jednak miasto. W wielu pubach i szynkach było rojno i gwarno jak w ulu, chociaż wieczór był jeszcze wczesny. Piwo serwowane w wielkich ilościach wyraźnie przypominało dobre, ciężkie *ale*, jakie podają w starej Anglii. Panowała atmosfera wiejskiego jarmarku; akrobaci bez przerwy płoszyli nasze szkapy, wyskakując na ulicę, dostrzegliśmy też kram londyńskich kukiełek, Puncha i Judy, przeniesiony żywcem z East Endu. Otaczała go czereda dostatnio ubranej dzieciarni. Szyldy reklamowały takie okazy, jak sześćcionóżna owca i człowiek-arytmometr; wszędzie unosiła się woń gorących kasztanów, jabłek w cieście i słodczy, brzęczały katarynki, zawodziły karuzele, uszy przewiercał gwizd glinianych kogucików.

–Dobry Boże, Holden, co to za Belgia! – powiedziałem, rozradowany tym wszystkim. – To zupełnie jak błogosławiona Wyspa Romansów. *[[przyp – East End – londyńska dzielnica uciech. (Przypisy pochodzą od tłumacza).]]

W jego oczkach zabłysły iskierki rozbawienia.

–Oto słowa kosmopolitycznego dyplomaty. A czego ty byś szukał na Wyspie Romansów, Ned, hę? – Poczułem, że czerwienię się jak burak, ale uniósł pulchną dłoń. – Mniejsza z tym, chłopcze, też byłem kiedyś młody. I czemu tu się dziwić. „Książę Albert” to pierwszy liniowiec lądowy wyruszający na równiny północnej Europy, jednostka angielska – zaprojektowana przez angielskich twórców, wyposażona przez angielskich inżynierów, zbudowana przez angielskich stoczniovców. Dzięki temu mila kwadratowa belgijskiej ziemi stała się częścią East Endu. To nasza angielska kolonia, chłopcze, być może symbol naszej technologicznej dominacji w Europie.

Przybliżyliśmy się do centrum tętniącego życiem obszaru. Tawerny i pensjonaty gęsto otaczały dziwny wzgórek. Pokryty trawą., najwyraźniej usypany ludzkimi rękami, wyrastał jakieś sto Pięćdziesiąt stóp ponad resztę terenu. Na jego szczycie spoczywał kamienny lew; wspierał łapę na ziemskim globie, wzrok mając utkwiony w oddali.

Kiedy Holden zwrócił się do mnie, w jego głosie znów pojawiła się ta sama co uprzednio, niepokojąca nuta:

–Oto mamy Butte de Lion, Ned. Lwi Wzgórek. Wzniesiony z ziemi, którą wdzięczni krajowcy dostarczyli koszami i workami z pól bitewnych, tak aby nasza sławna wiktoria została upamiętniona po wsze czasy. – Wpatrzony w szlachetne zwierzę, wyrzeźbione w kamieniu, przygryzał dolną wargę.

Ja również wpatrywałem się w lwa z zachwytem i podziwem, usiłując wyobrazić sobie tamten czerwcowy dzień, pół wieku temu, kiedy Wellington wreszcie zmierzył się wzrokiem z Korsykaninem niedaleko stąd...

Gdyż była to oczywiście wieś Waterloo i gdzież, jak nie tam, było stosowniejsze miejsce budowy nowoczesnego symbolu triumfu Brytanii? (Chociaż przyszło mi na myśl, iż angielska armia potrzebowała śmiałej interwencji Prusaków, aby rozbić francuską nawałę. Jednakże ugryzłem się w język i nie przypomniałem tego faktu Holdenowi).

Ten pochylił się i wskazał przed siebie fajką.

–Patrz...

Nowy pomnik, liniowiec lądowy, rozpiętał się po zachodniej stronie horyzontu, na tle nisko wiszącego słońca. Szkielet statku wynurzał się z morza byle jak skleconych chat i budek, najeżony rusztowaniami i obwieszony brezentowymi płachtami. Elektryczne łuki rozjaśniały rusztowania; w ich blasku mrowili się robotnicy.

Holden przemówił ściśniętym głosem, jakby był bliski łez:

–Ale widok, Ned. Co ludzie z kontynentu myślą o takich przedsięwzięciach? Są jak średniowieczni wieśniacy, którzy ze słomą we włosach i rozdziawionymi gębami wpatrywali się w strzeliste kształty gotyckich katedr.

Miałem na końcu języka uwagę, że gdybyśmy potrafili odnaleźć jakiegoś Belga w tym zbiorowisku sprytnej londyńskiej gawiedzi, to być może udałoby się nam zapoznać z jego poglądami na tę sprawę – gdy z nieba runął hałas tak potężny, tak przygniatający, jakby dłoń Boga spoczęła na dachu dorożki. Konie stanęły dęba i zarżały. Pojazd zakołysał się niebezpiecznie.

Nad nami przesunęło się światło, białe i ostre, rzucając ostre jak nóż cienie na młody pejzaż.

W rozbawionym tłumie zapadła cisza. Światło minęło rozległe kształty „Alberta” i opadło, zaćmiewając słońce.

–Dobry Boże, Holden – szepnąłem. – Co to było?

Uśmiechnął się szeroko.

–Sir Josiah Traveller, członek Królewskiego Towarzystwa Naukowego, przeleciał nad nami na pokładzie swojego powietrznego powozu, „Faetonu” – oznajmił z emfazą.

Wpatrywałem się w gasnący blask.

Hałas otoczył nas z powrotem, powróciwszy niczym fala odepchnięta od brzegu, a dorożka znów ruszyła przed siebie.

Naszą gospodę prowadził Belg z dziada pradziada. Dom był ciasny i marnie umeblowany, ale czysty, a pożywienie, chociaż proste, było zdrowe i syte, w angielskim stylu.

Poszliśmy spać wcześniej i o ósmej rano ósmego sierpnia, w dniu prezentacji, przywdzialiśmy nasze najelegantsze stroje, po czym wyruszyliśmy na statek. Gospoda znajdowała się może ze dwie mile od doku i byłem gotów wezwać powóz, ale Holden sprzeciwił się, argumentując, iż poranny spacer przyjemnie nas orzeźwi.

Tak więc ruszyliśmy przez brudne, zaśmiecone ulice. Napędzana piwem zabawa kręciła się w najlepsze mimo wczesnej pory – lub też, jak zauważył Holden, nie skończyła się od ostatniej nocy. Wyglądało to na wielkie zaimprovizowane przyjęcie; oglądaliśmy dobrze ubranych dżentelmenów z miasta stawiających piwo usmolonym cieślom okrętowym, podczas gdy panie ze wszystkich klas mieszały się ze sobą,

okazując zdumiewającą obojętność względem doboru odpowiedniego towarzystwa. Kiedy szliśmy ulicami wśród roześmianych tłumów, krew szparko krążyła mi w żyłach i czułem rosnące uniesienie.

Minęliśmy róg i ujrzeliliśmy statek w pełnej krasie.

Zaparło mi dech. Holden zatrzymał się jak wryty i zatknął kciuki za połyskliwy łańcuszek opinający wydatny brzuch.

–To dopiero widok. Chciałbyś podziwiać go z ciasnej dorożki, Ned?

Wielki liniowiec lądowy wychynał już spod brezentów i rusztowań i spoczywał pośrodku płaskiego belgijskiego pejzażu niczym ogromna, nieprawdopodobna bestia, okrążona dźwigami i suwnicami.

Podeszliśmy bliżej. Miał postać oceanicznych kuzynów, ostry dziób i zaokrąglony kil, ale brakowało mu opływowości kształtów, a pomalowane na białą burty pyszniły się iluminatorami, oszklonymi zejściówkami i galeriami widokowymi. Trzy pary kominów, jaskrawoczerwonej barwy, zwieńczone miedzianymi opaskami i czarnymi kołpakami, sterczały w niebo. Barwna ciżba roiała się wokół statku, oglądając sześć żelaznych kół, na których spoczywał.

Z każdego komina tryskał pióropusz pary, ale statek pozostawał w spoczynku. Podeszedłszy bliżej, dostrzegłem wielkie liny prowadzące do przypominających łopaty urządzeń, wyższych niż człowiek, wrytych w ziemię – były to kotwice lądowe, wytłumaczył Holden, zapobiegające osunięciu się po zboczu. Poza tym „Alberta” przykuwały do ziemi rozliczne pomosty i rampy załadownicze – niczym jakiegoś mechanicznego Guliwera.

Pokład spacerowy, ozdoba górnych partii statku, jeżył się parasolami i przeszklonymi werandami. Dostrzegłem również podium okupowane przez niewielką orkiestrę dętą. Dźwięki muzyki rozchodziły się w stojącym powietrzu.

Podeszliśmy do jednego z kół. Piasta była szersza niż mój tors. Żelazne śruby grube na pięć trzymały w ryzach szprychy.

–Ależ Holden, każde z tych kół co najmniej czterokrotnie przewyższa dorosłego mężczyznę! – wykrzyknąłem zdumiony i zachwycony.

–Masz rację – powiedział. – Statek ma ponad siedemset stóp od rufy do steru, osiemdziesiąt w najszerszym miejscu i ponad sześćdziesiąt od stępki do pokładu spacerowego. Pod względem rozmiaru i tonażu – wynoszącego osiemnaście tysięcy – jednostka jest porównywalna z wielkimi liniowcami oceanicznymi Brunela... Przecież każde z kół waży trzydzieści sześć ton!

–To cud, że nie osiadł w ziemi, jak obładowany wóz na błotnistej drodze.

–W rzeczy samej. Ale, jak widzisz, do kół przymocowano pomocnicze urządzenia, na których rozkłada się ciężar statku.

Zauważyłem wtedy, że wokół każdego koła rozmieszczono szerokie żelazne łopaty i wędrujący statek miał sam kłaść przed sobą przenośną nawierzchnię.

Wmieszaliśmy się w tłum. Koła i górujący nade mną kadłub wielkości klifowej skały, sprawiły, że poczułem się jak robak obok ogromnego powozu, a Holden w dalszym ciągu wyliczał rozmaite inżynierskie cuda. Lecz przyznaję, iż ledwo go słuchałem i nie przyglądałem się triumfowi Travellera tak, jak na to zasługiwał. Nieustannie bowiem przeczesywałem wzrokiem tłum, szukając tylko jednej twarzyczki.

W końcu mi się udało.

–Françoise! – krzyknąłem, machając wysoko uniesioną dłonią.

Była w niewielkim towarzystwie, z wolna wspinającym się zejściówką ku jednemu z dolnych pokładów. Grupa składała się z paru dandysów i podobnych krzykliwie odzianych osobników. Françoise się odwróciła i dostrzegłszy mnie, lekko skinęła głową.

Zacząłem się przedzierać przez uperfumowany tłum.

Holden podążył za mną.

–Ach, co to znaczy być młodym – westchnął z rozbawieniem, ale nie bez nutki wyrozumiałości.

Dotarliśmy do pomostu.

–Witam, panie Vicars – powiedziała. Uniosła dłoń w jedwabnej rękawiczce, kryjąc uśmiech, a jej twarzyczka w kształcie serca pochyliła się pod parasolką. – Tak podejrzewałem, że Możemy znów się spotkać.

–Doprawdy? – wysapałem bez tchu i płonąc rumieńcem.

–W rzeczy samej – rzekł sucho Holden. – Cóż za nieprawdopodobny zbieg okoliczności, że dwoje państwa... Auuu!

Kopnąłem go. Był z niego dowcipny chłop na swój sposób, ale w pewnych okolicznościach...

Miała na sobie suknię z niebieskiego jedwabiu, lekką i nęcąco odkrywającą szyję. Kreacja ujawniała, że jej właścicielka jest tak szczupła w talii, iż można by ją objąć

jedną dłonią. Poranne słońce, rozproszone pod parasolką, otuliło jej włosy.

Długą chwilę stałem tylko jak ostatni gamoń. W końcu Holden odwzajemnił mi się kopniakiem i otrząsnąłem się.

Jeden z dandysów wystąpił przed resztę towarzystwa i skłonił się z komiczną powagą.

–Panie Vicars, znów się spotykamy.

Facet miał na sobie krótką jasnoczerwoną marynarkę na kamizelce w żółto-czarną szachownicę, zdobionej ciężkimi guzikami z brązu, wysokie buty z przeraźliwie żółtej skóry, bukiet w butonierce. Oczywiście, wszystko to było zgodne z zaleceniami najświeższej mody i współbrzmiało z wesołą nutą wydarzenia, ale odczułem znaczną ulgę, że spotkawszy się w tym miejscu i czasie z Françoise, byłem w znacznie bardziej stonowanym odzieniu. Z feerii barw wpatrywała się we mnie ciemna szczurza twarz i ogarnięty chwilową paniką szukałem w pamięci nazwiska.

–Ach, monsieur Bourne, co za przyjemność. Uniósł kpiarsko brwi.

–Doprawdy?

Françoise przedstawiła mnie pozostałym towarzyszom – przystojnym młodym ludziom, których twarze i nazwiska nie zachowały się w mej pamięci.

Odwróciłem się ku niej. Uprzednio przygotowałem na tę okazję kilka lekkich i żartobliwych uwag dotyczących literackiej sensacji sezonu – *Dwóch narodów*, koszarnej utopii Disraeliego – ale w słowo wszedł mi Frederic Bourne, który powiedział:

–Spodziewam się, że tego dnia nie napotkamy pańskiego pruskiego kolegi, panie Yicars.

Straciłem grunt pod nogami i zdałem sobie sprawę, że tylko otwieram i zamykam usta.

–Hm...

Françoise przyglądała mi się z leciutką naganą.

–Z pewnością rozwój wydarzeń wojennych jest panu wiadomy, panie Vicars?

Holden pospieszył mi na ratunek.

–Ależ w chwili, w której opuszczaliśmy Anglię, wieści były korzystne. Wyglądało na to, że marszałkowie Bazaine i MacMahon dają Prusakom należytą odprawę.

–Obawiam się, sir, że wieści się pogorszyły – odrzekł Bourne. – Bazaine’a wyparto z Forbach-Spicheren i podąża na Metz, podczas gdy MacMahon śpieszy w kierunku Chalons-sur-Marne...

–Nie powinieneś ukrywać powagi sytuacji, Frederiku – stwierdziła ostro Françoise. Przyglądałem się, jak delikatne włoski na jej karku złocą się w słońcu. Zwróciła się do Holdena: – MacMahon został pobity pod Worth. Straciliśmy dwadzieścia tysięcy ludzi.

Holden zagwizdał.

–Mademoiselle, muszę powiedzieć, że to wstrząsające wiadomości. Spodziewałem się, że doświadczona armie Francji będą w stanie nie tylko zatrzymać pruską tłuszcę.

Jej eleganckie rysy ułożyły się w wyraz powagi i zdecydowania.

–Wyobrażam sobie, że nie powtórzymy błędu z przeszłości i docenimy ich potęgę.

Holden potarł podbródek

–W takim razie podejrzewam, że debata w Manchesterze Musiała rozgorzeć z nową siłą.

–Debata...? – spytałem.

–Na temat tego, czy Brytania powinna interweniować w sporze. Czy powinna położyć kres tym... tym średniowiecznym kłótniom i krygowaniu się godnym dawnych książątek.

Françoise obruszyła się, śliczne chrapki rozdęły się.

–Sir, Francja odrzuci wszelkie interwencje Brytyjczyków. Francuzi mogą i zdołają obronić Francję. A zwycięstwo tak długo będzie w naszym zasięgu, jak długo ostatni Francuz utrzyma fuzję w dłoniach.

To były twarde słowa, chociaż wypowiedziane łagodnym płynnym tonem – i mimo mego romantycznego zadurzenia zdałem sobie sprawę, że zupełnie nie pasują do młodej piękności jej środowiska. Miałem niezbyt przyjemne uczucie, że muszę się jeszcze wiele dowiedzieć o mademoiselle Michelet, co tym bardziej odebrało mi pewność siebie.

–Hm, czy zmierza pani w kierunku salonu reprezentacyjnego, mademoiselle? Podobno szampan już tryska strumieniami...

**–Dobry Boże, nie. – Ukryła wystudiowane ziewnięcie za delikatną skórą rękawiczki.
– Gdybym pragnęła oglądać lustra ścienne i arabeski, zostałabym w Paryżu.
Zmierzamy do maszynowni i kotłowni, panie Vicars, pod przewodnictwem głównego inżyniera.**

Holden się roześmiał, wyraźnie zadowolony.

–To doprawdy wyjątkowa okazja – powiedziała chłodno Françoise. – Czy ma pan ochotę dołączyć do nas, panie Vicars? A może kolejny kieliszek szampana to dla pana przynęta ponad siły?

Bourne prychnął z pogardą.

Tak więc nie miałem wyboru.

–Do kotłowni! – zakrzyknąłem.

U góry zejściówki ziała ościeżnica wycięta w kadłubie statku i zanurzyliśmy się – nie bez pewnych obaw, przynajmniej jeśli o mnie chodzi – w jego mroczne trzewia.

Naszym przewodnikiem był niejaki Jack Dever, inżynier z Przedsiębiorstwa Jamesa Watta, które zbudowało silniki statku, ponury młody człowiek o lisiej twarzy, odziany w roboczy kombinezon ze śladami smaru. Rzednące włosy gładko zaczesał do tyłu i bezwiednie zadałem sobie pytanie, czy użył do tego oleju silnikowego.

Dever bynajmniej nie krył niecierpliwości i rozdrażnienia, gdy nas prowadził do serca statku. Szliśmy gęsiego korytarzem wyłożonym stalowymi płytami.

Zanurzyliśmy się w rozległym pomieszczeniu, którego ściany także zbudowano z żelaznych płyt. Nasz przewodnik z niechęcią oznajmił, że jest to maszynownia, jedna z trzech, każda bowiem obsługiwała jedną oś. Sięgała od burty do burty. Para żelaznych dźwigarów biegła przez całą szerokość pomieszczenia na wysokości dwukrotnego wzrostu mężczyzny sporej postury. Spoczywały na niej silniki wahadłowe – rodzaj urządzeń tłokowych, obecnie w spoczynku, ociekających lśniących olejem. Pary tłoków były skierowane ku sobie, jak mechaniczni zalotnicy, przy czym każda z nich podtrzymywała ogromny trzpień obrotowy w kształcie litery „T”. Sama oś sięgała od ściany do ściany, przebijając trzpień. Przewodnik monotonnym głosem opowiedział nam, że silniki są wprawiane w ruch przez napędy pasowe, które można odłączyć na rozkaz z mostka (przekazywany rurą głosową).

Spoglądałem na potężny metalowy wał i wyobraziłem sobie połączone z nim ogromne koła, tuż za kadłubem statku. W obliczu tych znieruchomiałych gigantów czułem się nie większy niż mysz. Próbowałem wyobrazić sobie to monstrualne pomieszczenie, gdy „Albert” wyruszy w podróż. Kiedy koła zaczną miażdżyć murawę Europy, jakże będą naprężyć się i kurczyć te potężne metalowe kończyny!

Maszynownia stanie się istnym domem obłąkanych, a wrzask komend wyzwoli tupot nóg i wysiłek spoconych torsów.

Holden pochylił się ku mnie. Z oczu dziennikarza wyglądało ironiczne rozbawienie.

–Czarujący gość z tego Devera, co, Ned?

Zmarszczyłem brwi.

–No cóż, może facet jest zajęty, Holden. Trzeba brać na to poprawkę.

–Czyżby? Dzisiejsze wydarzenie ma jeden cel: zebranie funduszy na funkcjonowanie statku. Nawet tu, w tym cuchnącym żelaznym bandziochu, powinno się nas witać kwiatami, szampanem i pokłonami! Jestem przekonany, że nasz pan Dever zna się na swoich zaworach bezpieczeństwa i grodziach, ale to katastrofalny prezentator. Czy sądzisz, że nasi towarzysze są gotowi wziąć poprawkę na jego cymbalstwo?

Zerknąłem na Francuzów, ale nie mogłem zgodzić się z ponurą diagnozą Holdena. Młodzi obywatele kontynentu, istne naręcze kwiecia pośród maszyn, spoglądali na gigantyczne silniki z ogromnym podnieceniem i nadzieją. Być może urok i nowość tej konstrukcji nie mieściły się w obszarze cynicznych kalkulacji Holdena.

Usiłowałem zbliżyć się do pachnącej Françoise, ale osiągnąłbym cel jedynie za cenę dobrych manier i dyskrecji. Niemniej jednak ku mojemu zdumieniu dostrzegłem, iż nie jest ani trochę zbita z tropu w obliczu tych stalowych lewiatanów. Na jej twarzy rozkwitł wyraźny rumieniec i ogarnięta radosnym podnieceniem zasypywała naszego naburmuszonego przewodnika lawiną zdumiewających pytań dotyczących czopów korbowych i pomp próżniowych.

Kiedy tak podziwiałem delikatny jak z porcelany profil dziewczyny – niewrażliwy na konkurencyjny urok tych wszystkich ociekających olejem maszyn – Holden przysunął się ku niej.

–Niezwykle pociągająca jest ta cała brutalna siła, mademoiselle.

Odwróciła się ku niemu.

–Jak najbardziej, sir.

–Proszę wyobrazić sobie, jak te tłoki unoszą się i opadają, a obracająca się oś lśni niczym spocona ludzka kończyna... – ciągnął lepkiem głosem.

Uniosła brwi o ułamek cala i z ledwo dostrzegalnym uśmiechem odeszła. Holden odprowadzał ją wzrokiem. Na okrągłym obliczu pojawił się wyraz zastanowienia.

Nie spodobał mi się ten mocno obsceniczny ton i kiedy tylko towarzystwo udało się korytarzem do kotłowni, wykorzystałem tę okoliczność, żeby odciągnąć Holdena na bok i wyrazić swoją opinię.

Zmarszczył czoło i zatknął kciuki za łańcuszek zegarka.

–Proszę o wybaczenie, jeśli cię czymkolwiek uraziłem, Ned, ale przyświecał mi pewien cel – wycedził mocno nieszczerym tonem.

–Jaki mianowicie? – spytałem zimno.

–Zastanów się, chłopcze – mruknął. – Wiem, że jesteś oczarowany cudowną panną Michelet, ale musisz przyznać, że jej zachowanie jest zupełnie dziwaczne jak na piękność z wyższych sfer. Ile dziewcząt w jej wieku byłoby gotowych wkroczyć do cuchnącego wnętrza jakiejś maszyny? I ile zabłysnęłoby znajomością budowy takich urządzeń... A co powiesz na jej obycie w sprawach polityki i wojskowości? Pod uroczą powierzchownością naszej mademoiselle Françoise kryje się dużo więcej, niż jest gotowa ujawnić... i ciekawe, co to takiego.

Zmierzyła mnie ta tyrada. W ciągu ostatnich dni Holden okazał się zabawnym i ciekawym towarzyszem podróży, a spostrzegawczość, z jaką oceniał ludzi, była uderzająca; lecz cyniczny chłód, nieustanne zagłębienie pod podszewkę wydarzeń i do ludzkich dusz – nie wspominając o zdecydowanie przesadnym patriotyzmie, który od czasu do czasu dawał o sobie znać – były bardziej niż trochę irytujące.

Może te zachowania wiązały się w pewnej mierze z jego profesją żurnalisty.

Oznajmiłem, że nie zaliczam się do tych, którzy mniemają, iż kobiety nie są zdolne do racjonalnego i naukowego myślenia. Wybuchnął śmiechem, złożył całkiem grzeczne i eleganckie przeprosiny i sprawa została zamknięta.

Na „Księżcu Albercie” były trzy kotłownie. Każda obsługiwała jedną oś i każda miała dwa kotły.

Wszystkie urządzenia były żelaznymi pudłami, dwa razy wyższymi niż mężczyzna słusznego wzrostu. Szerokość o jedną trzecią przekraczała wysokość. Gdy zbliżyliśmy się do pierwszego kotła, dostrzegłem, że ma wiele drzwiczek i tabliczek kontrolnych, a zwieńcza go komin dwustopowej szerokości, sięgający dobre trzydzieści stóp wwyż i przebijający sufit. Wiele jardów rur, jelit ołowianych i żelaznych, oplątywało każdy komin i sufit, tak że miałem wrażenie, iż połknięty przez jakiegoś gigantycznego atletę oglądam od wewnątrz jego członki.

Żar miejsca był uderzający; czułem omdlenie kołnierzyka i miałem nadzieję, że zbyt szybko nie stracę resztek prezencji. Nie pojmowałem, jak ktokolwiek mógł długo pracować w takich warunkach. Ale poza małą kałużą oleju nie dojrzałem żadnych

brudów ani smarów, które zwykle kojarzą się z kotłownią; wydatne brzuchy kotłów lśniły niemal jesiennymi barwami, a wypolerowane rury wdzięcznie odbijały światło.

Dever wdrapał się na podniszczony drewniany stołek i otworzył klapę kontrolną może osiem stóp nad podłogą. Jeden po drugim wchodziliśmy na stołek i zaglądaliśmy do środka. Gdy przyszła moja kolej, ujrzałem kolejne węzowiska rur – mosiężnych, miedzianych i żelaznych. Przepływała nimi rozgrzana para z kotłów do tłoków. Gdyby to była jednostka oceaniczna, wodę pobierano by wprost z morza; ale że „Albert” był zmuszony transportować zapasy wody, miał zbiorniki na milion galonów. Nie dość tego, sporo wody krążyło w ozdobnej sadzawce na pokładzie spacerowym!

Dever nie omieszkał poinformować nas z pewną rozkoszą, że gdyby ktoś z nas dotknął jednej z rur, to zostawiłby na niej kawałki ciała, wyłoniłyby się białe kości, jak palce wynurzające się z rękawiczki...

Postanowiłem być głuchy na tego rodzaju obrzydliwe brednie i zająłem stanowisko przy stołku, kiedy przyszła kolej Françoise na zagładnięcie do wnętrza kotła. Płomiennym wzrokiem przeszywałem jej towarzyszy – a nawet biednego Holdena – szukając śmiałka, który odważyłby się oparzyć spojrzeniem kostki u nóg lub łydki mademoiselle Michelet.

Kiedy wszyscy obejrzeliby przewody parowe, Françoise natarła na Devera.

–A antylód? – zagadnęła rozentuzjzmowana. – Musicie pokazać nam antylód.

Dever sięgnął do drzwiczek kontrolnych osadzonych w kotle na wysokości głowy przeciętnego człowieka i w nietypowym dla siebie stylu kabaretowego mistrza ceremonii otworzył je tak gracko, że zadźwięczały o żelazny pancerz, i obserwował nasze reakcje. Na jego twarzy pojawiło się coś, co u innego człowieka nazwałbym uśmiechem.

Zdumieni cofnęliśmy się jak jeden mąż (i jedna powabna dama). Oto bowiem w samym centrum infernalnego żaru kotłowni spoczywało zaszronione lodowate jądro!

Françoise przemówiła cicho w ojczystym języku i wyciągnęła główkę, zaglądając do lodowatej komory. Nadstawiła delikatne ucho na niepojęte bzdury, które Dever w nie wsączył, po czym odwróciła się do nas.

–W tym kotle spoczywa naczynie Dewara – oznajmiła sucho. – Jak z pewnością wiecie, takie naczynie ma podwójne szklane ściany, rozdzielone próżnią, i jest obustronnie posrebrzane, co zapobiega przedostawaniu się ciepła w wyniku przewodzenia, konwekcji i promieniowania. Dodatkowo oplata je węzownica wypełniona chłodziwem i obniżająca temperaturę wewnątrz do warunków arktycznych.

Holden niemal wsadził mi w ucho kulfoniasty nos, świecący na czerwono od gorąca panującego w pomieszczeniu, i szepnął:

–Proszę, proszę, co za niespotykana debutante.

Françoise kontynuowała wyjaśnienia. Pazury zgrabnie wychwytywały z wnętrza naczynia okruchy antylodu i przekazywały je układem zamykanych szczelnie cylindrów do niewielkiej zewnętrznej komory, gdzie ich potencjalna energia uwalniana w sposób kontrolowany zamieniała wodę w parę, setki galonów na minutę. Techniczny żargon tylko przydawał uroku naszej uroczej wykładownicy.

–Bez takiej skoncentrowanej energii nie dałoby się napędzić silników o mocy poruszającej liniowiec lądowy – zakończyła.

Zaklaskałem w dłonie i zawołałem:

–Brawo! To dopiero przejrzyste wytłumaczenie. – Pod-szedłem bliżej Françoise, wymijając Francuzów. – Teraz pojmuję, dlaczego to pomieszczenie lśni tak niezwykle czystością. Piece antylodowe eliminują paleniska wypełnione płonącym węglem, które są źródłem tłustych sadzy i brudu.

Rozpierała mnie duma z tak umiejętnego zastosowania zasady dedukcji.

Françoise przyjrzała mi się zza firan długich rzęs.

–Znakomicie to pan wywnioskował, panie Vicars.

–Proszę mówić mi: Ned! – powiedziałem rozplomieniony. Odwróciła się, skupiając uwagę na wymianie zdań między Holdenem a naszym przewodnikiem. Dziennikarz przesunął dłonią po mosiężnych rurkach obiegających wyloty kominowe i zatrzymał ją na kurku odcinającym, tuż nad samym piecem.

–Te przewody odprowadzają spaliny z komina – wyjaśnił Dever, kiwając z powagą głową, i rozpoczął długi monolog, pełny najczarniejszych wizji, które zmaterializowałyby się w razie zamknięcia kurka i przegrzania przewodów. Napomknął też, iż Traveller zignorował rady swoich inżynierów, wskazujących na to niebezpieczeństwo.

I tak dalej, i tak dalej, nudno i rozwlekle. Francuzi ukrywali ziewnięcia za wymanikiowanymi dłońmi. A ja... ja spoglądałem tylko na nią. Obserwowałem łagodną linię ramion, delikatne ruchy dłoni muskających zwiniętą parasolkę i zastanawiałem się z rozczuleniem – chociaż może niezbyt naukowo – czy wewnątrz naczynia Dewara jej nieskazitelnej powierzchni migoce płomyczek pożądania, który mógłbym podsycić!

W końcu nasz obchód dobiegł końca i wyszliśmy na zewnątrz. Doznałem wielkiej ulgi. Lecz zamiast powrócić na ziemię zostaliśmy skierowani w górę, na widowiskową zejściówkę pokładów pasażerskich. Żelazne stopnie miały zaledwie stopę szerokości – znakomicie odlane, z nazwą fabryki w środku i delikatną koronką wokół – lecz mocno przylegały do pomalowanego na biało kadłuba. Wokół nas rozciągał się widok na wieś belgijską i mogłem przyglądać się miniaturowym z racji oddalenia barom i tawernom wzniesionego byle jak miasta, pełnym ruchu i zabawy. Pod sobą ujrzałem morze twarzy, jak wiele monet skierowanych ku nam i rozświetlonych zachwytem. Lecz wyniesiony znacznie ponad ziemię nie czułem zawrotu głowy, gdyż szklana rura zabezpieczała niepewną zejściówkę, tak że nie docierał do nas nawet wiatr, z pewnością stały gość na tych wysokościach.

W końcu wróciliśmy na pokłady. Przeszliśmy wąską arkadą, rozświetloną i pełną powietrza, z lekkimi żelaznymi kolumnami i podłogą z grubego gomółkowego szkła. Za arkadą rozciągał się salon reprezentacyjny „Księcia Alberta”.

Obejmował całą szerokość statku. Ponad tysiąc rozentuzjasmowanych ludzi prowadziło ożywione rozmowy, wszyscy wytwornie odziani i rozgadani jak stado pawi. Z niepokojem zlustrowałem mój przyodziełek. Przetrwał w nie najgorszym stanie, chociaż ciepło nieco go zdefasonowała.

Podszedł kelner z tacą. Holden zatarł ręce i zgarnął kieliszki dla nas obu. Jednym haustem opróżnił swój i sięgnął po drugi; ja piłem bardziej statecznie, rozkoszując się chłodem wyśmienitego szampana.

–Co za ulga – powiedział Holden, bekając i zasłaniając usta grzbietem dłoni. – Czuję się jak Odyseusz, który umknął z kuźni Cyklopa.

Poszukiwałem wzrokiem Françoise i jej towarzystwa; ale już pochłonął ich tłum. Poczułem głupie ukłucie w sercu.

Holden klepnął mnie po ojcowsku w ramię.

–Mniejsza z tym, Ned – pocieszył mnie. – Mamy... – sprawdził na swoim kieszonkowym zegarku -...tylko pół godziny do rozruchu silników. Jesteśmy w najwspanialszym pomieszczeniu statku i żłapiemy pysznego szampana! Rozejrzyj się. Są tacy, którzy powiadają, że tego rodzaju szaleństwo – włoski wystrój wnętrza – nie pasuje nawet do lądowego liniowca. Co o tym sądzisz?

Z kieliszkami w dłoniach ruszyliśmy na spacer po salonie. W rzeczy samej, pomieszczenie jakimś sposobem miało włoski charakter. Zielone pilastry dzieliły ściany na panele, na których zawisły rozliczne dzieła marynistyczne. Były tam też sceny z budowy statku oraz rozigrane dzieci. Te ostatnie sprawiały absurdalne wrażenie i zupełnie nie przystawały do miejsca. Sufit przecinały pokładniki,

położone bądź pomalowane na czerwono i niebiesko; sufitowe panele powleczono złotą farbą, przez co całość nabrała harmonijnego i miłego dla oka wyrazu.

Dwa wielkie ośmiokątne filary ozdobiono lustrami.

Kolejne lustro okrywały pionowe kanały wentylacyjne umieszczone w ścianach. Portiery z grubego szkarłatnego aksamitu osłaniały wejścia; sofy tapicerowane utrechtckim welwetem, kredensy z rzeźbionego orzecha włoskiego i stoły o blatach krytych skórą rozstawiono na kasztanowym dywanie. Żyrandole iskrzyły się płomieniami, chociaż pora była południowa.

–Lampy acetylenowe – rzekł mi do ucha Holden. – W planie było oświetlenie elektryczne, ale zabrakło im pieniędzy.

–Twój cynizm sięga zbyt daleko, staruszk – odrzekłem. – Efekt jest miły dla oka. A jeśli chodzi o brak funduszy, to rzuca się w oczy w przypadku tych pokładników; niby zaklajstrowano konstrukcję, ale jej prosta natura wyziera spod pozłótek.

Sięgnąwszy po kolejne kieliszki szampana, ruszyliśmy spacerowym krokiem ku jednemu z filarów. Dopiero patrząc z bliska, zdałem sobie sprawę, że cztery szersze boki pokryto lustrami, aby masywność całości mniej rzucała się w oczy. Węższe panele ozdobiono delikatnymi rysunkami ze scenami morskimi.

–A to niewątpliwie jakiś kolejny element konstrukcyjny statku – powiedziałem, wskazując filar ręką z kieliszkiem – upiększony dzięki pomysłowości...

–Coś więcej niż „element konstrukcyjny”, na Boga! – zahuczał za mną czyjś głos. – Te kominy odprowadzają spaliny z kotłowni, chłopcze! Nigdy nie byłeś na morzu?

Podskoczyłem, rozlewając szampana na buty. Bąbelki zasyczały smętnie. Odwróciłem się.

Nade mną wyrastała okazała figura. Miała dobrze ponad sześć stóp wzrostu, nawet bez rurowatego cylindra, i była odziana w wygniecioną czarną marynarkę, dziwną, nie pasującą do pstrej odzieży zebranych gości. Niebieskie i zimne jak antylód oczy spoglądały na mnie znad platynowego nosa.

–Dobry Boże – wybąkałem. – To znaczy... chciałem powiedzieć, witam, sir Josiah. Pamięta pan mojego towarzysza, pana Holdena...

–Ledwo pamiętam ciebie, chłopcze. Jak ci tam... Łikers? Ale przynajmniej rozpoznaję jedną gębę w tym stadzie baranów. Chociaż gdybym usłyszał tego rodzaju błazeńskie uwagi na temat mojego statku, to wątpię, czy zechciałoby mi się szukać ich autora...

–Hm, miło mi...

–Znasz mojego służącego? – zahuczał wielki inżynier, całkowicie ignorując moje popiskiwanie. Dostrzegłem szczupłego, nieco pochylonego osobnika mającego jakieś sześćdziesiąt lat, który stał w cieniu sir Josiaha i przyglądał mi się nerwowo. Srebrne włosy błyszczały w świetle żyrandola. – Pocket, wystąpcie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Poczułem, że jest zaskakująco energiczny i silny.

–No tak, wszystko toczy się jak po maśle – stwierdził Traveller nie wiadomo dlaczego ponurym tonem, ogarniając palącym wzrokiem zgromadzenie.

–Tylko dziesięć minut do rozruchu silników, sir – przypomniał Holden, spoglądając na zegarek.

–Nie znoszę tych cholernych ceregieli – parsknął Traveller. – Gdybym nie potrzebował pieniędzy tych osłów, wykopałbym bractwo za burtę. – Zmierzył mnie lodowatym wzrokiem. – Lada chwila orkiestra Królewskiej Piechoty Morskiej zadmie w trąby.

–Ach, tak...? – bąknąłem. – Cz... czy lubi pan muzykę, sir?

Nie odpowiedział i na to pytanie.

–Ruszamy, Pocket – powiedział. – Chyba odwaliliśmy nasze obowiązki względem akcjonariuszy. – Odwrócił się i pomknął szparkim krokiem. Za nim powiewały pomięte i poplamione poły jego marynarki. Nagle odwrócił się i zahuczał: – No jak? Lecicie ze mną?

–A... ale dokąd i czym, sir?

–„Faetonem”, rzecz jasna. Stoi na górnym pokładzie. Królewską Morską lepiej już oglądać z powietrza, jeśli gustujecie w takich widoczkach. I może mielibyście ochotę przyjrzeć się z bliska mojej fruwej maszynie. – Przewiercił spojrzeniem Holdena. – Śmiem twierdzić, że wyszperałbym truciznę cięższego kalibru dla twojego kompana moczymordy. Ma taką minę, jakby o niczym innym nie marzył.

Cofnąłem się i zacząłem wymawiać się niezdarne, kiedy Holden kopnął mnie – nie oszczędzał mojej kostki u nogi – i za-syczał:

–Na litość boską, zgódź się! Nie masz iskielki ciekawości? Latający statek Travellera to cud naszego wieku!

–Ale Françoise...

Holden zgrzytnął zębami.

–Françoise nie zając. Będzie tu, kiedy wrócisz. Ned, weź się w garść, gdzie twoja fantazja?

I tak ruszyliśmy za Travellerem odprowadzani mnóstwem ciekawskich spojrzeń.

Rozdział 4

„Faeton”

Z kieliszkami szampana w dłoniach wspięliśmy się po marmurowych schodach na pokład spacerowy „Księcia Alberta”. Przywitało nas słońce.

U szczytu schodów odwróciłem się, przeczesując wzrokiem rozgadany tłum. Dostrzegłem dandysa Bourne’a w jego maskaradowym stroju – wydało mi się, że przygląda się nam z dziwną przebiegłością – ale nie udało mi się dostrzec Françoise. Z ukłuciem żalu odwróciłem się, podążając za inżynierem.

Mimo że się przed nimi bronilem, uwagi Holdena dały mi do myślenia. Co takiego miała w sobie Françoise, poza niesłychanym powabem postaci, że wzbudziła we mnie taki pociąg? Przecież nie wiedziałem o niej prawie nic. Rozległa wiedza i cięty języczek dziewczyny nie pozwalały mi postawić jej w tym samym szeregu co pustogłowe młode damy, do których miałem przyjemność zalecać się do tej pory.

Goguś Vicars zadurzony w kobiecie inteligentnej!

Do tego dochodziła aura tajemniczości, o której tak bezceremonialnie wspomniał Holden. W rzeczy samej, czemu jakaś kobieta, nawet niezwykle inteligentna, miałaby dociekać niuansów budowy silników tłokowych i płaszczy parowych? I gdzie zdobyła wiedzę na ten temat?

Ach, Françoise! Kroczyłem pokładem spacerowym, obojętny na otaczające mnie cudowności. Być może to właśnie jej tajemniczość tak bardzo mnie przyciągała; poczucie nieprzewidywalnego, niezgłębionego, nieokiełzanego.

Czyżbym naprawdę się zakochał?

Zanim poznałem Françoise, przysięgłbym, iż miłość od pierwszego wejrzenia jest niemożliwa. Jeśli nie nastąpiło przymierze umysłów, jedyny pociąg między dwojgiem jest wyłącznie powodowany wydzielinami gruczołów.

Nie wątpiłem w prawdziwość tej diagnozy.

A jednak...

A jednak już pokonałem połowę Europy, zdążając śladem tej błogosławionej dziewczyny!

Ujrzałem siebie oczyma Françoise: próżny i nijaki młodzieniec, jeden z tysiąca krążących po cywilizowanych stolicach – chociaż, pochlebiałem sobie, wyrastający

nad przeciętność z racji uroku osobistego i powierzchowności...

Holden ujął mnie za ramię i potrząsnął.

–Dobry Boże, Ned, czyżby zaiste ciekawość wygasła w tobie ze szczętem? Spójrz na cuda, które mijasz tak obojętnie!

Uniosłem głowę, jakbym budził się ze snu, i rozejrzałem się wokoło. I nie mogłem się nie uśmiechnąć, co Holden przyjął z satysfakcją.

Pokład spacerowy „Alberta” był zaiste cudownym, jeśli nie wręcz czarodziejskim miejscem.

Większość przestrzeni pokrywała strzyżona trawa, urozmaicona tu i ówdzie młodymi drzewkami (płytko ukorzenionymi jodłami). Wiodła nas ścieżka między drzewami, żwir przyjemnie chrząścił pod stopami. Tu i tam rosły strzyżone krzewy i stały niewielkie posągi, lecz ogólnie panowała przyjemna swoboda, właściwa zdrowemu i naturalnemu otoczeniu – jak w najlepszych angielskich ogrodach, w których unika się przesadnie wymuskanych pejzaży, odpowiadających, powiedzmy, gustom francuskim.

Dalej kominy statku wznosiły się ku niebu, błyszcząc miedzianymi opaskami.

Proszę!, oto przycupnęliśmy na grzbiecie żelaznego behemota, sześćdziesiąt stóp nad belgijską wsią, a przecież zdawałoby się, iż przemierzamy angielski ogród jakiejś zamiejskiej rezydencji!

W końcu dotarliśmy do sporego pustego obszaru na środku pokładu. Po naszej lewej ręce stało małe, bogato zdobione podium orkiestrowe; muzycy nie szczędzili sił, rżnąc w najlepsze siarczystą półeczkę – chociaż z dźwiękami tymi konkurowały dostojniejsze tony orkiestry Królewskiej Piechoty Morskiej. A przed nami leżał rozmigotany dysk wody. Była to sławna sadzawka „Alberta”. W środku widniała ozdobna fontanna z Neptunem, wyposażonym, rzecz jasna, w trójząb. Słońce odbijające się od wody raziło oczy.

Po drugiej stronie sadzawki z trudem dostrzegłem wysoką przyodzianą na czarno postać Travellera. Oddalał się od nas. Rurowaty cylinder miał wciśnięty na uszy, wierny Pocket trzymał się boku uczonego jak cień.

Przeniosłem wzrok dalej i po raz pierwszy ujrzałem „Faetona”, latający statek Travellera.

Nieco oślepiony miałem przemożne wrażenie, iż Traveller na tle swojego wspaniałego latającego pojazdu porusza się po ruchomej powierzchni morza żelaza i przez krótką chwilę otoczyła go w mych oczach aura czarów.

„Faeton” – wsparty na trzech wątych nogach z kutego żelaza, które dźwigały kadłub latającego statku dziesięć stóp ponad pokład – przypominał stojący sztorcem pocisk moździerzowy. Lecz ten „pocisk” wieńczyła kopuła szkła ołowiowego, szeroka może na piętnaście stóp. Kadłub znaczyły głęboko osadzone włazy i bulaje. Jedna z klap u spodu kopuły była otwarta i zwisała z niej sznurowa drabina z drewnianymi szczeblami, sięgająca pokładu.

Całe urządzenie miało może trzydzieści pięć stóp wysokości. Dolna część połyskiwała w słońcu srebrem jak latarnia morska.

Barierka – czerwony sznur na pachołkach z brązu – utrudniała dostęp tłumowi widzów. Jeden angielski policjant trzymał straż po wewnętrznej stronie. Ręce złożył za plecami, ledwo zipiąc w ciężkim czarnym mundurze.

Dołączyliśmy do Travellera i Pocketa, będących już po drugiej stronie sznura. Traveller ostentacyjnie wspierał się o jedną z nóg

„Faetona”. Teraz zauważyłem, że kończyły się płozami – jak u sań, lecz wspartymi na przegubach Cardana, co niewątpliwie umożliwiało osiadanie na nierównym terenie – i były zdobione delikatną żelazną koronką. W cieniu latającego statku widniały trzy dysze, trzy rozwarte gardziele. Pokład pod nimi był spalony, a w kilku miejscach nawet roztopiony.

–Zadowoleni z przechadzki? – spytał Traveller. – Myślałem, że twój przyjaciel jest bardziej spragniony, Likers. – Wyłuskał nam z dłoni szampanki. – Już nie będziecie potrzebowali tych naczynek na lemoniadkę. – Odwrócił się i cisnął wysoko kieliszki. Zaiskrzyły, zawirowały w powietrzu i przeleciały za burtę. Skrzywiłem się, słysząc brzęk szkła i okrzyki protestu ciżby zebranej poniżej.

Policjant gapił się, ogłupiały.

Odwróciłem się ku Travellerowi – i przekonałem się, że znikł! Zdezorientowany szukałem go między nogami statku, dyszami – aż doleciał mnie głos z góry:

–Na co czekacie? Pocket, pomóżcie im.

Zmrużyłem oczy i spojrzałem wyżej. Inżynier był już w połowie sznurowej drabiny, wspinając się z żywością o połowę młodszego człowieka.

Holden wyszczerzył zęby w uśmiechu i rzekł:

–Coś mi się zdaje, że zapowiada się interesujące popołudnie.

Z pewnym wahaniem, ale całkiem zręcznie wspiał się po rozkołysanej drabinie, unosząc w górę sferyczne kształty.

Służący Travellera przytrzymał drabinę. Mimo ciepłego dnia był blady jak ściana; tłusty pot pokrywał mu czoło, a chuda dłoń nie przestawała się trząść.

–Nic wam nie jest, Pocket?

Skłonił niewielką guzowatą głowę.

–Jak najbardziej, sir, wszystko w porządeczku. – Miał wyraźny akcent z East Endu z manchesterskimi naleciałościami, typowymi dla Travellera, co zdradzało wiele lat służby u inżyniera.

–Ale wyglądacie bardzo kiepsko.

–To sprawa wysokości, sir – szepnął mi na ucho. – Nie wyrabiam się. Wejdę na krawężnik i już mi się chce rzygać.

Spojrzałem na rozkołysaną drabinę.

–Dobry Boże – wyszeptałem. – A przecież pójdziecie tam za nami?

Wzruszył ramionami, uśmiechając się słabo.

–Niech się pan nie trapi, sir. Jak się było w służbie u sir Josiaha, widziało się dużo straszniejsze rzeczy niż stara, kochanieńka drabina sznurowa.

–Jasna sprawa.

Holden wtarabanił się przez właz. Złapałem się sznurów i ruszyłem dziarsko w górę.

Szyb włazu był okrągły w przekroju i gwintowany, niewątpliwie, żeby zapewnić hermetyczność statkowi. Zszedłem po dwóch stopniach na wyłożony dywanem pokład i znalazłem się w kopulastym czubku „Faetona”. Centralne miejsce tej dusznej oranżerii zajmował duży drewniany stół z intarsjami w kształcie mapy. W głębi okrągłej komory umieszczono bujaną kanapkę. Przed nią rozliczne przyrządy na mosiężnych stojakach; poznałem teleskop i astrolabium, lecz reszta była mi z gruntu obca.

Za szklanymi ścianami rozciągał się wspaniały widok, płaskie pola Belgii. Światło, miejscami rozszczepione, miejscami wzmocnione, wypełniało komorę jak woda akwarium i w powietrzu unosił się miły zapach wyszlifowanego metalu, drewna i smarów.

Z luku w podłodze wyrzał platynowy nos Travellera.

–Złaz tu, Łikersiku – warknął.

Podziękowałem mu uprzejmie, ale powiedziałem, iż wolę jeszcze chwilę zaczekać. Wsparty o wąż przyglądałem się rozlicznym instrumentom pokładowym. Drabina sznurowa zatrzęsała się, zakolysała i w końcu oblicze Pocketa, obecnie barwy zjełczanego masła, wyrosło nad metalowym progiem.

Wyciągnąłem rękę. Pocket złapał ją z wdzięcznością i wciągnął się do zacisznego wnętrza latającego statku. Długą chwilę stał zgięty w scyzoryk, z opuszczonymi rękami; w końcu wyprostował ramiona, obciągnął surdut i przyjął na powrót postawę idealnego służącego.

Wskazał na zakręcany luk prowadzący w głąb statku.

–Zechce pan udać się do środka, sir – rzekł gładko. Podziękowałem mu i poszedłem za jego wskazówką. Transatmosferyczny powóz, „Faeton”, był podzielony na trzy poziomy. Najwyżej znajdował się mostek dowódcy, jak Traveller nazywał komorę przykrytą szklaną kopułą, przez którą dostałem się do środka; najniżej siłownia, zawierająca antylodowe Dewary napędzające statku, a pośrodku salonik, zajmujący większą część kadłuba.

Z mostku zszedłem do saloniku, korzystając z wąskiej drewnianej drabinki. Znalazłem się w cylindrycznym pomieszczeniu, mającym może osiem stóp wysokości i dwanaście szerokości. Podłogę pokrywały tureckie dywany – mocowane na oczka i haczyki – rzucone na ceratę. Ściany i sufit wyściełała świńska skóra przybita mosiężnymi ćwiekami, tworzącymi wzór w karo. Kolejne ćwieki trzymały na ścianach reprodukcje angielskich malowideł ze scenami myśliwskimi. Światło wpadało do saloniku przez kilka bulajów. Ściany miały około stopy grubości. Traveller i Holden czekali na mnie, stojąc z ogromnymi koniakówkami w rękach, równie odprężeni jak w salonie jakiegoś londyńskiego klubu. Traveller wydawał się zagubiony w myślach i błędził nie-widzącym wzrokiem po ścianach. Cylinder wisiał na haku ściennym; łysinę uczonego zakrywało jedynie kilka siwych kosmyków. Mimo to sprawiał imponujące wrażenie, wypukłości czaszki miał eleganckie i znamionujące siłę, a jej niezwykła pojemność pasowała do wyrafinowanego oblicza.

Holden uśmiechnął się do mnie. Zarówno okrągła twarz, jak i pełne ciało promieniowały zadowoleniem.

–Mówię ci, Vicars. To dopiero wspaniała wyprawa. Co?

Salonik mógł wydawać się zatłoczony, ale równocześnie był pełen przestrzeni i stał w nim tylko jeden mebel – przybity w środku podłogi stolik z kasztanowca. Przykręcono do niego szklaną półkolistą pokrywę, pod którą znajdował się model statku. Poznałem arcydzieło Brunela, parowiec „Wielką Wschodzącą”. Modelarz oddał każdy nit, każdy szczegół łopatkowych kół.

Tak więc salonik był w gruncie rzeczy spory i przestronny, chociaż Pocket zamknął za sobą luk w suficie. Pamiętam, jak roztargniony śledziłem wzrokiem tych kilka prostych ruchów, które pozbawiły nas naturalnego światła. Gdybym wiedział, ile czasu upłynie, zanim znów odetchnę świeżym powietrzem, z pewnością odepchnąłbym na bok biednego Pocketa i siłą otworzył luk...

Rozejrzawszy się po gładkich ścianach, zacząłem się zastanawiać, skąd pojawił się koniak Holdena. Być może Traveller to jednak pewnego rodzaju sztukmistrz. Holden dostrzegł, gdzie pada mój wzrok, i rzucił:

–Nie gryź się, Vicars, jak twoja piękna Michelet to skromne pomieszczenie kryje skarby niewidzialne dla oczu.

Te słowa wytrąciły Travellera z zamyślenia.

–Kim jesteś, do diabła? A, tak, Łikers. Hm, Pocket, obsłużcie pana.

Cierpliwy sługa podszedł do ściany, nacisnął lekko główkę ćwieka na wysokości jakichś trzech stóp nad podłogą – i ku memu zdumieniu uchylił panel wielkości dwóch stóp kwadratowych, za którym krył się dobrze zaopatrzony barek. Holden uśmiechnął się na widok mojego zdumienia.

–Czyż to nie cudowne? Cały ten statek to istna czarodziejska zabawka, Łikers... Vicars.

Barek miał własne oświetlenie, małą acetylenową lampkę. Uznałem, że pomysłowy Traveller zaprojektował ją, aby włączała się z chwilą otwierania zamaskowanych drzwiczek. Dostrzegłem w końcu, że na ścianach saloniku są kolejne lampki, podobnie zasilane.

Pocket wyjął tackę i koniakówkę, zawierającą zacną miarkę szlachetnego trunku.

Traveller wziął do ust łyk koniaku i z rozkoszą smakował go przed połknięciem.

–Życiodajny płyn – oznajmił w końcu.

Uniosłem kieliszek do nosa. Sam bukiet wprowadził mnie w błogostan, zanim uroniłem kilka kropli na język. Nie mogłem nie zgodzić się z opinią naszego gospodarza.

Pocket zamknął barek i pomieszczenie wróciło do dawnego wyglądu. Następnie drobny służący tak wtopił się w tło, że niebawem zupełnie zapomniałem o jego obecności.

–A skąd ta nazwa, „Faeton”? – zapytał Holden.

–Co z twoim wykształceniem klasycznym, człowieku? – Z tymi słowy Traveller grzmotnął pięścią w ścianę. Opadł kolejny panel, zamontowany na zawiasach, tworząc straponten, wygodne składane siedzenie wyściełane grubym aksamitem. Obrotowym ruchem wysunęły się dwie małe nóżki i rozłożyły poręcze z podłokietnikami. Traveller usiadł swobodnie, zakładając nogę na nogę. Z kieszeni żakietu wyjął kieszonkowy humidor, a z niego pomarszczoną czarną cygaretkę. Niebawem salonik wypełnił ostry, niebieski dym. Smużki unosiły się ku sufitowi, niewątpliwie wysysane niewidocznymi pompami.

–Turecki, jeśli się nie mylę – zamruczałem do Holdena. – Można pozazdrościć sir Josiahowi jego platynowego nosa.

–No, sir Łikers, trudno podejrzewać, aby pańska wiedza mogła się równać z tym, czym dysponuje pański przyjaciel, ale przynajmniej mniej czasu upłynęło od chwili, w której zaprzestano wtlaczać ją panu do głowy. Powiedźże nam, kim był Faeton.

Nieoceniony Pocket rozkładał kolejne straponteny, podczas gdy ja z nadzieją szperałem w pustej pamięci.

–Faeton? Hm... Czy to nie ten gość, który za bardzo zbliżył się do słońca?

Traveller parsknął z pogardą, ale Holden powiedział gładko:

–Ciepło, ciepło, Ned. Faetonowi, synowi Heliosa, ojciec zezwolił jeden dzień powozić rydwanem słońca. Ale Zeus strącił go z niebios piorunem.

–Biedaczysko. Dlaczego?

–Dlatego, że w innym wypadku spaliłby Ziemię – powiedział mentorskim tonem Traveller. Zwrócił się do Holdena: -Więc jednak znał pan ten mit, sir. Czyżby miał pan nadzieję przyłapać mnie na ignorancji?

–Ależ skądże, sir. Moje pytanie dotyczyło powiązań, które ten mit może mieć z pańskim latającym statkiem. Czyżby mógł spalić świat? Być może jego wpływ na jakiś fenomen stratosferyczny...

–Wierutne bzdury, człowieku! – wybuchnął najwyraźniej poirytowany Traveller. – Może jest pan zwolennikiem tego francuskiego bufona, Fouriera, który święcie wierzy, że temperatura stratosfery nigdy nie opada poniżej punktu zamarzania wody! Nie przyjmował do wiadomości nawet bezpośrednich pomiarów.

Te tajemnicze słowa wprawiły mnie w stan najwyższego poruszenia – jakie „bezpośrednie pomiary”?! – lecz rozogniony sir Josiah ciągnął dalej.

–Może wierzy pan w to, że Ziemię otacza krąg ognia! Może wierzy pan w... ach,

niech to diabli porwą. – Pociągnął łyk koniaku i pozwolił Pocketowi znów napełnić kieliszek.

Holden z uwagą obserwował inżyniera podczas tego wybuchu, jak wędkarz śledzący szamotanie się przynęty.

–A więc, sir, czemu „Faeton”?

–Statek jest napędzany antylodem – wyjaśnił Traveller. – To oczywiste. I jego nazwa odnosi się do paliwa.

–Czy chce pan przez to powiedzieć, sir, że antylód może spalić Ziemię?

Spojrzał na mnie i przez chwilę spod gruboskórności obejścia wyjrzała dusza człowieka, który ukazał mi się w chwili naszego poznania, kiedy podzielił się wspomnieniami o kampanii krym-skiej.

–Jego zastosowanie nie ma granic, mój chłopcze – rzekł cicho i spokojnie. – Jeśli wpadłby w nieodpowiednie ręce.

–Ma pan na myśli kryminalistów, sir?

–Mam na myśli polityków, premierów, plutokratów i księżęta! – I z tymi słowy nakazał Pocketowi uzupełnić zawartość naszych kieliszków.

–Myślisz, że to republikanin? – spytałem po cichu Holdena.

–Podejrzewam, że jego poglądy są znacznie bardziej ekstremalne, Ned – oznajmił Holden z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

Zadzwoił zegar. Poszukałem wzrokiem czasomierza i w końcu uznałem, iż musi być ukryty w delikatnym modelu statku.

Holden oddał pusty kieliszek Pocketowi.

–Sir Josiah, naliczyłem dwanaście uderzeń; lada chwila nastąpi rozruch silników liniowca. Sugeruję, byśmy weszli na pański mostek i obejrzeliby procedury!

Traveller zamruczał coś pod nosem, dopił koniak i powstał. Wspiął się po drabince prowadzącej do luku w suficie i wziął się do odkręcania pokrywy. Pocket obszedł salonik, składając straponteny.

–Możliwe, że „Albert” jest już w ruchu – zauważyłem. – Jestem pewien, że czuję wibracje pod stopami.

–Może masz rację, Ned – rzekł Holden, stojąc na rozstawionych nogach i trzymając

ręce za plecami. Spojrzał z niepokojem na Travellera, który nadal mocował się z lukiem.

–Coś dziwnego stało się z tym diabelstwem – wysapał inżynier. – Pocket, czy...

Podłoga zadygotała i runąłem jak szmaciana lalka, ciśnięta przez rozzłoszczone dziecko. Ogromny hałas przeniknął salonik i myślałem, że czaszka mi pęknie od tego ryku. Światło jasności słońca przeszło bulaje.

Huk ustał. Siadłem bez tchu i rozejrzałem się wkoło. Moi towarzysze leżeli tam, gdzie jeszcze przed chwilą stali. Zaradny Pocket zerwał się już na nogi; pulchny żurnalista pocił się obficie i rozcierał tylne regiony ciała, wyraźnie kontuzjowane. Jednak najbardziej obawiałem się o Travellera, który przed chwilą znajdował się kilka stóp nad podłogą. Ten szanowny dżentelmen spoczywał teraz na plecach, z rozrzuconymi nogami, i wpatrywał się w zaklinowaną pokrywę luku. Cylinder spadł z haka i wylądował u stóp inżyniera.

Pospieszyłem na czworakach do boku uczonego.

–Nic się panu nie stało?

Traveller usiadł i warknął:

–Nie przejmuj się mną, chłopcze, musimy otworzyć ten piekielny luk...

Położyłem mu dłonie na ramionach, usiłując go powstrzymać.

–Sir, może pan być ranny...

–Ned, spójrz na to.

Kiedy się odwróciłem, ujrzałem Holdena wyglądającego przez bulaj. U jego boku stał Pocket, nerwowo wyłamując ręce i wyraźnie nie wiedząc, w którą stronę patrzeć.

Wykorzystując chwilę mojej nieuwagi, Traveller odepchnął mnie z zaskakującą siłą, poderwał się na nogi i znów ruszył w górę drabinki.

Powstałem – zauważając przy okazji, że podłoga wciąż dziwnie wibruje – i dołączyłem do Holdena na jego stanowisku obserwacyjnym.

Z dwóch kominów nad centralną kotłownią „Alberta” ostał się jeden; po drugim pozostał zmiażdżony, dymiący kikut wysokości zaledwie sześciu stóp. Wokół leżały kawałki powykręcane metalu. Na bezimiennych szczątkach nadal widniały dumne barwy.

Spalone jodełki legły pokotem. Pośród odłamków drzew pełzało coś czerwonego i

poszarpanego. Ścisnęło mnie w gardle i odwróciłem się.

–Dobry Boże, Holden, czy kotłownia została zniszczona? – spytałem, usiłując nabrać w płuca przesyconego dymem powietrza.

–Z pewnością nie – odparł. Ciemne włosy opadły mu na zaczerwienione, spocone czoło. – Spustoszenie byłoby znacznie większe. Pokłady zostałyby rozerwane.

Wibracje wzrosły, przechodząc w równomierne, rytmiczne wstrząsy. Wsparłem się o ścianę, usiłując opanować rosnące mdłości.

–W takim razie co się stało?

–Pamiętasz naszą wyprawę do maszynowni i kotłowni, rury oszczędzające ciepło, owinięte wokół kominów? I był tam kurek odcinający...

–Tak. Teraz sobie przypominam. Tamten dziwak, Dever, wyskoczył z apokaliptyczną wizją. Ostrzegał przed konsekwencjami zamknięcia kurka.

–Obawiam się, że to właśnie nastąpiło – powiedział Holden z nietypową ostrością w głosie.

–Pocket! – Traveller w dalszym ciągu mocował się z lukiem. – Na miłość boską, pomóżcie mi.

Służący dołączył do chlebodawcy i obaj ściśnięci u szczytu drabinki szarpali uchwyt luku.

Przyglądałem się im w roztargnieniu.

–Holden, wielu ludzi musiało zostać rannych.

Przyjrzał mi się z przejęciem na okrągłej, pocętkowanej twarzy. Uchylił straponten.

–Usiądź, Ned.

Dałem zaprowadzić się na straponten i z ulgą opadłem na miękkie siedzenie po dziwnych i nieprzerwanych wstrząsach.

–Ale jak coś takiego mogło się wydarzyć? Przecież załoga statku zdawała sobie sprawę z takich elementarnych zagrożeń.

–Ta katastrofa to nie przypadek, Ned. Zmarszczyłem brwi.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Że ktoś celowo zakręcił kurek. A gdy z wybiciem godziny dwunastej kapitan zwiększył ciśnienie pary, chcąc ruszyć liniowiec z miejsca, popłynęła w wyschnięte i rozżarzone do czerwoności przewody. To doprowadziło do niszczycielskich skutków, które oglądaliśmy. Ned, jestem przekonany, że to robota jakiegoś sabotażysty.

Potrząsnąłem głową; kręciło mi się w niej i byłem oszołomiony błyskawicznym rozwojem wydarzeń. Ledwo rozumiałem słowa Holdena.

–Ale czemu jakiś sabotażysta porywałby się na coś takiego?

–Narzuca się, że to wyczyn Prusaków – powiedział surowo Holden, zaciskając usta w wąską linię. – W końcu to oni doprowadzili do wojny z Francją, wypaczając tekst telegramu z Bad Ems. Być może to kolejny sygnał, tym razem przeznaczony dla naszego króla? Na Boga, jeśli się im wydaje, że mogą szarpać lwa za wąsy...

Ale prawie go nie słuchałem, rozpoczęły się bowiem kolejne wstrząsy.

–Holden...

–Nie czas na to! Nie czas! – Traveller zeskoczył z drabinki i rzucił się do rozkładania strapontenów. – Wszyscy siadać! Pod sobą macie pasy; Vicars, pomogę ci. Pocket, usadźcie tego faceta!

Ale zachowanie sir Josiaha było dla mnie niepojęte i nawet to, że poprawnie wymówił moje nazwisko, docierało do mnie jak przez mgłę.

–Holden, nie mogę przypomnieć sobie budowy statku. – Zdałem sobie sprawę, że przekrzykuję rosnący hałas, istny huk wodospadu, dolatujący spod naszych stóp. Traveller wyrósł nade mną, powiewając połami marynarki i zapiął mi pasy na biodrach i piersiach. Wrzasnąłem: – Holden! Przecież kominy biegły przez salon reprezentacyjny!

–Faktycznie, chłopcze.

Traveller i Pocket zajęli miejsca siedzące; w ten sposób nasza czwórka rozlokowała się w równych odległościach, uwięziona pasami bezpieczeństwa. Wpatrywaliśmy się jeden w drugiego oszalałym wzrokiem.

–A komin, który został rozerwany, przechodził przez salon! – zawołałem do Holdena. – Przechodził, prawda?

–Ned, teraz nic na to nie poradzisz.

Cały „Faeton” zatrząsł się, ale ja widziałem tylko tamte wyłożone lustrami filary w zatłoczonym salonie. Teraz pewnie zaścielały go setki trupów.

I...

–Muszę do niej iść. – Chciałem się podnieść, głupiec, ale zaraz opadłem, powstrzymany przez pasy. Bezskutecznie walczyłem ze sprzączkami na biodrach i klatce piersiowej.

–Vicars, błagam cię! – Ryk Travellera pokonał nawet nie-ziemski huk dobywający się spod podłogi. – Siedź na miejscu!

Uwolniłem się z pasów, wstałem i ruszyłem do drabiny.

Podłoga stanęła dęba pod moimi stopami. Za najbliższym bulajem mignął iście szatański widok – pokład spacerowy kołysał się szaleńczo, strugi pary wylatywały przez metalowe płyty, ścigając uciekających i krzyczących ludzi – a potem przez chwilę wydawało mi się, że spadam, i doleciał mnie stłumiony wybuch, jakby bliska eksplozja, po czym jakaś siła rzuciła mnie w bok.

Runąłem na podłogę. Poczułem krew na twarzy, a następnie zostałem tak mocno wciśnięty w dywan, że poczułem fakturę metalowych płyt podłogi.

Z wielkiej dali dobiegło mnie wołanie Holdena:

–Niech Bóg ma nas w swojej opiece. „Faeton” wzleciał w powietrze!

Z wielkim wysiłkiem uniosłem głowę i przekrzywiłem ją w bok. Pejzaż za ścianą latającego statku zaokrąglił się, przemienił w odwróconą do góry dnem niebieską misę. Hałas, wibracje i woń krwi nie ustępowały...

Otoczyła mnie ciemność.

Rozdział 5

W powietrzu

Leżałem w jakimś niesłychanie miękkim puchowym łożu. Otaczała mnie cisza i rozkoszowałem się snem jak dziecko.

–Ned? Ned, słyszysz mnie?

Te słowa pobudziły moją czujność. Początkowo się im opierałem, ale głos nie dawał mi spokoju i w końcu poczułem, że moje „ja” wyskakuje na powierzchnię świadomości jak uwolniony korek.

Otworzyłem oczy. Nade mną unosiła się twarz Holdena, wyrażająca wielkie

zatroskanie. Ogarnąłem wzrokiem całą jego postać. Zgubił szeroki pas jedwabny, kołnierzyk i krawat miał pomięte i przekrzywione, a rozwichrzone włosy falowały dziwnie wokół jego twarzy, niczym mieniąca się czarna aureola.

–Holden. – Gardło miałem wyschnięte, w ustach smak krwi.

–Dobrze się czujesz? Możesz wstać?

Leżałem przez chwilę i czucie powracało w mój korpus, koń-czyny, nie mówiąc o głowie, która znów zaczęła funkcjonować.

–Jestem zeszywniały, jakby potraktowało mnie kilku obwiesiów, a równocześnie czuję się niezwykle wygodnie. – Odwróciłem głowę, spodziewając się na poły, że spoczywam na jakiejś koi, ale pode mną był tylko dywan... pokryty krwią. – Jak długo byłem nieprzytomny?

Holden objął mnie i pomógł usiąść. Miałem dziwne wrażenie, Jakbym oderwał się od dywanu, i żołądek podjechał mi do gardła, które to odczucie zwykle towarzyszy spadaniu. Uznałem, że trapią mnie normalne zawroty głowy.

–Zaledwie kilka minut, ale... Ned, nasza sytuacja się zmieniła – powiedział Holden. – Chyba powinieneś przygotować się na wstrząs.

–Wstrząs?

Rozejrzałem się po saloniku. Sam Holden przykucnął na dywanie, trzymając się skraju, jakby jego życie od tego zależało. Biedny Pocket nadal siedział pod ścianą. Twarz miał bezbarwną jak oskubane kurczę.

A Traveller?

Sir Josiah stał przed bulajem. Cylinder miał wciśnięty na uszy. W jednej ręce trzymał notatnik i ołówek, drugą osłaniał twarz przed biało-niebieskim światłem, które przedostając się przez szkło, odbijało się ostro od platynowego nosa inżyniera. (Dostrzegłem, że w innych bulajach zalegała czerń i zapalono acetylenowe lampki).

A potem zadałem sobie pytanie, czy w dalszym ciągu nie jestem pogrążony we śnie.

Jak już wspomniałem, dostrzegłem, że Traveller stoi przed bulajem; lecz kiedy mu się baczniej przyjrzałem, zauważyłem, że jego duże buty wiszą jakieś cztery cale nad podłogową ceratą. Więcej, jako że uginał lekko nogi w kolanach, mogłem nawet odczytać nazwisko szewca wyciśnięte na podeszwach.

Tak więc sir Josiah bujał w powietrzu niczym jakiś iluzjonista, bez żadnego widomego podparcia.

Spojrzałem na Holdena. Położył mi dłoń na ramieniu.

–Spokojnie, Ned. Nie próbuj zrozumieć wszystkiego naraz...

Ogarnęła mnie fala paniki.

–Holden, czy ja tracę zmysły?

Oparłem dłonie o podłogę, zamierzając podciągnąć nogi i wstać. Dywan uciekł ode mnie, gdyż uniosłem się, jakby pociągany niewidzialnymi sznurkami. Usiłowałem dosięgnąć dywanu rękami, potem czubkami butów, ale na próżno, i niebawem zawisłem bezradnie w powietrzu, rozkładając ręce i nogi jak meduza swój welon.

–Holden! Co się ze mną dzieje?

Dziennikarz nadal trzymał się mocno dywanu.

–Ned, złaż stamtąd.

–Kiedy powiesz mi, jak to zrobić, to zejde! – krzyknąłem rozpaczliwie.

Stuknąłem lekko karkiem i ramionami o górną, zaokrągloną część kabiny. Wyciągnąłem ręce za siebie, szukając punktu zahaczenia, ale tylko przejechałem bezradnie palcami po tapicerowanej ścianie i osiągnąłem jedynie tyle, że wykręciłem się do góry nogami. Teraz miałem absurdalne wrażenie, iż Holden i Pocket zwisają głowami w dół, jeden z sufitu, drugi ze strapontenu, podczas gdy model „Wielkiej Wschodzącej” pełni rolę żyrandola.

Poczułem, że mój żołądek buntuje się przeciwko temu wszystkiemu.

Silna dłoń złapała mnie za ramię.

–W imię boże, Łikers, pilnuj śniadania. Nigdy nie doczyścimy tej przeklętej nory.

To był Traveller. Zahaczony kościstymi goleniami o pasy strapontenu i wyglądając jak małpa w marynarce, przywrócił mi właściwą pozycję i cisnął w dół. Wylądowawszy blisko swego siedziska, złapałem je z ulgą. Przyciągnąłem się do strapontenu i przypiąłem pasami.

Traveller stracił cylinder podczas ratowania mnie z opresji. Teraz jego rurowate nakrycie głowy wisiało w powietrzu, obracając się jak dmuchawiec; Traveller stękając z irytacją, łowił je gwałtownymi ruchami dłoni, aż odzyskawszy cylinder, wbił go sobie na głowę.

Kiedy jako tako powróciłem do normalności – poza tym, że nadal dziwnie wywijiałem nogami w powietrzu – zwróciłem się do Holdena, okazując całkiem zimną krew,

zważywszy na okoliczności.

–Nie wątpię, że to wszystko ma jakieś racjonalne wytłumaczenie.

–Och, w istocie. – Przeciągnął ręką po włosach, przywracając im pewien porządek.

– Chociaż podejrzewam, że nie przypadnie ci do gustu.

Traveller z powrotem unosił się przed rozświetlonym bulajem (innym niż poprzednio, co oznaczało, że tajemnicze niebieskie światło poruszało się wokół statku).

–Sir Josiah, jako że ciąży na panu odpowiedzialność za uwięzienie nas w tym powietrznym powozie, chyba winien jest pan nam jakieś wytłumaczenie sytuacji – oświadczyłem głośno.

Traveller stał – a raczej unosił się – ze spokojem w powietrzu, wspierając się dłonią o obramowanie bulaja. Wyjął z kieszeni humidorek, otworzył go, wyciągnął cygaretkę i – pozostawiwszy humidor wiszący w powietrzu! – zapalił zapałkę. Wnętrze saloniku niebawem zasnuły ostre wyziewy. Następnie Traveller litościwie ukrył latający przedmiot.

–Skąd u tego młodzieńca taka piekielna pompatyczność? – spytał opryskliwie. – Nasza sytuacja jest oczywista. Otworzyłem usta, szykując się do jakieś popędliwej repliki, ale Holden gładko wszedł mi w słowo.

–Musi pan wziąć pod rozwagę nasze profesje, sir, mające niewiele wspólnego z nauką. Wydarzenia, które nastąpiły, nie są dla nas tak proste do zrozumienia, jak dla pana.

–Na przykład, wyświadczy nam pan może tę łaskawość i wytłumaczy to przekłete unoszenie się w powietrzu – powiedziałem lodowato. – Czy to jakiś fenomen związany z lataniem nad Ziemią?

Traveller potarł kikut prawdziwego nosa, który sterczał mu poniżej brwi.

–Dobry Boże, czego oni teraz uczą w tych szkołach. Czy dzieło sir Izaaka Newtona jest zamkniętą księgą?

–Proszę opisać, jaki związek ma szacowny sir Izaak z unoszeniem się w powietrzu ludzi niczym pyłków kurzu – rzekłem z uporem.

–Silniki „Faetona” zostały wyłączone – odparł Traveller. – Nie słyszysz różnicy tła dźwiękowego?

To mnie zaskoczyło, gdyż póki sir Josiah nie zwrócił mi na to uwagi, nie

zorientowałem się, że w saloniku panowała cisza.

Serce podskoczyło mi radośnie w piersiach.

–W takim razie jesteśmy na powierzchni. Ale gdzie? – Wyrzałem przez okno, lecz na zewnątrz nadal rozciągała się ciemność, wyjąwszy ruchome niebieskie światło, które wpadało teraz przez kolejny bulaj. – Jest noc. Czy znaleźliśmy się w obszarze ciemności? – Zacząłem gorączkowo myśleć; może znajdowaliśmy się w Ameryce Północnej lub w jakiejś innej odległej krainie... a co, jeśli utknęliśmy na amen w nieprzebytej dżungli? – Wystarczy zejść ze statku i odszukać najbliższy konsulat brytyjski. Nie ma takiego większego miasta na Ziemi, w którym nie byłoby naszego przedstawicielstwa. Ono zadba o naszą wygodę i pomoże...

–Ned. – Holden spoglądał na mnie ze spokojem, chociaż dostrzegłem, iż tłuste dłonie, które zaciskał na dywanie, wciąż drżą. – Musisz zachować spokój i zrozumieć sytuację. Przebywamy dalej od jakiegokolwiek konsulatu, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić.

–Przejdźmy to krok po kroku – odezwał się Traveller, powoli i używając prostych słów, jakby mówił do dziecka. – Silniki są wyłączone. Ale nie jesteśmy na powierzchni. To oczywiste, nawet dla dyplomaty. Tak więc statek nie popychany odrzutem silników spada swobodnie. I my spadamy wewnątrz niego jak kulki w opuszczonym pudełku. – Sir Josiah kontynuował długie i skomplikowane wyjaśnienie, dotyczące między innymi braku oddziaływania między tylną częścią mojego ciała, a strapontenem, na którym siedziałem...

Ale pojąłem zasadniczy element sprawy. Spadaliśmy.

Ogarnęła mnie fala paniki i złapałem za pasy bezpieczeństwa.

–W takim razie jesteśmy zgubieni, gdyż niebawem roztrzaskamy się o ziemię!

Traveller zajęczał teatralnie i klepnął się w udo.

–Ned, jeszcze nie rozumiesz – powiedział Holden. – Spadek na ziemię nam nie grozi.

Podrapałem się w głowę.

–W takim razie, przyznaję, że kompletnie się pogubiłem, Holden.

–W chwili rozruchu silników „Alberta”... czy raczej aktu sabotażu... włączono też silniki „Faetona”. Statek uniósł się w powietrze... i nadal się unosi, zostawiając daleko za sobą Ziemię.

Mróz przebiegł mi po kościach, zakręciło mi się w głowie i mało nie zemdlałem.

–W takim razie jesteśmy w górnych warstwach atmosfery?

Traveller zgasił cygaretkę w popielniczce wbudowanej w najbliższy straponten i wyciągnął ku mnie rękę.

–Ned, sądzę, że powinieneś przyłączyć się do mnie. Może ci się uda.

Na myśl, że kolejny raz mam wybić się w powietrze jak jakiś akrobata, ogarnęło mnie przerażenie, ale rozpiąłem pasy. Wyprostowałem się i odepchnąłem obiema rękami od siedzenia. Z wdziękiem kłody drewna przeciąłem salonik, w końcu dotarłem do Travellera, którego silna dłoń przyciągnęła mnie do ramy bulaja.

–Dziękuję, sir.

Niebieskie światło podkreślało jego zniszczony profil godny drapieżnego ptaka.

–A teraz gdybyś zechciał się rozglądnać...

Przycisnąłem nos do grubego szkła. Wielka kula wisiała na tle gwiazd, niczym jakaś cudowna niebieska latarnia. Jej trzecią część zakrywał cień, rozjaśniony migotliwymi światełkami. Na widocznej części kuli można było rozpoznać znajome kształty kontynentów, przysłonięte cienką warstwą chmur. Drobnny punkt świetlny wędrował w oddali, odbijając się w oceanie.

To była, oczywiście, Ziemia, a jej malutki towarzysz, dokonujący półtoragodzinnego okrążenia, to Mały Księżyc.

Poczułem rękę Travellera na ramieniu.

–Z tej odległości nawet imperium brytyjskie wydaje się niewiele znaczące, co, Ned?

–Czy nadal jesteśmy w atmosferze?

–Obawiam się, że nie. Za kadłubem „Faetona” rozciąga się jedynie pustynia, pozbawiona światła i powietrza... i o całe dziesiątki stopni zimniejsza niż zakładał monsieur Fourier.

–I w dalszym ciągu oddalamy się od Ziemi?

–Jak najbardziej. – Traveller z niejaką zręcznością wydobył z kieszeni notatnik, posługując się tylko jedną ręką, i sprawdził obliczenia. – Określiłem z grubszą naszą prędkość metodą triangulacji, opierając się na znanych punktach globu. Otrzymane wyniki są, oczywiście, przybliżone, gdyż brak mi przyrządów z prawdziwego zdarzenia...

–Niemniej jednak... – ponaglił go Holden.

–Niemniej jednak ustaliłem, że oddaliśmy się od Ziemi z prędkością około pięciuset mil na godzinę. I to by się mniej więcej zgadzało z czasem działania silników raketowych, odpychających nas od Ziemi z przyspieszeniem dwa razy większym niż siła grawitacji na poziomie morza.

Zza pleców dobiegło mnie łkanie; odwróciłem się od Ziemi. Pocket, nadal przypasany do strapontenu, ukrył twarz w dłoniach. Ramiona mu się trzęsły, a kosmyki rzadkich włosów zakrywały palce.

Zadałem sobie pytanie, co czuję. Więc znajdowaliśmy się nad warstwą powietrza. Traveller niewątpliwie nie po raz pierwszy. Panika ustąpiła miejsca chłopięcemu zachwytowi.

Ziemia przesunęła się w prawo i uznałem, że statek z pewnością powoli się obraca. Perspektywa sprawiała, że nasza planeta miała wygląd ogromnej wazy z najdelikatniejszej porcelany; ale w tej wazie znajdowały się wszystkie miasta i wszyscy ludzie, którzy kiedykolwiek przyszli na świat. Kto uwierzyłby, że promieniuje tak oszałamiającą urodą?

–Nie wiem, czemu tak jest, sir Josiah, ale czuję teraz spokój, i będę jeszcze spokojniejszy, gdy włączy pan silniki „Faetona” i sprowadzi nas na Ziemię – powiedziałem, odwracając się do Travellera.

Na poblížnionym obliczu Travellera pojawiły się złość i nie-cierpliwość.

–Ned, przede wszystkim to nie ja doprowadziłem do startu „Faetona” – oznajmił.

–Nie pan? W takim razie jak...?

–Statek jest sterowany z mostka. Przypominasz sobie, że przed startem próbowałem otworzyć luk?

Dostrzegłem, że luk w suficie pozostał zamknięty, mimo iż nosił wyraźne ślady prób otwarcia.

–W takim razie, kto za to odpowiada?

–A skąd możemy o tym wiedzieć? – odparł pytaniem na pytanie Traveller.

–Ale możemy się nad tym zastanowić – oświadczył z podłogi Holden. Lęk na jego twarzy ustąpił miejsca gniewowi. – Ponieważ to wydarzenie i sabotaż na „Księżcu Albercie” z pewnością wiążą się ze sobą.

Ogarnął mnie głęboki strach.

–Twierdzisz, że jesteśmy w rękach sabotażysty?

–Boję się, że jakieś indywiduum rodem z Prus stoi w tej chwili za sterami tego statku – stwierdził ponuro Holden.

W końcu w pełni uświadomiłem sobie grozę naszego położenia.

–Jesteśmy uwięzieni w tym pudełku, coraz bardziej oddalamy się od Ziemi, skazani na łaskę i niełaskę szalonego Prusaka... W takim razie musimy natychmiast dostać się na mostek!

Byłem gotów rzucić się do luku, ale Traveller powstrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

–Zmarnowałem nieco czasu, próbując tego sposobu, Ned. Ale nawet gdybyśmy jakimś cudem dostali się na mostek, czekałoby nas wiele przeszkód, zanim udałoby się nam powrócić na Ziemię.

–O jakie przeszkody chodzi, sir Josiah? – spytał niecierpliwie Holden.

–Ciągle te same – odpowiedział z uśmiechem Traveller. – A tymczasem jesteście moimi gośćmi. Nieprawdaż, Pocket?

Nieszczęsny służący zdobył się tylko na kiwnięcie głową, nadal kryjąc zapłakaną twarz w dłoniach.

Traveller pociągnął za zmiętą klapę mojej marynarki.

–Ned, wciąż masz na sobie zeschłą krew, rozlaną podczas lanczu. A nie znam niczego lepszego na twoje siniaki niż gorąca kąpiel. Pocket, zajmijcie się tym, dobrze? Potem może przekąsilibyśmy coś lekkiego?

–Kąpiel? Lekki posiłek? – Nie wierzyłem własnym uszom. – Sir Josiah, nie czas ani miejsce na to. No, a Pocket jest w takim stanie, że trudno...

–Wprost przeciwnie – powiedział stanowczo Traveller. Jego przeszywające spojrzenie świadczyło, że wie, co mówi. – Groźny Pocket nie ma w tej chwili nic lepszego do roboty, niż przygotować ci kąpiel. – Patrzyłem to na sir Josiaha, to na Pocketa i chociaż przygnębienie początkowo wydawało się pozbawiać służącego jego zwykłej sprawności, zabrał się do wypełniania swoich obowiązków i z każdą chwilą robił to coraz lepiej.

Pomyślałem sobie, że być może Josiah Traveller dźwiga większy bagaż wiedzy o bliźnich, niż to okazuje.

Wiedziałem już, że wyściełane ściany saloniku kryją nieskończone cuda, ale trudno mi było przypuszczać, że uda mi się wziąć najprawdziwszą gorącą kąpiel, z wygodami, których mógłby mi pozazdrościć każdy bywalec każdego angielskiego klubu.

Pocket odsunął kawałek tureckiego dywanu, odsłaniając kilka cienkich desek. Złożył je w rodzaj parawanu, wysokiego na pięć stóp, dzięki czemu mogłem zdjąć na osobności zabrudzone odzienie. Pod deskami było okryte gumowymi płachtami zagłębienie, w którym zręcznie rozmieszczono kurki. Pocket odkręcił owe kurki – wielce paradnymi ruchami, nie chciał się bowiem zamoczyć – i spod podłogi dobiegł nas szum wody. Gumowe Płachty rozgrzały się przyjemnie, wypuszczając ze szczelin pióropusze pary, i nasz salonik przeistoczył się w łaźnię.

Kiedy kąpiel była gotowa, Pocket zaprosił mnie między gумы. Zanurzyłem się po szyję w wodzie na tyle gorącej, że odczułem Prawdziwą rozkosz. Samo naczynie – jak wyczuwałem, rozmiarów i kształtu wanny – było ukryte pod płachtami, które całkowicie ograniczały wypływanie wody, w innym wypadku grożącej rozprzestrzenieniem się po całym pomieszczeniu. Leżałem, czując, jak moje potłuczone ciało odżywa. A kiedy dzielny Pocket przyniósł mi koniaku – zamkniętego w wielkiej szklanej bańce, dostarczającej trunek gumową rurką – i poczułem nie dający się z niczym porównać zapach przygotowywanych potraw, a jeszcze dotarły do mnie dźwięki fortepianu...! Zamknąłem oczy, nie wierząc prawie, że wiszę w metalowej skrzynce ciśniętej między światy z szybkością pięciuset mil na godzinę.

Wynurzyłem się z kąpieli i oddałem w ręce Pocketa, który wytarł mnie do sucha. Następnie się przyodziałem, także z pomocą Pocketa. Okazało się, że moje ubranie jest wyczyszczone i wyszczotkowane, co prawda tylko z grubsza, ale na tyle, bym zakosztował czystości i komfortu.

–No i jak teraz się czujecie, Pocket?

–Już trochę się odnalazłem, sir, dziękuję – powiedział służący wyraźnie zażenowany.

–Co sądzicie o naszej sytuacji? Przeżyliście już takie przygody z sir Josiahem?

Wąskie wargi Pocketa zadrżały.

–Śmiem twierdzić, że bywało się już w nielichych opałach, sir, ale nie bardzo można je porównać z tym przypadkiem... Mam dwoje wnucząt, sir – wyrzucił nagle z siebie.

Poprawiłem żakiet.

–Nie masz się czego obawiać, chłopie. Jestem pewny, że sir Josiah niebawem znajdzie jakiś sposób, byście mogli połączyć się z rodziną.

–To zaradny gość – powiedział Pocket i zręcznie złożył parawan. Wyglądało na to, że zaczyna się przyzwyczajać do nowych warunków.

Położyłem dłoń na kościstym ramieniu służącego.

–Powiedźcie, czy Traveller zdaje sobie sprawę z waszej ułomności?

–Chyba nie zna go pan za dobrze, sir. Wątpię, żeby dopuszczał do siebie świadomość, iż ktoś może w ogóle doświadczać takiej przypadłości.

Nie zdziwiłem się, widząc Travellera przy pianinie. Unosił się przed nim, zahaczywszy stopę o nogę instrumentu, i grał wesołą melodyjkę, którą już słyszałem wcześniej w jego wykonaniu. Holden w dalszym ciągu spoczywał na swoim dywanie, czy też raczej się go trzymał. Zdezorientowany obserwował Travellera, najbardziej skrępowany z czterech podróżników mimo woli.

Odwrócił się do mnie z wymuszonym uśmiechem.

–A więc uzdrowiono twoje rany?

–Przynajmniej opatrzone, dziękuję. – Wskazałem ruchem głowy Travellera. – Czy nie będzie końca cudom prokurowanym przez tego człowieka?

Holden uniósł brwi.

–Zdumiewa mnie nie to, że gra na pianinie w przestrzeni międzyplanetarnej... żaden podobny wyczyn nie jest już w stanie mnie zaskoczyć... ale co gra.

Posłuchałem uważniej i ze zdumieniem rozpoznałem jedną ze sprośniej szych piosenek, popularnych w owym czasie w music-hallach.

Traveller zorientował się, że słuchamy, i z nietypowym dla siebie zażenowaniem przerwał w pół frazy.

–Całkiem sensowne urządzonko – bąknął. – Wypatrzyłem je na wystawie w pięćdziesiątym pierwszym roku. Zaprojektowane chyba z myślą o jachtach.

–Co pan powie – odparł sucho Holden.

Cicho zadźwięczał gong. Odwróciwszy się, ujrzałem Pocketa unoszącego się w powietrzu. Był całkowicie opanowany i dzierżył w dłoni mały metalowy krąg.

–Panowie, kolacja podana.

–Wspaniale! – krzyknął Traveller i z trzaskiem wsunął Piano w ścianę.

I tak przystąpiłem do jednego z niewątpliwie najdziwniej-szych posiłków w splątanych dziejach ludzkości.

Trzech nas zajęło miejsca na strapontenach. Założyłem luźno tylko po to, by nie unieść się w powietrze. Pocket rozłożył nam na kolanach serwetki i pomógł przymocować drewniane tacki, używając do tego celu skórzanych rzemieni. Sam prowiant okazał się owinięty przetłuszczonym papierem i Pocket dobywał go z jednego z niezliczonych schowków saloniku. Uchylił kolejny panel; ukazał się żelazny piecyk, na którym służący umieścił paczuszki z prowiantem. Posiłek okazał się niezwykłej jakości; na zakąskę mus rybny o intensywnym, lecz delikatnym smaku; następnie kotlety jagnięce, ziemniaczki i groszek w gęstym sosie; na końcu ciężki pudding polany syropem. Do głównego dania piliśmy – z baniek – niezłe francuskie wino, a zakończyliśmy ucztę mniejszymi banieczkami porto i grubymi, mocno perfumowanymi cygarami.

Podczas posiłku posługiwaliśmy się prawdziwym srebrem i porcelaną zdobioną herbem firmy Książę Albert, przedstawiającym rzeźbę Neptuna, taką jaką zdobiła fontannę na pokładzie spacerowym liniowca.

Były to dania, które ozdobiłyby wiele dostojnych stołów, jak droga i daleka Anglia długa i szeroka, chociaż warunki, w których je spożywaliśmy, odstawały może nieco od zwyczajności. Jedynym ograniczeniem dotyczącym żywności była konieczność przyklejenia jej w taki czy inny sposób do talerza. Na przykład sos do głównego dania był zdecydowanie bardziej kleisty niż bym sobie tego życzył w innych warunkach, ale wypełnił swój cel – jedynie parę niesfornych groszków uleciało mi spod widelca.

Lecz nigdy do tej pory nie obsługiwał mnie służący, który pływał w powietrzu jak ryba w stawie.

Pocketowi wolno było zasiąść z nami do kolacji, jako że „Faeton” nie miał osobnego kubryku czy kuchni.

Kiedy Pocket sprzątnął talerze, siedzieliśmy w ciszy saloniku, sącząc porto i obserwując promienie światła odbitego od Ziemi, tnące skosem cygarowe opary.

–Winszuję tak znakomitego stołu, sir Josiah – powiedział Holden. – Mam na myśli zarówno jakość wiktuałów, jak i pomysłowość w urządzeniu kuchni.

–Cała tajemnica to siłowniki hydrauliczne – oznajmił ze swobodą Traveller, prostując długie nogi. – Jedzenie natomiast przygotowuje porządna londyńska restauracja, z której korzystam od czasu do czasu. Potem suszy się je błyskawicznie w gorących piekarnikach i składa w te paczuszki, które widzieliście. Dzięki temu dysponujemy niewielkimi opakowaniami, których zawartość zachowuje świeżość

przez kilka tygodni. Potrzebuje jedynie trochę ciepła i wody, by powrócić do pierwotnego stanu i ucieszyć podniebienia.

–Zadziwiające – powiedziałem. – Zgaduję, że w ścianach statku zmagazynowano wiele takich posiłków.

–O, tak – potwierdził moje przypuszczenie Traveller. – Zapasów mamy na kilka tygodni.

Holden zapalił powtórnie swoje cygaro. (Zauważyłem, że płomień zapałki zachowuje się niezwykle nietypowo w warunkach spadania; rozwijał się kuliście wokół główki i szybko gasł, należało więc machać łagodnie zapałką, szukając nowych skupisk tlenu).

–To prawdziwa ulga dowiedzieć się, że nie grozi nam śmierć z głodu – oznajmił dziennikarz. – Lecz być może nadeszła chwila, w której wypadałoby rozważyć fundamentalne warunki naszego położenia.

Do tej pory myśl o śmierci głodowej nie zagościła w mej ograniczonej wyobraźni, lecz, oczywiście, Holden miał rację. W końcu unosiliśmy się bezwolnie w lodowatym, bezludnym świecie, za jedyne oparcie mając zawartość tego delikatnego latającego stateczku. Na wspomnienie przyjemności, z jaką pałaszowałem kolację, ogarnęło mnie poczucie winy; być może powinniśmy JUZ wprowadzić w czyn zasadę racjonowania żywności.

Znakomicie – powiedział Traveller. – Co się tyczy wo-dy to wieziemy jej kilka galonów. – Z tymi słowy tupnął w pod-łogę piszczelowatą nogą. – Jest tu, w kilku małych zbiornikach, Rozumiecie, jeden duży zbiornik byłby niewygodny w użyciu, woda przemieszcza się w lecącym statku...

–Kilka galonów trudno uznać za wystarczającą ilość – zauważyłem z niepokojem. – Zwłaszcza kiedy weźmie się pod uwagę, że chwilę temu wziąłem kąpiel.

Traveller uśmiechnął się.

–Nie ma powodu do obaw, Łikers; woda z kąpieli przechodzi przez szereg filtrów i przewodów, które ją na powrót uzdatniają. Nadaje się do picia, nawet po kilkakrotnej filtracji. – Nasze miny wzbudziły w nim rozbawienie. – Lecz pewnie przyjmiecie z ulgą wiadomość, że woda używana w klozecie... Pocket go wam potem wskaże... jest bezpośrednio pobierana ze zbiornika kadłubowego statku. – Na jego twarzy pojawił się wyraz troski i zastanowienia. – Niemniej jednak woda to nasz główny problem. To nasza substancja napędowa i wielce się lękam, że nasz pruski przyjaciel zużył jej o wiele za dużo, abyśmy mogli czuć się bezpiecznie.

Szykowałem się, by poprosić o wykład na temat tej niepokojącej tajemnicy,

„substancji napędowej”, lecz Holden pochylił się i zapytał z naciskiem:

–Sir Josiah, a co z powietrzem? To niewielki statek. Jak czterech ludzi... czy pięciu, licząc Prusaka... może przeżyć tu dłużej niż kilka godzin?

Traveller zbył ten problem pobłażliwym machnięciem długiej dłoni.

–Sir, nie musi się pan przejmować. Tą sprawą zajmuje się inny pomysłowy... że pozwolę sobie go tak nazwać... układ filtrujący. Zdrowy człowiek zużywa w ciągu godziny tlen zawarty w dwudziestu pięciu galonach powietrza, oddając w zamian bezwodnik kwasu węglowego *[[przyp – Inaczej: dwutlenek węgla.]], bezużyteczny w procesie oddychania. Pompa nieustannie wysysa powietrze z tego saloniku oraz mostka. Powietrze przechodzi dalej przez chloran potasowy podgrzany o kilkaset stopni ponad temperaturę pokojową; chloran rozkłada się na chlorek potasu i uwalnia tlen, wzbogacający zepsute powietrze. Następnie dodaje się nieco potasu żrącego, który łącząc się z bezwodnikiem kwasu węglowego, usuwa go z powietrza. Mamy zapasy stosownych chemikaliów, zdolnych podtrzymać życie przez kilka tygodni.

–Aha – odetchnął Holden, kiwając głową, wyraźnie pod wrażeniem pomysłowości gospodarza.

–Co się zaś tyczy ciepła i światła – kontynuował Traveller – to za ich obecność odpowiadają acetylenowe palniki pracujące nad naszymi głowami, ogrzewają również powietrze biegnące rurkami w kadłubie statku. Prawdę mówiąc, jako że nieprzerwanie jesteśmy skąpani w promieniach słońca, to nie zimno jest naszym wrogiem, lecz wysokie temperatury grożące usmażeniem żywcem. Stąd też, jak panowie zauważyliście, statek nieprzerwanie i powoli wiruje wokół własnej osi, dzięki czemu ciepło rozkłada się równomiernie na całym kadłubie.

–Wnoszę z tego, iż pańskim zdaniem nic nie może nam zagrozić i prawdopodobnie wyjdziemy obronną ręką z tej opresji, i bezpiecznie powrócimy do znanego nam świata – stwierdziłem.

–Tego nie powiedziałem, Ned. – Cygaro Travellera wygasło i sięgnął po swoje ulubione tureckie cygaretki. – Zaprojektowałem „Faetona” z myślą o obserwacji górnych warstw atmosfery ziemskiej. Miałem nawet nadzieję, że któregoś dnia wzniosę się na orbitę Ziemi. – (To nowe dla mnie pojęcie wyjaśnił mi później Holden. Przedsięwzięcie tego rodzaju polegało na nieustannym swobodnym unoszeniu się wokół planety pod wpływem sił grawitacji, jak działo się to z Małym Księżycem okrążającym Ziemię). – Ale „Faeton” nie miał latać w przestrzeni międzyplanetarnej.

W dalszej części wywodu Traveller opisał zasadę działania układu odrzutowego latającego statku. Piece antylodowe ogrzewały parę do monstrualnych temperatur.

Ale zamiast kierować ją do tłoków (jak zaprojektowano w układzie napędowym liniowca lądowego), przewody wiodły parę do dysz dostrzeżonych przeze mnie u podstawy statku, którymi była wyrzucana na zewnątrz. Pozbywając się niebywale rozgrzanej pary, „Faeton” pchał sam siebie. Podobnie dzieje się w wypadku pary łyżwiarzy; gdy jeden odepchnie drugiego, tak że ten sunie po lodzie, sam nadaje sobie ruch wstecz, wyzwoliwszy siły reakcji. Tak oto wyglądała zasada działania naszego latającego statku, rakiety, a „substancją napędzającą”, wspomnianą wcześniej przez Travellera, była para wyrzucana z wielkim impetem z dysz.

Osiągała prędkość wielu tysięcy mil na godzinę!

Lecz żeby nadać statkowi prędkość dwukrotnie większą niż prędkość spadania w warunkach ziemskiej grawitacji, należało spożytkować pełne cztery funty wody na każdą sekundę.

Holden pokiwał z powagą głową.

–W takim razie waga całkowita statku nie przekracza dwóch do trzech ton.

Na obliczu Travellera zagościł na krótko wyraz uznania.

–Ciężar statku jest sprawą ze wszech miar pierwszoplanową. To dlatego jako podstawowy budulec kadłuba wybrałem aluminium. Jest znacznie lżejsze niż stopy żelaza czy stal, chociaż ma absurdalnie wysoką cenę – pełne dziewięć suwerenów za funt. Ta sama ilość żeliwa kosztuje kilka pensów.

–Dobry Boże – szepnął Holden.

–Zdecydowałem się wybrać wodę na substancję napędową przez wzgląd na ogólną dostępność i taniość. Nawet gdyby „Fae-ton” wpadł do morza, wystarczyłoby napęlić zbiorniki słoną wodą, żeby znów wzbić się w powietrze.

Wskazałem na ciemne bulaje.

–Ale tam nie ma oceanu.

–Nie ma. Mamy tyle wody, ile pozostało w naszych zbiornikach. I chociaż pozbawiony dostępu na mostek nie znam dokładnie sytuacji, spodziewam się kłopotów. Obawiam się wielce, że nasz pruski gość wyczerpał gruntownie zapasy statku i nie da się zawrócić i polecieć na Ziemię. A nawet gdyby nam się to udało, zapewne pozostało zbyt mało wody, żeby przeprowadzić kontrolowane lądowanie, i grozi nam, że spadniemy niczym jakiś meteor, roztrzaskując się o ziemię.

Na te słowa zadrzałem i zacisnąłem kurczowo rękę na ramie bulaja.

Rozdział 6

Życie codzienne między światami

W naszej międzyplanetarnej kapsule nie doświadczaliśmy dni ani nocy – lub też raczej codziennych ziemskich rytmów, które zastąpiła rotacja „Faetona”. Jeśli ktoś miał na to ochotę, mógł co kwadrans obserwować wschód Słońca. Lecz trzymaliśmy się takiego harmonogramu, jakbyśmy stąpali pewnie po angielskiej ziemi. Spaliśmy na wąskich kojach, opuszczanych ze ścian saloniku. Moje łóżko, do którego przypasywałem się co wieczór, opatuliwszy ciasno przykryciem, było miękkie jak wysłane najdelikatniejszym piernatem – chociaż jeśli w nocy zdarzyło mi się uwolnić ramię, to obudziwszy się, doznawałem niemiłego uczucia, widząc je unoszące się swobodnie przed moją twarzą, pozornie oderwane od reszty ciała.

Każdego ranka o wpół do ósmej budził nas delikatny gong zegara usytuowanego w modelu „Wielkiej Wschodzącej”. Pocket unosił blindy bulajów, wpuszczając promienie Słońca – zarówno bezpośrednie, jak i odbite od Ziemi – i po kolei wślizgiwaliśmy się do wanny ukrytej przed wzrokiem pozostałych pasażerów.

Urządzenia sanitarne były z konieczności raczej prostackiej natury, składały się z aparatury, która wylaniała się ze ściany i którą dało się osłonić lekkim, lecz nie przepuszczającym powietrza ekranem, tak że do pewnego stopnia zapewniał intymność i czystość. Jak uspokajał nas Traveller, produkty przemiany materii były wydalane bezpośrednio w przestrzeń.

Na pokładzie „Faetona” można się było nawet golić! Oczywiście, fruujące w powietrzu ścinki zarostu trudno uznać za coś przyjemnego, lecz wystarczało obficie namydlić twarz i niesforne włoski miały ograniczone możliwości ucieczki. Zresztą nieoceniony Pocket sprzątał wszelkie brudy i kurze. Używał do tego celu giętkiego węża. Ten z kolei był przymocowany do gniazda w ścianie, połączonego z jedną z pomp odprowadzających powietrze. Pocket spędzał całe dni, myszkując po saloniku z tym urządzeniem; grzebał w kątach i zgarniał odpadki. Początkowo wraz z Holdenem uznawaliśmy ten widok za komiczny, ale z upływem czasu zaczęliśmy doceniać wartość wynalazku, gdyż bez niego nasze wyrzucone w nieogarnione przestworza więzienie niebawem osiągnęłoby poziom zapaskudzenia godny nory jakiegoś Hindusa.

Traveller dysponował na pokładzie statku skromną garderobą, Pocket również; inżynier użyczył Holdenowi i mnie bielizny i szlafroków, a cudowny Pocket postarał się o wyczyszczenie naszego przyodziewku (użył do tego namydlonych gąbek i mokrych ścierek), usuwając najgorsze skutki gwałtownego startu.

W ten oto sposób my, trzej dżentelmeni – być może w strojach nieco

pogniecionych, ale prezentujących się bardziej niż znośnie w oczach życzliwego obserwatora – około wpół do dziewiątej zajmowaliśmy miejsca na strapontenach, a Pocket serwował świeżo parzoną herbatę, bekon i grzanki z masłem.

Traveller miał szczegółową teorię na temat niebezpieczeństw przebywania w warunkach braku grawitacji, do których zaliczał zanik nie używanych mięśni i kości. Przepowiadał nam, iż po ewentualnym powrocie na Ziemię możemy okazać się tak słabi, że trzeba nas będzie wynosić na zewnątrz. Tak więc gdy Pocket szykował lancz – najczęściej lekką zimną przekąskę – zakładaliśmy szlafroki i przystępowaliśmy do energicznych ćwiczeń fizycznych. Były wśród nich bokserska walka z cieniem, niezwykle biegi, polegające na przemierzaniu ścian saloniku jak wiewiórka uganiająca się za własnym ogonem w miniaturowym kole młyńskim, a od czasu do czasu siłowaliśmy się jeden z drugim, nieszkodliwie naśladowując atletycznych zapaśników.

Wyszło na jaw, iż Holden ma sporą nadwagę, płytki oddech i ogólnie nie najświetniejszy stan zdrowia, Pocket jest nadmiernie wysuszony i wąty, Traveller natomiast – chociaż chętny do ruchu, pełen wigoru i elastyczny – ma ósmy krzyżyk na karku, łagodną astmę, a całkowita rujnacja nosa i zatok, spowodowana awarią aparatury podczas jakiegoś dawnego eksperymentu z anty-lodem, generalnie nie przysłużyła się jego kondycji. Tak więc na placu boju, a raczej w naszej improwizowanej sali zaprawy fizycznej pozostałem tylko ja, najmłodszy i najzdrowszy z obecnych.

Popołudnia spędzaliśmy na grach – „Faeton” zawierał ich kilka zestawów, między innymi specjalne miniaturowe plansze i pionki do szachów, warcabów, łatwe do przechowania. Od czasu do czasu pozwalaliśmy też sobie na kilka roberków, używając wynalazku Travellera – namagnesowanych kart. Holden był chętnym graczem, lecz wyzbytym ze szczętem żyłki hazardzisty, natomiast brydż sir Josiaha okazał się pełen wyobraźni, atoli tak brawurowy, że graniczący z fuszerką! Biedny Pocket, z obowiązku zmuszony wypełniać rolę czwartego, ledwie znał zasady i po kilku pierwszych robrach nasza trójka ciągnęła dyskretnie losy, w ten oto sposób decydując, komu przypadnie niewdzięczna rola partnera biedaka.

Kolacja była najobfitszym posiłkiem dnia, serwowanym około siódmej, zwykle z winem, i wieńczonym jedną czy dwoma bańkami porto oraz cygarami. Pocket spuszczał blindy, odcinając dostęp nieziemskiego światła i stwarzając iluzję komfortowego sanktuarium. Miło się siedziało w milczeniu, będąc luźno przypiętym do strapontenu, i obserwowało smugi dymu cygarowego wędrujące do ukrytych filtrów powietrznych.

Wieczór przeważnie kończył się odegraniem przez Travellera kilku poważnych pieśni lub, co następowało znacznie częściej, Jakichś hałaśliwych numerów rodem z varietes, których znał na kopy. Inżynier bębnił w klawiaturę składanego pianinka,

powiewając w powietrzu połami marynarki, podczas gdy my przyjemnie rozgrzani porto unosiliśmy się wokół, przyjmując najbardziej zdumiewające pozycje i wyśpiewując kuplety, które przyprawiłyby nasze matki o gorący rumieniec zgorzenia!

I tak ciągnęła się podróż naszym latającym statkiem, mydlaną bańką niosącą ciepło, powietrze i angielską cywilizację przez ocean międzygwiazdowego mroku.

Kiedy tylko minął lęk wywołany świadomością swobodnego unoszenia się na zawrotnej wysokości – a Holdena opuściła ciężka fizyczna przypadłość zbliżona do choroby morskiej – okazało się, że nieustająca wędrówka w przestrzeni może być wcale przyjemnym doświadczeniem. Cały ten splot wydarzeń – nieznane dotąd przeżycia, nie kończąca się galeria cudownych gadżetów Travellera, dowód jego niezwyklej pomysłowości, i niesłychane położenie, w którym się znaleźliśmy – był fascynujący, a nawet przyjemny.

Lecz stale byłem świadomy mrocznego aspektu naszej sytuacji i z upływem czasu coraz wyraźniej dostrzegałem rosnące przed nami niebezpieczeństwa i zagrożenia – jak ruiny odsłaniane wiatrem spod piasków pustyni.

Moje marzenia skupiały się na Françoise.

Spędzałem puste godziny, wyobrażając sobie miłość, która pewnego dnia mogłaby rozkwitnąć między nami, i te marzenia były tak intensywne, że czasami wydawało mi się, iż znam z autopsji to poczucie bliskości, ulgi zwiastującej koniec samotności, świadectwo prawdziwej miłości. Doznawałem jeszcze głębszych wrażeń; gdy rozważałem przyszłość, słodkie i dalekie oblicze Françoise stało się w moim umyśle symbolem świata ludzi, z którego zostałem brutalnie wyrwany.

Dzień w dzień, gdy Pocket zwijał blindy, wyteżądałem łapczywie wzrok, ogarnięty irracjonalną nadzieją, że nasze położenie jakoś zmieniło się podczas nocy, że nasz niewidzialny pilot zmienił kurs o sto osiemdziesiąt stopni (choć Traveller niecierpliwie i nie raz wyjaśniał mi, że gdyby silniki zaczęły pracować, z pewnością nie przespaliłyśmy tego wydarzenia). Lecz każdego ranka przeżywalismy rozczarowanie; każdego ranka Ziemia kurczyła się coraz bardziej na dowód, iż w dalszym ciągu oddalaliśmy się od planety naszego urodzenia, setki mil na minutę.

I tak my, czterej obcy sobie ludzie, ciśnięci do tego kryminału o ścianach i kratkach z powietrza, spędzaliśmy próżniaczo dni. Traktowaliśmy się nawzajem z tolerancją – nawet ostrożnością. Holden i Traveller znosili swoje położenie ze stoicyzmem i męstwem. Tego drugiego niecierpliwilo jedynie to, że nie może powrócić do swoich rozlicznych przedsięwzięć inżynierskich na Ziemi. (Osobiście z przyjemnością wyrzuciłem z pamięci moją pracę i najeżoną niechęcią szczurzą gębę Spiersa). A Pocket – chociaż najbardziej podatny na lęk wysokości z nas wszystkich – wydawał

się tak szczęśliwy podczas spełniania domowych obowiązków, jakby miał twardy grunt pod stopami.

Lecz w miarę jednostajnie płynącego czasu znudzenie, zniechęcenie, klaustrofobia i irytacja rosły we mnie jak chwasty i piątego poranka, gdy siedziałem na strapontenie, mając przed sobą bekon i grzankę przygotowane przez Pocketa, i słuchając Travellera i Holdena dyskutujących o kapryсах giełdy londyńskiej, coś we mnie pękło.

Uniosłem się i odepchnąłem tackę ze śniadaniem.

–Nie mogę tego dłużej słuchać! – Zawisłem w powietrzu niczym jakiś anioł zemsty, chociaż efekt ten psuły grzanki sunące leniwie w powietrzu.

Traveller podniósł wzrok. Wyglądał komicznie z marmoladowym kleksem na czubku platynowego nosa.

–Dobry Boże, Łikers. Opanujże się.

Gniew dodał siły mojemu drżącemu głosowi.

–Sir Josiah, po raz setny i ostatni przypominam panu, że nazywam się Vicars, Edward Vicars, a jeśli chodzi o opanowanie, to tyle się naopanowywałem przez ostatnie dni, że mam tego po dziurki w nosie.

–Nerwy na nic się zdadzą, Ned – rzekł z przygnębieniem Holden.

Odwrociłem się ku niemu.

–Holden, wciąż jesteśmy uwięzieni w tym idiotycznym wyściełanym skórą pudle, które niesie nas coraz głębiej w ponurą pustkę! A wy nic tylko siedzicie i głowicie się, czy indeks giełdowy pójdzie w górę, czy w dół...

Traveller wziął do ust kolejny kęs grzanki.

–Co zatem proponujesz? Palnąłem pięścią w otwartą dłoń.

–Żebyśmy porzucili tę zabawę w normalność; żebyśmy usiedli i zastanowili się wspólnie, jak odzyskać panowanie nad statkiem, jak wydrzeć ster z rąk obłąkanego Szwaba, który zajął mostek.

–Ned... – zaczął Holden.

–Podejmiemy rozmowę na każdy wskazany przez ciebie temat – przerwał mu zduszonym głosem Traveller, kiwając głową. – Ale pozwól mi wpierw skończyć śniadanie, jak Bóg przykazał.

–Śniadanie...?! – Wyplułem z siebie to słowo. – Jak pan może przełykać grzanekę w sytuacji nieporównywalnej z całą historią ludzkości, kiedy grozi nam utrata życia...

Ciągnąłem w tym stylu przez jakiś czas, ale starszy pan puszczał mimo uszu wszystkie moje argumenty; toteż chociaż rozwścieczony, musiałem ustąpić i odczekać, aż śniadanie dobiegnie końca i naczynia zostaną uprzątnięte.

Traveller wytarł długie palce w serwetkę. Był niewzruszony.

–Otóż, Ned, poczuwam się do duchowej wspólnoty z twymi emocjami, a nawet podziwiam twoje zdecydowanie, które, chociaż wyrosłe na glebie ignorancji i zapalczywości, zawiera jednak ziarna odwagi. Mimo to, Ned, nie jesteś tak głupi, jak na to wyglądasz, i znakomicie zdajesz sobie sprawę, że luk łączący tę kabinę z mostkiem jest zamknięty od góry. I nie dysponujemy narzędziami, którymi dałoby się go rozewrzeć.

Zgrzytnąłem zębami.

–Więc co pan wnioskuje w tej sytuacji?!

–Nie możemy nic zrobić, aby poprawić nasze perspektywy, natomiast możemy uczynić wiele, aby wzmiankowana przez ciebie sytuacja znacznie się pogorszyła.

Holden pobladł jak chusta i złożył tłuste palce w daszek.

–W takim razie co pan proponuje?

–Musimy zaakceptować fakt, że nie możemy nic zmienić. Możemy tylko żywić nadzieję, że nasz teutoński pilot uzna za stosowne zmienić radykalnie kurs tego latającego statku – jeśli tylko to potrafi. Następnie możemy się jedynie modlić, by statek był zdolny przetransportować nas bezpiecznie do rodzimego świata.

Zerwałem się z miejsca i wyrzuciłem słowa jak pociski spod wyściełanego skórą sufitu:

–Żywić nadzieję...?! Modlić się...?! Sir Josiah, pańskie rady sprowadzają się do nicnierobienia. Nadal będzie pan głosił takie hasła, kiedy ze słoików z marmoladą wyrzy dno?

Traveller roześmiał się zgrzytliwie.

–Ale ja nie zamierzam umierać bez walki – oznajmiłem. Holden wyprostował się, nie opuszczając strapontenu, i odwrócił do mnie.

–Mam nadzieję, że kiedy przyjdzie spojrzeć śmierci w twarz, zachowasz się godnie,

jak Anglikowi przystało, Ned.

Te słowa sprawiły, że mój gniew spopielił się w płomieniu wstydu, mimo to ciągnąłem:

–Holden, co byłby ze mnie za Anglik, gdybym oczekiwał śmierci, leżąc plackiem.

Traveller wsparł dłonie na kolanach.

–Panowie, porozmawiać z pewnością nie zaszkodzi. Pod warunkiem – zwrócił się do mnie surowo – że poprowadzimy naszą rozmowę w sposób cywilizowany.

Wróciłem na straponten, lecz moje palce tańczyły niespokojnie na poręczach podczas całej dalszej dyskusji.

–Tak więc, o czym chciałbyś rozmawiać, Ned?

–To oczywiste. Musimy otworzyć luk prowadzący na mostek.

–Już wytłumaczyłem, że to niewykonalne. Co więcej proponujesz?

Wytrącony z równowagi i zły spojrzałem na Holdena, który powiedział gładko:

–Sir Josiah, obawiam się, że młody Edward wyzbyty pańskiej przewagi w postaci głębokiej znajomości „Faetona”, a przede wszystkim jego budowy, nie zdoła błysnąć żadnym świeżym pomysłem. Może dokonalibyśmy analizy struktury statku w nadziei, że to zrodzi jakieś rozwiązanie. Na przykład, jak grube są te ściany?

Traveller uniósł brwi.

–Ściany? Może uważa pan, że jakaś heroiczna postać zdołałaby wsunąć się między kadłub zewnętrzny a wewnętrzny, prześliznąć jak łasica na mostek i rzucić na naszego niemieckiego przyjaciela? Niestety przestrzeń między kadłubami ma tylko dziewięć cali... trochę ciasno, nawet dla naszego młodego towarzysza, co dopiero dla kogoś równie obfitej tuszy, jak pan... a zresztą i tak zajmują ją rury grzewcze, prowadzące wodę i powietrze, sprężyny, które chronią przedział wewnętrzny przed rozprężeniem... wie, pan, jest zawieszony kardanowo... i koje, straponteny oraz inne urządzenia, z których obaj wydatnie korzystacie. A zresztą podwójny kadłub kończy się przy mostku. Mostek i salonik to oddzielne, szczelne komory. Żeby zaoszczędzić waszego czasu, powiem, iż jedyna droga na mostek... poza zamkniętym lukiem nad waszymi głowami... wiedzie przez właz w ścianie zewnętrznej. A ten, oczywiście, można otworzyć tylko znalazłszy się na zewnątrz statku.

Holden pokręcił głową.

–Nie potrafię pojąć, jak mógł pan zezwolić na realizację planu, nie zabezpieczywszy się wpierw przed przejęciem sterów.

Sir Josiah uśmiechnął się.

–W swej młodzieńczej naiwności nie przewidziałem sabotażu. Nigdy nie znalazłem się w sytuacji, którą nam narzucono.

Użyte przez Travellera określenie „szczelne komory” nasunęło mi pewną myśl.

–Sir, jak powietrze dochodzi na mostek?

–Powietrze na mostek i do saloniku jest dostarczane tą samą siecią rur, biegnącą od pomp i filtrów znajdujących się pod naszymi stopami, w maszynowni.

Skinąłem głową.

–Do której mamy dostęp.

–Ned, co kombinujesz? – spytał Holden.

–A założmy, że zablokujemy przewody powietrzne biegnące na mostek? Wtedy nasz szwabski towarzysz z pewnością udusi się we własnych smrodach w ciągu kilku godzin.

Traveller skinął z powagą głową.

–Elegancko wyłożone. Lecz podczas gdy takie postępowanie doprowadziłoby do ze wszech miar usprawiedliwionej zemsty, to obawiam się, że tylko pogorszyłoby naszą sytuację. Nadal bylibyśmy pozbawieni dostępu na mostek, tyle że zamiast żywego niemieckiego nawigatora mielibyśmy jego trupa!

Rozbiór na czynniki pierwsze moich propozycji, przedstawiony od początku do końca ze spokojem i łagodnością płaskim, nosowym akcentem właściwym mieszkańcom Manchesteru, podziałł na mnie jak płachta na byka.

–Idźmy dalej – wysapałem, z najwyższym wysiłkiem zachowując cywilizowany ton. – Pompy powietrza znajdują się w maszynowni. Co tam jeszcze jest?

–Sam się przekonaj – powiedział Traveller. – Pocket, zechcecie podnieść wierzchnie warstwy podłogowe?

Cierpliwy sługa skinął nieznacznie głową, odepchnął się od fotela i spłynął ku podłodze. Zabrał się do usuwania tureckiego dywanu i ceraty okrywających poziomą gródź. Oka dywanu ustąpiły bez kłopotu, lecz biedak musiał sporo się napocić, chcąc zwinąć go całkowicie w naszych warunkach. Niemniej jednak niewzruszenie

odrzucał nasze propozycje pomocy, prosząc jedynie od czasu do czasu o podniesienie stóp.

Nie zdarzyło mi się dotąd poznać człowieka, który tak dobrze znał swoje miejsce i spełniał się na nim tak perfekcyjnie.

W końcu dywan został zrolowany i wepchnięty w szparę u góry ściany saloniku. Gródź załśniła aluminium, lecz nie była jednolita. Miała piętnaście stóp szerokości i podzielono ją na prostokątne części. Osłaniały je blachy mocowane na nakrętki motylkowe. Fragment pełniący rolę wanny zakrywały gumowe płachty.

Traveller zaparł się stopami o żłobkowaną aluminiową powierzchnię i zabrał się do odkręcania jednego kompletu nakrętek. Odkładał nakrętki w powietrze, tak że utworzyły równy rząd, po czym zgarnął całość do kieszeni kamizelki.

–Nie musicie się obawiać ucieczki powietrza – uspokoił nasze obawy. – Ta gródź nie jest szczelna i dolny przedział ma to samo ciśnienie, co salon.

Zajrzeliśmy z Holdenem do środka. Przedział dolny miał około siedmiu stóp głębokości. Dokładnie pod nami była kula o średnicy około czterech stóp, ułożona na solidnej ramie; kulę pokrywało srebro, tak że tańczyły na niej odbicia naszych postaci i lamp acetylenowych, umocowanych za i nad nami. Traveller wyjaśnił, iż to jedno z trzech antylodowych naczyń Dewara. Przyglądałem się naczyniu z czymś graniczącym z nabożnym zachwytem i pogładziłem srebrną powierzchnię. Lecz wyczułem tylko przyjemne ciepło; nic nie wskazywało, że poniżej jest warstwa próżni, identyczna jak ta rozciągająca się za kadłubem, a w środku czają się pierwotne, niszczycielskie moce.

Traveller pokazał nam wyszukany układ prętów, który, jak stwierdził, szedł przez kadłub do dźwigni umieszczonych na mostku. Pręty wnikały w naczynia, co pozwalało osobie przebywającej na mostku przesuwając odpowiednie porcje antylodu poza arktyczne wnętrza naczynia, by topniały, wyzwalając ciepło.

Traveller opowiedział nam, jak energia cieplna antylodu ogrzewa wodę w szeregu kotłów płomieniówkowych. Były to metalowe pudła otoczone węzownicami z wodą. Superrozgrzana para szła rurami z bojlerów, po czym wracała kanałami wyciętymi w Dewarach.

Mając na celu polepszenie sprawności silników latającego statku, Traveller pomysłowo wykorzystał inną cudowną właściwość antylodu – nadprzewodnictwo.

W płytach antylodu bez przerwy krążyły potężne elektryczne prądy. Te prądy wzbudzały silne pola magnetyczne, które jeszcze bardziej przyspieszały bieg supergorącej pary, zanim ta wytrysnęła z dysz usytuowanych poniżej Dewarów. Dzięki temu skomplikowanemu układowi, powiedział Traveller, możliwe było

uzyskanie niesłychanej „prędkości wyjściowej” pary bez kontaktu z rurami i blachami statku, które w innym wypadku z pewnością uległyby stopieniu. Taka prędkość wyjściowa umożliwiła z kolei wprawienie statku w ruch za pomocą niewielkiej ilości substancji napędowej.

Traveller uniósł kolejną płytę i ujrzeliśmy płataninę rur, wąskich zbiorników, z których każdy był rozmiarów regału na książki, kul z brązu i maszynerii najrozmaitszego autoramentu. Traveller wyjaśnił, iż regatowe zbiorniki zawierają wodę wykorzystywaną w wielu układach statku. Z kolei w sferycznych rezerwuarach zmagazynowano pod ciśnieniem gaz acetylenowy i powietrze. Pompy nieustannie rozsyłały płyny i gazy pomiędzy warstwy kadłuba i do wnętrza statku, tak jak ludzkie organy utrzymują przepływ zasadniczych płynów w ciele. Pompy działały wyłącznie w oparciu o ciepło prokurowane przez bojler antylodowe. Znajdował się tam również obszerny kanał prowadzący gorące powietrze, które ogrzewało wodę do kąpieli.

Ponurym wzrokiem mierzyłem trzewia latającego statku. Wykończenie tych urządzeń było wyraźnie mniej dokładne niż siłowni na „Księciu Albercie”. Na przykład spawy były chropowate, poplamione i prostacko osmalone, co świadczyło, że „Faeton” nie wyrastał ponad poziom prototypu. Poczulem się nieswojo.

A co jeszcze bardziej przygnębiające, nie widziałem innej możliwości wyjścia z pułapki, w którą nas schwytano, jak zniszczenie tego właśnie układu, od którego zależało nasze życie.

–Sir Josiah, te płyty można demontować, aby w razie awarii podczas lotu mieć dostęp do urządzeń, prawda?

–Zgadza się.

–A gdzie w takim razie są narzędzia służące do naprawy? Unoszący się nad rozebraną grodzią inżynier po raz pierwszy nieco się zasępił.

–Nie złożono ich w tym przedziale ani w salonie, jak może należało uczynić. Są na mostku.

Palnąłem się w czoło, rozdrażniony i bezradny.

–To znaczy, że nie dalej jak dziesięć stóp od nas jest zestaw wyśmienitych narzędzi, za pomocą których moglibyśmy zdobyć dostęp na mostek – ale nie mamy nawet co o nich marzyć, bo spoczywają zamknięte na siedem spustów z tym obłąkanym Szwabem, po drugiej stronie luku!

Holden fruwał, złożywszy ramiona na piersi. Głowę skłonił na pierś, złożywszy fałdy podbródka na kamizelce, a nogi trzymał pod kątem prostym do tułowia.

–Sir Josiah, zademonstrował nam pan antylodowy układ odrzutowy i układ wodny. Co jeszcze znajduje się w siłowni?

Traveller klasnął w ręce.

–Pocket...?! – Podczas gdy służący zabrał się do odkręcania motylków blokujących płyty kolejnego przedziału, jego pan mówił: – To, co teraz panom przedstawię, to eksperymentalne urządzenie mojego pomysłu, jednak mające na tyle dopracowaną postać, że w pełni funkcjonalne. Widzieliście, że zaplanowałem dostęp do komory silnika w razie awarii podczas lotu. Lecz zabezpieczyłem się również na wypadek uszkodzenia zewnątrz statku.

Te słowa wzbudziły moje zdumienie.

–Ależ podróżujemy w pustej przestrzeni, sir... w pustce, jeśli pańskie założenia są zgodne z rzeczywistością. Jakiż czynnik mógłby spowodować uszkodzenie w takich warunkach?

Traveller zmarszczył brwi, a jego zdobione platynowym nosem oblicze przybrało wyraz zatrwajająco ponury.

–O przestrzeni pozaziemskiej można powiedzieć wiele, ale nie to, że jest pusta, młodzieńcze. Meteory nieustannie przemierzają te międzygwiazdne przestworza.

–Meteory...?

–Kawałki skał lub pył, Ned – wtrącił Holden. – Pędzą z szybkością kilkuset mil na godzinę a wpadając w atmosferę ziemską, spalają się. Tym tłumaczy się znany ci fenomen spadających gwiazd. Wedle najświeższych teorii kilka ton tego międzyplanetarnego śmiecia... zarówno meteorów, jak i ich cięższych krewniaków, meteorytów, których zderzenie z powierzchnią ziemską może wyłobić kraterę... spada na Ziemię każdego tygodnia!

Traveller splótł ręce za głową i położył się w powietrzu, całkowicie rozluźniony.

–To fascynujący przedmiot badań. We fragmentach meteorytów znaleziono ślady węgla; a węgiel, oczywiście, zawdzięcza swe powstanie wyłącznie organizmom żywym, co w tym przypadku dowodzi, że życie musi występować poza granicami Ziemi. Na przykład, pewien Francuz...

–Sir Josiah, proszę...! Może wróćmy do tematu. Naukowe roztrząsanie istoty tych obiektów niewątpliwie ma głęboki sens, lecz na razie dajmy sobie z tym spokój. W naszej sytuacji trudno nie uznać ich za niejakie zagrożenie, lecz nie zapominajmy, że i bez nich jest dość utrapień!

Aluminiowe ściany nagle wydały mi się cienkie jak płótno namiotu i wyobraziłem sobie setki kawałków skał pędzących z prędkością kul. Ogarnął mnie smutek. Czyżby Pan uznał, iż nie mam dość zmartwień?

Jednak następne słowa Travellera pocieszyły mnie nieco.

–Nie należy z góry poddawać się przygnębieniu – powiedział. – Przestrzenie międzyplanetarne są ogromne, a szansę takiej kolizji mikroskopijne. Lecz wydawało mi się, że winienem przygotować się na taką ewentualność – czy inne katastrofy, które mogą spaść na nas z zewnątrz.

W nowo odsłoniętym sektorze siłowni leżało aluminiowe pudło rozmiarów i kształtów trumny. Jego pokrywa była zakręcana. Traveller wyjaśnił, że ta „szafa powietrzna” jest całkowicie szczelna, a wyjście z drugiej strony prowadzi na zewnątrz statku – w przestwór! To niewidoczne wyjście było odkręcane tak samo jak wejście.

–Powietrze z pudła uleci w przestrzeń, to oczywiste – rzucił lekko Traveller – lecz dopóki górny właz jest zamknięty, nic złego nie może spotkać lokatorów saloniku. W ten sposób można wyjść na zewnątrz, nie ryzykując utraty szczelności całego statku.

Holden, zmarszczywszy czoło, uważnie przyglądał się urządzeniu.

–Niezwykłe pomysły – powiedział cicho i ze spokojem – z tym wyjątkiem, że nie wzięto pod uwagę, iż los nieszczęśnika wewnątrz tej trumny będzie przypieczętowany z chwilą otwarcia drugiego włazu. Umrze z braku powietrza.

–Ależ skąd – zachnął się Traveller. – Wewnątrz szafy jest specjalny strój, całkowicie szczelny i połączony z zapasem powietrza. Doprowadza je układ szlauchów. W ten oto sposób człowiek może przebywać i pracować w pustce przez długi czas, nie narażając życia.

Trudno mi było to sobie wyobrazić, ale – po całej serii pytań – pojąłem istotę działania urządzenia.

Kiedy to nastąpiło, ujrzałem mój los tak wyraźnie jak drogę wyrysowaną na mapie.

Ogarnął mnie jakiś dziwny spokój i zapytałem cicho:

–Sir Josiah, jak długie są te szlauchy doprowadzające powietrze?

–W pełni rozciągnięte mają ponad czterdzieści stóp. Postarałem się, aby nieustraszony inżynier mógł dotrzeć do każdej sekcji.

Skinąłem głową.

–Na przykład, do sekcji mostka i wjazdu wiodącego na mostek – rzekłem powoli.

Zachwył i coś na kształt nadziei wypełniły oblicze Holdena.

–Ach. I tym oto sposobem można by zdobyć dostęp na sam mostek.

Oczy Travellera ciskały pioruny, kiedy spytał:

–Młody człowieku, czyżbyś sugerował, iż próba takiego przedsięwzięcia mieści się w granicach zdrowego rozsądku?

Wzruszyłem ramionami, nie tracąc ani uncji spokoju.

–Wydaje mi się, że stwarza ono co prawda niewielką, ale prawdopodobną szansę. Natomiast pozostanie tutaj i nicnierobienie obiecuje jedynie powolny i niezbyt przyjemny zgon.

–Ale to urządzenie eksperymentalne! – Wymachiwał rękami jak jakieś groteskowe ptaszysko skrzydłami. – Przywdziewałem ten strój tylko na kilka minut, a i to wyłącznie na powierzchni Ziemi; nie rozwiązałem jeszcze problemu przepływu powietrza, utraty ciepła...

–I co z tego? – spytałem. – Niech to będzie ostateczna próba, próba niszcząca. Z pewnością nauki wyciągnięte z takiego spacerku przysłużą się w sposób nieoceniony budowie nowych i lepszych strojów.

To nadkruszyło opór starszego pana i obudziło jego ciekawość naukowca. Przez chwilę widziałem w jego oczach niczym nie maskowaną ciekawość, lecz rzekł:

–Mój młody przyjacielu, nie przeżyłbym na tyle długo podobnej wyprawy, aby spożytkować zdobyte nauki. Teraz pozwól, byśmy zamknęli ten przedział i...

–Nie mam żadnych wątpliwości, że nie przeżyłby pan takiej wyprawy, sir – powiedziałem bez ogródek. – Ma pan swoje lata i proszę mi wybaczyć, że przypomnę, ale jest pan astmatykiem. – Rozejrzałem się po pozostałych członkach naszej kompanii. – Holden, przepraszam, że to powiem, ale jesteś o wiele za gruby, aby wśliznąć się w to urządzenie, a poza tym twój stan zdrowia w żadnym wypadku nie zezwala na równie wyczerpującą przechadzkę. Co zaś się tyczy Pocketa... – Oczy służącego spoczywały na mnie z błaganiem. Powiedziałem tylko łagodnie: – Oczywiście, nie będziemy wymagać od naszego wiernego przyjaciela, aby podjął się podobnej podróży. Dżentelmeni, mamy więc całkowitą jasność.

–Ned, chyba nie...

–Vicars, absolutnie zakazuję. To samobójstwo!

Puszczalem ich słowa mimo uszu, ledwo co słysząc, gdyż byłem całkowicie zdecydowany. Mój wzrok wybiegał poza towarzyszy podróży, poza kadłub statku, jakby ten był zbudowany ze szkła, i zdawało mi się, że widzę pustkę: przestworza nieskończonego zimna, otchłań przenikaną kanonadą skalnych pocisków...

Międzygwiazdne przestworza, w które – teraz o tym wiedziałem – niebawem musiałem wkroczyć.

Rozdział 7

Samotny

Ze wszystkich sił parłem ku mojej przygodzie, było bowiem dopiero wczesne przedpołudnie, ale Traveller stwierdził z naciskiem, że wyjście poza statek bez właściwych przygotowań pomniejszy do zera moje i tak niewielkie szansę sukcesu.

W tej sytuacji zdecydowałem, że powinny minąć pełne dwa dni, zanim dane mi będzie wejść do trumiennej szafy powietrznej. Chociaż nie byłem pewien, jak tego rodzaju zwłoka wpłynie na moją kruchą odwagę i stan umysłu, poddałem się jego opinii.

Zajął się moją kondycją cielesną.

–Wkraczasz w królestwo niezbadanego i nie da się przewidzieć z pewnością, jak zachowa się twoje ciało w przestrzeni międzyplanetarnej, ubrane w strój ochronny mojego pomysłu – powiedział.

Tak więc narzucił mi ostry reżim dietetyczny, oparty na sutych posiłkach składających się wyłącznie z chleba i zup. Nakazał – i przypilnował tego – abym powoli przeżuwał każdy kęs, po to by uniknąć przełknięcia powietrza. Początkowo buntowałem się przeciwko takim ustaleniom aprowizacyjnym, lecz Traveller krótko i węzłowato wykazał, iż żołądek wypełniony gazami to coś w rodzaju balonu. W pustce nie będzie powietrza, która pohamowałoby nieograniczone rozprężanie się takiego balonu...

Z całą brutalnością kontynuował dalszy opis wypadków i natychmiast przystąpiłem z entuzjazmem do przeżuwania porcji chleba.

Karmiono mnie tranem leczniczym i różnymi roztworami zawierającymi żelazo, dodającymi sił. Traveller pakował również we mnie wyciąg ze strączków senesu i syrop figowy. Te medykamenty miały oczyścić mnie z całego niepożądanego bagażu, zalegającego układ pokarmowy. Gdy uginałem się pod ciężarem katuszy spowodowanych zażywaniem tych środków, czułem się, jakbym przed wstąpieniem do wyzbytego powietrza piekła, któremu miałem stawić czoło poza kadłubem, był wpierw skazany na pobyt w czystcu.

Jakby mało tego wszystkiego Traveller dosypywał mi do herbaty soli bromowej. Wprawiło mnie to w zdziwienie, chociaż słyszałem o karmieniu podobnymi specyfikami żołnierzy służby liniowej. W końcu Traveller wziął mnie na bok i wyjaśnił, że podawanie bromu ma na celu powstrzymanie, jak to nazwał, pewnych impulsów powszechnych u młodych ludzi, bliskich mi wiekiem i temperamentem, które mogą spowodować nieszczęsne konsekwencje w przypadku ciała zamkniętego w stroju powietrznym. Te słowa wprawiły mnie w konsternację; chociaż bowiem podczas

tamtych mrocznych dni często myślałem o Françoise, to moje rozważania miały raczej postać milczących modlitw o jej bezpieczeństwo i nasze ewentualne spotkanie niż ekscytujących spekulacji. Trudno mi było wyobrazić sobie, iż dam się uwieść nieobyczajnym wyobrażeniom, stojąc w obliczu niewyobrażalnego zagrożenia życia!

Niemniej jednak zastosowałem się do zalecenia Travellera i łyknąłem brom, nie mrugnawszy okiem.

Pierwsza z dwóch nocy przed wyprawą w przestrzeń okazała się niezwykle trudna, gdyż Traveller wyraźnie zabronił mi jakichkolwiek trunków do posiłków i kiedy spoczywałem na koi w zaciemnionym saloniku, serce waliło mi gwałtownie, a sen wydawał się nieprawdopodobnie daleko. Po jakiejś godzinie wstałem i poskarżyłem się Travellerowi. Mruczając pod nosem wiele nieprzychylnych uwag pod moim adresem, dźwignął się z koi – pompon szlafmicy fruwał za naszym gospodarzem, kiedy ten sunął w powietrzu – i zaaplikował mi napój nasenny potężnej mocy. Przełknąwszy go, przespałem całą noc jak kłoda i Traveller powtórzył dawkę następnego wieczoru.

Tak więc zbudziłem się piętnastego sierpnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku gdzieś poza ziemską atmosferą oczyszczony na ciele i duchu, świeży i gotowy do samotnej podróży w bezkresną pustkę na zewnątrz kadłuba „Faetona”.

Traveller nakazał mi rozebrać się do naga, zostawiając tylko szorty, i wręczywszy Pocketowi gęsty, kwaśno cuchnący olej, poprosił o rozsmarowanie go na całym moim ciele od szyi w dół.

–To ekstrakt z tranu wielorybiego – powiedział. – Służy trzem celom: po pierwsze wpływa odżywczo na skórę, po drugie zatrzymuje ciepło ciała, a po trzecie i najważniejsze, tworzy barierę między twoją skórą a materiałem stroju powietrznego.

To zdziwiło Holdena.

–W takim razie ten strój nie zatrzymuje ochronnej warstwy powietrza wokół ciała Edwarda?

–Ośłona rozszerzyłaby się natychmiast jak balon właśnie pod wpływem powietrza – wyjaśnił Traveller. – Zesztywniałyby niebywale, unieruchamiając podróżnika w przestrzeni. – Rozpostarł ręce i nogi i poruszył bezradnie palcami, przedstawiając opisaną sytuację.

Nie miałem pojęcia, że powietrze – niewidzialne i nieuchwytnie – ma tak wielką siłę.

Po nasmarowaniu mnie tłuszczem Pocket otworzył powietrzną szafę i wyjął strój obmyślony przez Travellera. Na tenże strój składały się dwie główne warstwy: bieliźniana i zewnętrzny kombinezon. Część bieliźniana było to coś gumowego o

kroju damskiej kombinacji, do której dochodziły rękawice i podkolanówki. Kazano mi wycisnąć spod gumy najmniejszy nawet pęcherzyk powietrza. Miałem szczęście, że pod względem kształtów ciała z grubsza przypominałem Travellera, na którego strój został uszyty, i kombinacja pasowała na mnie całkiem nieźle, uciskając jedynie pod pachami i w kolanach.

Następnie owinięto mnie na wysokości piersi mocnym gumowo-skórzanym pasem. Ten przypominający gorset element był ciasny i niewygodny, lecz Traveller wytłumaczył mi, że wspomogę pracę mięśni klatki piersiowej, gdy wyzbyty pomocnego ciśnienia powietrza będę biegał się z oddychaniem.

Z kolei przyszła warstwa zewnętrzna, jednoczęściowy kombinezon połączony z rękawicami i butami z cienkiej skóry jak damskie botki. Był z żywicowanej skóry. Traveller wyjaśnił, że użyto skóry, gdyż w próżni guma ma tendencję do wysychania i wykruszania się. Rzuciła się w oczy srebrna powłoka kombinezonu, nałożona w wyniku zręcznego procesu nasączania, tak że można by pomyśleć, iż kombinezon jest utkany z rtęciowej nici. Powłoka miała odbijać słońce i zacząłem rozumieć paradoksalne komplikacje, z którymi spotykał się inżynier pracujący w próżni; promienie słoneczne nie złagodzone warstwą atmosfery działają bardzo gwałtownie i należy się przed nimi chronić, a równocześnie ciepło ucieka ze wszelkich zacienionych obszarów, gdyż nie wychwytuje go warstwa powietrza.

Rozpięto z przodu warstwę zewnętrzną i niezdarnie wsunąłem się do środka. Kołnierz stroju był z miedzi, na tyle szeroki, że ledwo przecisnąłem przez niego głowę. Tenże kołnierz był spojony z częścią gumową, tworząc szczelną barierę; usunięto powietrze pomiędzy obu warstw. Zapięto klapki i rzemienie.

Uniosłem dłoń, obleczoną w posrebrzaną rękawicę.

–Dziwnie się czuję. Natarty tłuszczem i opięty tym ubiorem, w rękawiczkach i damskim obuwiu, jak jakieś groteskowe niemowlę!

–Likers, tego stroju nie zaprojektowano z myślą o efektach komediowych – burknął niecierpliwie Traveller. – Na przykład, po co ci buciory piechociarza, skoro twoje obuwie nie musi dźwigać żadnego ciężaru? Jeśli skończyłeś mieć ozorem, to pozwól, że założymy ci hełm.

Strój powietrzny był zakończony hełmem, banią z miedzi, w której umieszczono okrągłe okienka z grubego optycznego szkła. Do czubka hełmu biegnęły dwa szlauchy. Jak wytłumaczył Traveller, łączyły się z pompą umiejscowioną w szafie powietrznej. Traveller unosił się przede mną, trzymając tę odpychającą banię w długich palcach i mówiąc:

–No cóż, Ned, kiedy tylko zamkniemy szafę powietrzną, trudno nam będzie z tobą

się porozumieć. – Klepnął mnie w ramię i dodał: – Powodzenia, mój chłopcze. Miałeś, oczywiście, rację. To żaden powód do chwały spocząć w ciemnościach bez walki.

W gardle mi zaschło i musiałem przełknąć ślinę, zanim udało mi się cokolwiek powiedzieć.

–Dziękuję, sir.

Pocket pochylił się ku mnie i rzekł:

–Panie Vicars, będę się modlił za pana.

–Ned. – Holden miał zacięty wyraz twarzy, ale na rzęsach głęboko osadzonych oczu były łzy. – Chciałbym być dwadzieścia lat młodszy i móc zająć twoje miejsce.

–Wiem, George. – Kiedy tak unosiłem się w powietrzu, uwięziony w moim przedziwnym stroju, poczułem, że nie zniosę długo przeszywającego wzroku moich trzech towarzyszy. Zmagając się ze wzruszeniem, powiedziałem: – Dalsza zwłoka nie ma zbytniego sensu, sir Josiah. Hełm...?

Pocket i Traveller ostrożnie nałożyli mi miedzianą banię, tylko nieznacznie ocierając uszy. Krawędź dotknęła miedzianego kołnierza i dwaj dżentelmeni obrócili hełm. Usłyszałem cichy zgrzyt i poczułem wonie rozgrzanej miedzi, gumy, żywicy i niewiarygodny smród wielorybiego tranu. Cztery wizjery zatoczyły wokół mnie krąg, szatkując obraz saloniku, i przez chwilę miałem wrażenie, że przebywam w środku magicznej latarni.

W końcu hełm zakręcono i jeden z wizjerów zatrzymał się przede mną. Spowijała mnie cisza przerywana tylko równomiernym sykiem znad głowy – uspokajającym znakiem działania szlauchów powietrznych, które dostarczały świeży tlen i odbierały wydychany bezwodnik kwasu węglowego.

Traveller wyrastał przed moim okienkiem, wyraźnie przejęty i ciekawy. Przytłumiony głos docierał do mnie jak z oddali:

–Dobrze się czujesz? Możesz oddychać swobodnie?

Oddech miałem płytki, ale jak podejrzewałem, tyleż z winy zdenerwowania, co dozowania dopływu powietrza. Moim płucom pracowało się całkiem wygodnie – biorąc poprawkę na gorset ściskający tors. Jedynym minusem był lekko metaliczny zapach powietrza biegnącego szlauchami. Tak więc w końcu dałem znać Travellerowi, że wszystko w porządku, sygnalizując też, iż niecierpliwie oczekuję wejścia do szafy powietrznej.

Traveller i Pocket wzięli mnie pod ramiona i doprowadzili do otwartej grodzi.

Położyli mnie na brzuchu, dokładnie nad włazem kadłuba, po czym zamknęli właz wewnętrzny. Kiedy zgasło światło saloniku, objęła mnie czerń zabarwiona wonią miedzi i za towarzyszy miałem dwa odgłosy: ciężkiego oddechu i dudniącego serca, grożącego wyskoczeniem z piersi.

Wyciągnąłem w ciemności dłonie, znalazłem właz i przekręciłem go.

Najpierw rozlegał się tylko odgłos tarcia metalu o metal, a potem – nagle, z przerażającym hukiem – pokrywa odchyliła się na zawiasach, wyskakując mi z rąk. Dźwięk zamarł z łagodnym westchnieniem, a chwilowy podmuch rzucił mnie w przód; złapałem się ościeżnicy, ale urękawiczone palce osunęły się po metalu i bezradny wypadłem z „Faetona”, koziółkując w pustce!

Wszędzie wokół mnie rozciągała się nicość i na dłuższą chwilę opuściło mnie opanowanie. Wzywałem krzykiem pomocy – oczywiście, zupełnie bezskutecznie w bezdźwięcznej pustce – szarpałem na sobie kombinezon i targałem węże powietrzne niczym bezrozumne zwierzę.

Jednakże pierwsze oszołomienie minęło i siłą woli narzuciłem sobie jaki taki spokój.

Zamknąłem oczy i próbowałem opanować oddech, lękając się, że nadmiernie zubożę zapas powietrza. Przecież jedynie unosiłem się swobodnie, co trudno było uznać za nowe doświadczenie po sporej dawce wokółziemskiej podróży, i uspokoiłem się, udając przed samym sobą, iż jestem bezpieczny za aluminiowymi ścianami „Faetona”.

Ostrożnie wyprostowałem łokcie i kolana. Powietrze usztywniło przeguby kombinezonu i poczułem ostrzegawcze mrowienie w palcach nóg i rąk, mówiące o utrudnionym krążeniu krwi. Ale okazało się, że Traveller generalnie przygotował mnie do tej wyprawy niezwykle starannie.

Ściągnąwszy mocno wodze lękowi, otworzyłem oczy – i okazało się, że nadal nic nie widzę, oślepiony przez parę, która zgromadziła się na wizjerze hełmu. Spoza niej wyglądały rozmyte białe i niebieskie kształty, zapewne Słońce i Ziemia. Uznałem, że unoszę się kilka jardów od statku. Podniosłem urękawiczone dłonie i przetarłem szkło, ale, oczywiście, para zgromadziła się wewnątrz hełmu. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie mam jak sięgnąć do środka i pozbyć się tego kłopotu; równie łatwo mógłbym dosięgnąć własnej twarzy jak gór na Księżycu!

Rzecz jasna, natychmiast poczułem swędzenie nosa, uszu i powiek. Z całą bezwzględnością postanowiłem nie zwracać na nie uwagi. Lecz ślepotą była o wiele poważniejszym utrapieniem i nie wiedziałem, jak się jej pozbyć. Jednak po dłuższej chwili odniosłem wrażenie, że para nieco rzednie. Być może za sprawą pomp, które dostarczały świeże powietrze. Postanowiłem odczekać jeszcze kilka minut,

wykorzystując ten czas na maksymalne opanowanie oddechu.

W końcu szybki na tyle się przeczyściły, że widziałem, co jest na zewnątrz. Jednak nigdy nie miałem w tym względzie idealnych warunków i doszedłem do przekonania, iż kłopotliwe osadzanie się pary, całkowicie nie przewidziane nawet przez geniusz Travellera, będzie najcięższą zawadą podczas kolonizacji przestrzeni pozaziemskiej. Ale tak się przypadkiem złożyło, że to niespodziewane utrudnienie pomogło mi odzyskać spokój, gdy bowiem starałem się wyrównać oddech, by zmniejszyć ilość wydychanej pary osadzającej się na wizjerze, opanowałem równocześnie rozdygotane nerwy.

Gdy tylko wizjer się przeczyścił, rozglądałem się z niepokojem po nowym otoczeniu.

Unosiłem się na tle zupełnie zaczernionego nieba, na którym nie świeciły nawet gwiazdy, Słońce bowiem – rozjaśniona sfera wisząca po mojej lewej ręce – przyćmiewało wszelkie inne obiekty z tamtej strony. Oczywiście, pod nieobecność atmosfery nie było ani chmur, ani lekkiego lazurowego zabarwienia, zdobiącego bezgwiezdną ziemską noc.

Przede mną wisiał Księżyc, zimny i pusty; widziałem ostre zarysy mórz i gór, odcinające się szarymi liniami od reszty powierzchni. Odwróciłem się ku Ziemi, precudnej rzeźbie w błękitach i bieli; Mały Księżyc, iskierka światła, pelzył na tle oświetlonego Słońcem globu. Widziałem ostre zarysy kontynentów – mogłem się przekonać, że w Ameryce Północnej było południe – i miałem wrażenie, jakby nasza planeta była jakimś ogromnym czasomierzem, umieszczonym na niebie dla mojej rozrywki.

Trudno było uwierzyć, że nawet teraz, gdy zmierzch zapadał już nad Europą, armie Francji i Prus kolejny raz szykują się do ataku. Takie zamierzenia oglądane z tych wzniosłych wysokości wydawały się dnem ohydy i poniżenia. Być może, myślałem owładnięty jednocześnie grozą i dumą, zyskałem perspektywę bogów; być może, gdyby wszyscy ludzie mogli obejrzeć nasz świat z tego oddalenia, wojowniczość, zawiść i chciwość zniknęłyby z naszych serc.

Wspomniałem Francję i pomodliłem się bez słów, aby ten dzień zachował od złego ją i miliony innych uwięzionych w tej świetlistej misie.

Przede mną na tle Księżyca wisiał sam „Faeton”. Latający statek był oddalony ode mnie jakieś trzydzieści stóp i jakby leżał na boku; trzy toporne nogi sterczały bezradnie z podstawy, w której widniał otwarty właz, moja droga na zewnątrz. Statek wyglądał jak jakaś absurdalna, krucha zabawka. Cienie nóg i innych elementów rysowały się ostro na kadłubie. Doznałem uczucia nagłego przemieszczenia w czasie i przestrzeni, gdy przypomniałszy sobie, że ostatni raz oglądałem statek z zewnątrz

dumnie stojący na pokładzie „Księcia Alberta”, w łagodnym słońcu Belgii, miałem złudzenie, iż widzę go tam nadal.

Bliźniacze szlauchy zakreślały hak w przestrzeni, łącząc mnie z powietrzną szafą. Uznałem, iż musiałem oddalić się na całą długość lin, a następnie zostałem przyciągnięty z powrotem kilka jardów.

Sięgnąłem do szlauchu za głową i z trudem zacząłem przyciągać się do statku. Zasapałem się i szybka kolejny raz zaparowała; niemniej widoczność była jako taka i mogłem pracować dalej. W końcu dotarłem do włazu; przylgnąłem do nogi statku i czekałem, aż szybka się oczyści.

Wyobraziłem sobie, że Holden, Pocket i Traveller przebywają dziesięć stóp nad moją głową, jakby nigdy nic, rozkoszując się ciepłem i wygodą.

Podciągnąłem się wzdłuż nogi i dotarłem do krawędzi kadłuba. Traveller poprzednio poinstruował mnie, iż do płaszcza statku przymocowano wiele uchwytów z myślą o brygadach naprawczych i innych służbach technicznych. Dzięki tym udogodnieniom łatwo pełzłem na mostek „Faetona”. Robiłem to wolno, uważając, by nie zaplątać szlauchów z powietrzem. Kiedy się poruszałem, srebro łuszczyło się ze skórzanego kombinezonu, tak że otaczał mnie świetlisty obłoczek.

Po kilku minutach przylgnąłem do kadłuba tuż poniżej kopuły mostka. Trzy stopy nade mną był zakręcany wąż, przez który kiedyś dostałem się do statku.

Poprzednio wraz z Holdenem i Travellerem omawialiśmy konieczną sekwencję działań od tego punktu i uznaliśmy posepnie, że mogę zrobić tylko jedno. Cały mój niedawny niebiański nastrój wyparował. Zamknąłem oczy i słuchałem dudnienia krwi w uszach. Nigdy do tej pory nie zabiłem człowieka; nie rozważałem też na serio podobnego czynu. Jednak powiedziałem sobie ze zdecydowaniem, że osobnik, który zajął mostek, to nie człowiek cywilizowany. Ten morderczy Szwab targnął się na życie czwórki ludzi, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa maczał palce w sabotażu na pokładzie „Księcia Alberta”.

Nie miał litości i nie zasługiwał na litość.

Tak więc z nowym ładunkiem stanowczości wciągnąłem się na parapet kopuły.

Zaparłem się stopami o uchwyty w dole i przekręciłem wąż. Szybkość decydowała o powodzeniu akcji. Osobnik, który wdarł się na mostek, nie był, oczywiście, doświadczonym podróżnikiem kosmicznym, podobnie jak my wszyscy, i mieliśmy nadzieję, że nie od razu zda sobie sprawę ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, zagrażającego ze strony groteskowo odzianej postaci wyrosłej z nienacka za oknem.

Obracając wąż, omiotłem wzrokiem mostek. Pośród skomplikowanego

instrumentarium unosiła się swobodnie samotna postać, odziana w jaskrawoczerwoną marynarkę, a jej skierowane na mnie spojrzenie wyrażało raczej ciekawość niż lęk. Człowiek ten nie usiłował mnie powstrzymać – ale serce zamarło mi w piersiach, kiedy dostrzegłem, iż dysponuje elementem przewagi, który powinniśmy przewidzieć.

Chodziło o pistolet wymierzony prosto w moją pierś.

Przemknęło mi przez głowę, aby zrezygnować z całego przedsięwzięcia i cofnąć się w bezpieczne miejsce – ale co by mi to dało? Skoro postanowiłem dostać się na mostek tą drogą, należało wykorzystać szansę. A zresztą, jeśli samozwańczy pilot „Faetona” zamierzał oddać strzał w moim kierunku, wprawd niechybnie roztrzaskałby szkło bulaja czy bulajów i pozbawiłby się powietrza, zabijając nie tylko mnie, ale i siebie!

...Jednak czy sabotażysta rozumował podobnie jak ja?

Poza tym, że nie byłem pewien jego zdecydowania, nie byłem również w pełni przekonany, czy sam jestem gotowy na morderczy czyn. Teraz, gdy ujrzałem go na własne oczy i z „morderczego Szwaba” stał się żywą, czującą postacią, nie wiedziałem, czy wystarczy mi siły charakteru, aby pozbawić go życia.

Wszystkie te myśli kilka sekund kłębiły się w mojej rozgorączkowanej głowie. Decyzja, którą podjąłem, miała ostrość sztyletu. Uznałem, że wolę umrzeć od kuli, która z nagłą rozedrze mi pierś, niż powoli udusić się z braku powietrza. A jeśli miałem zniszczyć sabotażystę, to, no cóż... Nie lepszy koniec przewidywał on dla mnie, Françoise, Travellera i tysięcy innych podczas prezentacji „Księcia Alberta”!

I tak z nowym wigorem obróciłem właz.

Sabotażysta odsunął się od bulajów i zaciśnięta dłoń, w której trzymał pistolet, zadrzęła.

Właz rozwarł się błyskawicznie. Odskoczył, mijając o włos szybkę mojego hełmu, i podmuch powietrza z huraganową siłą trafił mnie w pierś. Dłonie trzymałem mocno zaciśnięte na włazie. Odrzucony na bok, uderzyłem ciałem o bułaj. Papiery i inne śmieci zawirowały wokół mnie, zamigotały pędzące kryształki lodu.

Wszystko to było dla sabotażysty jak grom z jasnego nieba.

Pęd powietrza zagarnął go w kierunku włazu, a kiedy koziółkował, pistolet wypadł z porażonej dłoni i znikł w ciemności. Sabotażysta koniuszkami palców uchwycił się krawędzi włazu, wisząc na skraju nieskończoności! Żółty but spadł z wijącej się kurczowo nogi i pozęglował w przestrzeń; długie, czarne włosy chłostały czoło mężczyzny, gdy odwrócił ku mnie przerażone oblicze, siny, sterczący język,

wysadzone z orbit zamarłe oczy.

Ale mimo jego groteskowego wyglądu i krańcowego niebezpieczeństwa chwili poznałem tego człowieka i doznałem kolejnego wstrząsu. Gdyż nie był to żaden pruski sabotażysta; miałem przed sobą Frederica Bourne'a, towarzysza Françoise!

Tymczasem ostatek powietrza uciekł z mostku; głowa Bourne'a opadła bezwładnie do tyłu, palce rozluźniły uchwyt. Niewiele myśląc, złapałem go za przegub. Niezdarnie pracując wolną dłonią, wdarłem się na mostek. Powietrzne szlauchy i nieszczęsny Bourne unosili się za mną, tłukąc mocno o metal. Kiedy tylko znalazłem się w środku, wepchnąłem Bourne'a głębiej i wciągnąłem kawał szlauchów.

Zatrzasnąłem wąż, odcinając dopływ powietrza. Z wysiłkiem przekręciłem wąż.

Szmer dostarczanego powietrza, mój nieodłączny towarzysz podczas przechadzki w przestrzeń, opuścił mnie na dobre. Traveller obliczył poprzednio, iż w hełmie i szlauchach powinno zostać tyle powietrza, abym zdołał otworzyć wąż do saloniku. Lecz te obliczenia wydały mi się nie przystające do rzeczywistości, gdy męczyłem się w kombinezonie tak ciasnym i krępującym niczym żelazna dziewica *[[przyp – Średniowieczne narzędzie tortur. Pudło rozmiarów trumny o ostrych kolcach po wewnętrznej stronie, które powodowały powolne wykrwawienie zamkniętej w środku ofiary.]], a wizjery hełmu pokryła gęsta para.

Odpychając się od sufitu, opadłem na podłogę i macałem na ślepo, bezskutecznie usiłując dojrzeć wąż. Serce waliło mi gwałtownie, piersi przeszywał ból i wyobraziłem sobie, że bezwodnik kwasu węglowego wydalany przez płuca gromadzi się wokół mojej twarzy, uniemożliwiając oddychanie...

Natrafiłem stopami na koło wążu. Złapałem je, gorączkowo dziękując Bogu w paru prostych słowach, i szarpnąłem z całą siłą, która mi pozostała... ale na próżno. Sprawdziłem dotykiem, co się dzieje, i zorientowałem się, że koło zablokowano łomem wsuniętym w szprychy.

Usunięcie łomu zajęło mi chwilę, po czym z łatwością przekręciłem koło.

Ciemność przed oczami zgęstniała i zadałem sobie pytanie, czy zmysły nie zaczynają odmawiać mi posłuszeństwa; ból w płucach objął szyję i mostek, ramiona opadły, jakby uszła z nich wszelka energia.

Koło tajemniczym sposobem samo przekręciło się w moich dłoniach; resztki świadomości podpowiadały mi, że Holden i Traveller też muszą działać po drugiej stronie wążu. Wyprostowałem palce i bezwolnie poddałem się ciemności.

Ból się rozpląnął. Miękki blask przebił mroki, niebiesko-białe światło przypominające Ziemię.

Osunąłem się w ten blask.

Kiedy otworzyłem oczy, byłem w pełni przygotowany, że kolejny raz ujrzę wewnątrz piekielnej miedzianej bani. Ale moja głowa była wolna; leżałem swobodnie w saloniku. Nad sobą ujrzałem okrągłe, zatroskane oblicze Holdena.

–Ned, Ned, słyszysz mnie?

Gdy próbowałem przemówić, okazało się, że gardło boli mnie, jakby ktoś przejechał tam drucianą szczotką, i zdołałem tylko wykrakać:

–Holden? Więc udało mi się? Zacisnął wargi i skinął w powagę głową.

–W rzeczy samej, chłopcze, spisałeś się na medal. Ale lękam się, że nie wybrnęliśmy jeszcze z matni.

Podał mi bańkę z koniakiem; rozgrzewający trunek przepłynął przez umęczone gardło. Podniosłem głowę. Holden popchnął mnie z powrotem na posłanie, mówiąc, że nie powinienem się jeszcze ruszać; ale dostrzegłem, iż nadal mam na sobie kombinezon powietrzny i okrywa mnie lekki koc.

–A Bourne? – wycharczałem. – Przeżył?

–W rzeczy samej, dzięki twojej szlachetności – powiedział Holden. – Chociaż gdyby to ode mnie zależało, wyrzuciłbym tego Francuzika przez właz...

–Gdzie on jest?

–W głębi, na koi, Pocket się nim zajmuje. Przez jakąś minutę nie miał czym oddychać, ale Traveller sądzi, że nie doznał żadnego trwałego urazu. To smutne.

Opuściłem głowę na poduszkę. W ostatnim czasie spadł na mnie istny huragan wydarzeń, ale poznanie tożsamości naszego sabotażysty było niczym błysk najprawdziwszego pioruna.

–A Traveller? – spytałem. – Gdzie on?

–Na mostku. – Uśmiechnął się. – Edwardzie, podczas gdy Pocket i ja biedziliśmy się przy twoim oporządzeniu... odkręcaliśmy hełm i tak dalej... nasz gospodarz udał się natychmiast do swojego instrumentarium, jak dziecko stęsknione za zabawkami!

Znalazłem w sobie energię na śmiech.

–No cóż, taki on jest. Holden, wspomniałeś, że nie wybrnęliśmy jeszcze z matni; czy instrumenty pokładowe powiedziały coś istotnego Travellerowi?

Holden skinął głową i przygryzł paznokcieć.

–Wygląda na to, że nasz francuski przyjaciel faktycznie zużył nadmierną ilość wody i resztką, która została, nie wystarczy, żebyśmy powrócili na Ziemię. Ale to jeszcze nie najgorsze, Ned.

Podejrzewam, że ostatnie przeżycia nieco mnie oszołomiły, gdyż spytałem ze stoickim spokojem:

–Ale co może być gorszego niż taki wyrok losu?

–Traveller się zmienił. Można by pomyśleć, że twoja determinacja i energia dodały mu sił. Powiada, że musimy powrócić na Ziemię. Ale, Ned... – Strach rozszerzył Holdenowi oczy. – Żeby nas uratować, Traveller zamierza zabrać nas wpierw na Księżyc i tam szukać wody!

Zamknąłem powieki, zadając sobie pytanie, czy nie znalazłem się w pułapce jakiegoś sennego koszmaru, zaczadzony wydychanymi przez siebie oparami.

Rozdział 8

Debata

Następne dni zatarły się w mojej pamięci. Wyprawa w przestrzeń wyssała ze mnie wszelkie siły. A dziwne środowisko „Faetona” – bujanie w powietrzu, pory dnia i nocy wyznaczane jedynie codziennymi czynnościami Pocketa i Holdena (Traveller pogrążony w pracach na mostku ani się nam pokazywał na oczy), zadymione, stojące powietrze, które sprawiało, że miało się ochotę rozewrzeć na oścież okna – wszystko to razem sprowadzało nieustanny półsen. Być może o moim stanie mentalnym decydowało oderwanie od naturalnych warunków bytowania na Ziemi; być może nasze organizmy są bardziej przywiązane do rytmu dnia i nocy ojczystego świata, niż byśmy się tego spodziewali.

Jednakże kilka razy zaniepokoił mnie jakiś huk i czułem, że jestem łagodnie wciskany w koję. Zastanawiałem się mętnie, czy poza wyjściem w pustkę nie odbyłem także podróży w czasie i jakimś sposobem nie powróciłem do koszmarnych chwil startu „Faetona”. Ale wstrząsy zawsze łagodniały i za każdym razem zapadałem w nienaturalnie ciężki sen. Później dowiedziałem się, że wcale logicznie kojarzyłem te odczucia ze startem, dźwięki bowiem, które do mnie docierały, dobywały się z głównych rakiet statku. Traveller wprawiał w ruch swoje silniki, tak że rwaliśmy przed siebie w przestrzeni, znów – chociaż krótko – panowie swego losu.

Lecz tym razem nie wzbijaliśmy się po prostu nad Ziemię; tym razem manewry statku były podporządkowane znacznie bardziej niesamowitemu celowi...

Poza Pocketem, który mył mnie z całą delikatnością, karmił zupkami i ciepłą herbatą oraz wykonywał inne opiekuńcze obowiązki, pozostali w żaden sposób nie przerywali mi snu. Uznali, że postąpią słuszniej, dając pole do popisu naturze. Ja również nie miałem ochoty wyrwać się z tego stanu nie narodzonego dziecka, bo i cóż czekałoby mnie po otrzeźwieniu? – tylko ta sama ponura parada wiodących ku śmierci możliwości wyboru, która skłoniła mnie do desperackiej wyprawy w pustkę.

Lecz w końcu dziwna sieć snu rozplynęła się i zostałem z niej wyrzucony w nieprzyjazny świat, bez szans na powrót, jak kwilący noworodek.

Czując, iż jestem spowity w luźny kokon pościeli i nie znajdując nawet siły, by się z niego uwolnić, słabym głosem wezwałem na pomoc Pocketa.

Służącemu udało się podnieść mnie z łóżka, jakbym faktycznie był noworodkiem... chociaż niesłychanie tajemnicze prawo akcji i reakcji, posłuszne odkryciom wielkiego sir Izaaka Newtona, sprawiło, że odleciał w drugą stronę saloniku. Ubrał mnie w szlafrok należący do Travellera, nakarmił kolejny raz i nawet ogolił.

W lustrze ujrzałem wychudłą twarz, podbite i zaczerwienione oczy. Obawiam się, że zupełnie nie przypomniałem tamtego młodego człowieka, który w świetnym nastroju uczestniczył w lanczu na pokładzie „Księcia Alberta” zaledwie kilka dni temu.

–Dobry Boże, Pocket, la belle Françoise widząc mnie w tym stanie, ledwo zwróciłaby na mnie uwagę.

Zacny chłop położył mi rękę na ramieniu.

–Sir, proszę sobie nie zawracać głowy takimi myślami. Kiedy tylko nakarmię pana, jak należy, odzyska pan dawną formę.

Słyszając jego wesoły, swojski akcent nie pozbawiony prawdziwego ciepła, poczułem się niezwykle podniesiony na duchu.

–Dziękuję za opiekę, Pocket.

–To panu należą się podziękowania, panie Vicars.

George Holden ukazał się naszym oczom w swej pełnej obfitości krasie i mimo wrodzonej niezdarności spłynął lekko niczym piórko z przesławnego sufitowego włazu – obecnie szeroko rozwartego.

–Witaj, mój drogi Ned – powiedział. – Jak się miewasz?

–Nie najgorzej – odparłem, nieco zażenowany jego wylewnością.

–Nie da się ukryć, uratowałeś nam wszystkim życie, dając pokaz niezwyklej odwagi... Mnie nigdy nie byłoby stać na taki spacer w ciemnościach! Trzęsę się na samą myśl, że miałbym wsadzić głowę do tej miedzianej bani...

Wzdrygnąłem się.

–Nie przypominaj mi o niej. Zresztą trudno mówić, żebym nas uratował. Nadal jesteśmy zagubieni w przestrzeni i nasze wybawienie zależy od ekscentrycznych planów Travellera, nieprawdaż?

–Może, ale teraz przynajmniej możemy te plany wprowadzić w czyn. Gdyby nie twoja odwaga, nadal bylibyśmy uwięzieni, spadając bezwolnie w ciemność, zdani na łaskę i niełaskę tej francuskiej świni. Kiedy tak leżałeś nieprzytomny, zaczęliśmy się obawiać, że jednak, chłopcze, udusiłeś się na dobre bezwodnikiem kwasu węglowego, i byłem gotów gołymi rękami zmiażdżyć kark temu Francuzikowi, tymi samymi rękami, które przez trzydzieści lat nie miały się żadnej morderczej broni, skazane jedynie na dzierżenie pióra.

Ten wybuch gniewu zaskoczył mnie i wzbudził lekki niesmak.

–Holden, jak długo spałem? Którego dziś mamy?

–Wedle urzędzeń Travellera dziś jest dwudziesty drugi sierpnia. Wynika z tego, że spałeś pełne siedem dni.

–Sie... Dobry Boże. – Wciąż nieco oszołomiony starałem się obliczyć, jak bardzo oddaliliśmy się od Ziemi przez ten czas, ale w głowie miałem taki zamęt, iż nie pamiętałem, czy doba liczy dwadzieścia cztery godziny czy sześćdziesiąt, i porzuciłem te usiłowania. – A ten sabotażysta, Holden, ten Bourne... Co z nim? Odzyskał przytomność?

–Tak – parsknął Holden. – Gdyby nie ty, zginąłby. Prawdę powiedziawszy, ocknął się z zamroczenia wywołanego brakiem powietrza szybciej od ciebie. – Odwrócił się i wskazał na koję opuszczoną z przeciwległej ściany. Widniał na niej kłęb zabrudzonych kocy.

–Tam wciąż leży, kanalia – dodał z goryczą żurnalista – i ma się całkiem dobrze na statku, który był gotów zamienić w aluminiową trumnę nas wszystkich.

Holden dotrzymywał mi towarzystwa przez jakiś czas, ale ogarnęła mnie kolejna fala znużenia i przeprosiwszy go, wezwałem Pocketa, z którego pomocą zająłem pozycję leżącą. Przymknąłem powieki na kilka godzin.

Kiedy się obudziłem, salonik był pusty, wyjąwszy Pocketa, mnie i postać okrytą kocami na przeciwległej koi. Poprosiłem Pocketa o herbatę; następnie poczuwszy świeży przyływ energii, wstałem z posłania. Po równie długim leżeniu w łóżku na Ziemi moje nogi z pewnością miałyby kłopot z udźwignięciem reszty ciała, lecz międzygwiazdne przestworza znacznie bardziej wyrozumiale potraktowały moje osłabienie i doskonale sprawny, bez wysiłku pokonałem szerokość kabiny.

Zatrzymałem się nad Bourne'em. Francuz spoczywał twarzą do ściany – widziałem, że ma otwarte oczy – a kiedy wyczuł mój cień, odwrócił się i wzniosł ku mnie wzrok. Nie przypominał wyniosłego, nawet aroganckiego towarzysza Françoise Michelet. Jego szczupła twarz przybrała wygląd trupiej czaszki – kości policzkowe sterczały jak wyciągnięte szufladki – a zmierzwiony zarost zakrywał podbródek. Resztki stroju dandysa – czerwony żakiet i kamizelka w szachownicę – były poplamione i wymięte, a jaskrawe materiały tylko podkreślały żalosny wygląd faceta.

Długo mierzyliśmy się wzrokiem.

–Sądzę, że zakończy pan teraz to, co pan zaczął, monsieur Vicars.

–Mianowicie?

–Zabije mnie. – Powiedział to bez żadnych emocji, jak ktoś opisujący stan pogody, i nadal wpatrywał się we mnie.

Nachmurzyłem się i zgłębiłem stan mych uczuć. Oto, napomniałem siebie, człowiek, który ukradł prototyp latającego statku Travellera, który uwięził mnie i trzech moich towarzyszy i cisnął nas w przestrzeń międzyplanetarną, skazując na całkowicie prawdopodobną śmierć, który był bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć wielu niewinnych widzów startu „Faetona” i który, jako osobnik niewątpliwie zamieszany w spisek mający na celu sabotaż na „Księżciu Albercie”, odebrał życie kilkuset następnym ludziom – w tym, możliwe, Françoise Michelet, dziewczynie, do której przywiązało się moje głupie serce.

–Mam wszelkie powody, żeby pana zabić – oznajmiłem ze spokojem. – Mam wszelkie powody, żeby pana nienawidzić.

Przyglądał mi się bez cienia lęku.

–I zabije mnie pan?

Spojrzałem w głąb mego serca i na wymizerowaną, cierpiącą twarz Bourne’a.

–Nie wiem – odparłem szczerze. – Muszę się nad tym zastanowić.

Skinął głową.

–No cóż, podejrzewam, że pański towarzysz nie dzieli pańskiego opanowania – stwierdził sucho.

–Który? Traveller?

–Inżynier? Nie. Tamten drugi, tłuścioch.

–Holden? Groził panu?

Bourne roześmiał się i odwrócił twarz ku ścianie. Kiedy się znów odezwał, mówił przytłumionym głosem:

–Inżynier powstrzymał go od uduszenia mnie, kiedy, osłabiony, byłem skazany na jego łaskę i niełaskę. Jednak monsieur Holden nie zrezygnował z pozbawienia mnie życia. Postanowił zagłodzić mnie na śmierć, a być może zasuszyć jak okaz do zielnika.

–O czym pan mówi? – Odwróciłem się do służącego, który przyglądał się nam czujnie. – Pocket... Czy to prawda?

Pocket skinął głową, ale znacząco stuknął się przy tym w swój wąski nos.

–Był już na wpół zagłodzony po tych wszystkich dniach bez pożywienia i wody, sir. Ale sumienie nie pozwala mi dopuścić do tego, żeby ktokolwiek umarł z głodu w mej przytomności. Jak nikt nie patrzył, podsuwałem mu resztki jedzenia.

Poczułem wielką ulgę, że okrutny plan Holdena został zniweczony.

–Dobry z was chłop, Pocket; postąpiliście ze wszech miar słusznie. Co na to wszystko sir Josiah?

Pocket wzruszył filozoficznie ramionami.

–Po tym, jak uspokoił pana Holdena w dzień pańskiego wielkiego czynu... no cóż, zna pan sir Josiaha. Podejrzewam, że zapomniał z kretesem o Francuziku; prawie nie pokazywał się na dole.

Uśmiechnąłem się.

–Łatwo mi to sobie wyobrazić.

–Nie prosiłem o łaskę służącego – powiedział zimno Bourne.

–I to nie o łaskę chodzi, mój chłopcze – odparł Pocket. – Ale chyba nie myślisz, że zamierzam spędzić moje ostatnie dni w blaszanym pudle z trupem jakiegoś Francuzika. – Przemawiał surowo, ale bez gniewu, raczej jak rodzic napominający dziecko, i zdałem sobie sprawę, że w duszy tego wyjątkowego człeka nie ma nawet krzty zła.

Odwróciłem się do Bourne'a.

–Co popchnęło cię do tego czynu, Bourne?

Wykręcił głowę, rysy jego twarzy uległy zniekształceniu.

–Do jakiego czynu?

–Co sprawiło, że porwałeś ten statek, spowodowałeś tyle szkody i cierpień?

Ukrył z powrotem twarz, nie odpowiedziałwszy ni słowem.

Z siłą, która zaskoczyła mnie samego, złapałem go za ramię i odwróciłem ku sobie.

–Chyba jesteś mi winien wytłumaczenie – syknąłem.

–To nie ma sensu. Wy, Anglicy, nigdy tego nie zrozumiecie.

Zacisnąłem wargi, powstrzymując gniew.

–Nieważne. Mów, co popchnęło cię do tego czynu!

–Zrobiłem to przez wzgląd na *tricolore* - warknął. – Przez wzgląd na *tricolore*!

Wyrwał mi się i wszelkie dalsze naciski okazały się bezowocne.

Ze zgrozą przekonałem się, że Bourne był skrępowany paskami od spodni i kawałkami szlauchów powietrznych. Na moje nalegania – i pod warunkiem, że pozostanie na swojej koi i ktoś z nas będzie go cały czas pilnował – uwolniono go następnego dnia i usiadł niezdarnie, masując zsiniałe przeguby i kostki u nóg.

Czując się silniejszy, wspiałem się z Holdenem przez właz sufitowy.

Gdy kilka dni wcześniej wdzieralem się na mostek, widziałem wszystko zatarte i we fragmentach, jak w koszmarze sennym; teraz jednak mogłem się przekonać, że to pomieszczenie było kopalnią cudów mechaniki. Pod szklanym dziobem „Faetona” nieustannie wirowały i stukały najprzeróżniejsze urządzenia, tak że miało się wrażenie obcowania ze sztucznym umysłem, dokonującym rozlicznych kalkulacji. Przez kopułę spływała powódź srebrnego światła Księżyca, który groźnie wielki zwiślał nad nami.

–Ach, Likers! – zahuczał z góry głos. Odwróciłem się i w ostrych cieniach dostrzegłem wielki tron przymocowany do jednej ze ścian pomieszczenia. Ten tron, obity grubym adamaszkiem i ozdobiony aksamitnymi sznurami, zwiślał nad mostkiem jak łożo Cezara. Na nim rozpierał się wygodnie Traveller, zabezpieczony pasem. Nogi trzymał wysoko w powietrzu. Temu wizerunkowi wielkopańskiego sybarytyzmu brakowało tylko sługi podającego wprost do ust pana winne grona. – Trochę teraz łatwiej wejść na mostek niż ostatnim razem, he?

–W rzeczy samej.

Odepchnąłem się od pokładu i uniosłem ku szklanej kopule. Złapałem się pomalowanego na biało pręta i zawisłem wygodnie w powietrzu. Holden pozostał blisko pokładu, między instrumentami. Teraz dostrzegłem parę dźwigni połączonych ze sworzniami w przeciwległych ścianach. Dźwignie przymocowano do obu stron kanapki Travellera; każda z nich kończyła się łatwo dostępnym uchwytem. Później dowiedziałem się, że uchwyty kontrolowały silniki rakietowe „Faetona”, podczas gdy dźwignie sterowały statkiem, zmieniając położenie wylotów dysz.

Niewątpliwie na tym to fotelu zasiadł nędznik Bourne tamtego gorącego sierpniowego popołudnia, spocony i przerażony, czekając stosownej chwili na oderwanie statku od Ziemi.

Nad głową Travellera wisiała długa, czarnej barwy rura, zakończona wygiętym okularzem. Dostrzegłem, iż urządzenie to wysuwało się przez otwory w kadłubie,

zapewniając pilotowi szeroki kąt widzenia. Rzecz jasna otwory nie przepuszczały powietrza. I tak, korzystając z peryskopu i szkła optycznego kopuły, Traveller miał panoramiczny widok wszechświata za ścianami latającego statku – i mikroświata wewnątrz, zastępu urządzeń tworzącego metalowy pejzaż. Zasadniczym elementem tego drugiego świata było urządzenie wyglądające jak stolik, zapamiętane podczas mej pierwszej wizyty, drewniany dysk średnicy pięciu stóp. Okrągła mapa wypełniała blat. Wokół stolika zgromadzono pomniejsze instrumenty; równomierny delikatny blask rozświetlał zegarowe tarcze, które dzięki temu stawały się żółtawymi wysepkami w morzu cienia. Dojrzałem, iż tarcze były skierowane ku tronowi (jak go w myślach nazwałem), co najwyraźniej pozwalało pilotowi na siedząco ocenić stan „Faetona”. Całość sprawiała wrażenie tłumu mechanicznych pielgrzymów, trzymających zapalone świece na wysokości piersi i zwracających błagalne oblicza ku swemu panu i władcy.

Pogratulowałem Travellerowi znakomitej precyzji rozkładu instrumentarium, lecz dodałem, iż nie pojmuję zastosowania większości urządzeń.

Ku mojej konsternacji komplement zachęcił go do wykładu.

–Od czego by tu zacząć... od czego by tu... Z pewnością na pierwszy rzut oka rozpoznałeś urządzenia Ruhmkorffa.

–Przepraszam...?

–Elektryczny zwój zapewniający światło urządzeniom kontrolnym.

Traveller wytłumaczył mi, że zwinięte druciki dostarczają bardziej równomiernego i bezpieczniejszego światła niż lampy acetylenowe i nie pokrywają tarcz sadzą. Następnie opisywał mi każdy instrument, nie pomijając wytwórcy, przeznaczenia, ograniczeń, a w pewnych wypadkach nawet ceny, rozwodząc się z taką miłością i tak szczegółowo, jak tkliwa matka nad zaletami swych pociech. Unoszący się w dole pomiędzy urządzeniami Holden natychmiast zdał sobie sprawę z mojej konfuzji i zaczął grać rolę stosowną do sytuacji; po kolei wskazywał każdy instrument triumfalnym i teatralnym gestem, którego nie powstydziliby się najwytrawniejszy pomocnik światowej sławy iluzjonisty. Musiałem wcisnąć pięść w usta, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Traveller, oczywiście, galopował dalej z wykładem, nie poświęcając nam krzty uwagi.

Były tam chronometry, manometry, termometry Eigela operujące skalą stustopniową, kompasy ułożone względem siebie pod różnymi kątami. Traveller westchnął, patrząc na to wszystko.

–Miałem nadzieję, że wykorzystam pole magnetyczne do orientacji w przestrzeni –

powiedział – ale spotkał mnie zawód. Oddziaływanie magnetyczne gaśnie w odległości zaledwie kilku tysięcy mil od powierzchni Ziemi.

–Piekielna niedogodność! – wykrzyknął ironicznie Holden.

–Zamiast wskaźników pola magnetycznego korzysta pan z sekstansu – powiedziałem, wskazując potężne mosiężne urządzenie, walec osadzony na kole zębatym. – Z pewnością Kartagińczycy poznaliby ten instrument... ale nigdy nie przyszłoby im do głowy, że może znaleźć zastosowanie w takim miejscu.

–Kartagińczycy w przestrzeni – rozmarzył się w głos Traveller. – Cóż za pomysł na powieść... Ale rzecz jasna nikomu nie udałoby się tak uprawdopodobnić podobnej historii, aby przekonała współczesnych odbiorców. Wzbudziłaby jeszcze większe kontrowersje niż modne opowiadki Disraelego *[[przyp – B. Disraeli, polityk angielski 2. połowy XIX w., był również autorem kilku powieści.]]... – Zauważyłem, że Holden przerwał klaunadę i spojrzał ku nam, wyraźnie zaintrygowany takim niespodziewanym pomysłem. – Masz w zupełności rację, Łikers, zasady nawigacji między gwiazdami i na Ziemi są dokładnie takie same. Lecz wyzwania praktyczne są nieco bardziej skomplikowanej natury. Do określenia pozycji statku potrzeba trzech koordynatów.

Traveller zagłębił się w opis skomplikowanego systemu – nie obyło się bez wykresów, tablic i rozlicznych siatek współrzędnych – który stworzył, aby zlokalizować latający statek, pokonujący przestrzeń jak mucha. Mechaniczne urządzenie nazwane przez niego arytmetrem ułatwiało obliczenia matematyczne. Było to pudło wypchane mosiężnymi przekładniami zębatymi, paskami i zegarami; znajdowały się w nim dwa wielkie cylindry, do których przymocowano kółka z cyframi. Traveller i Holden wytłumaczyli mi, jak używając różnych kół i dźwigni, można zaprząć to urządzenie do dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia.

Jako że Traveller nigdy poprzednio nie oddalił się od Ziemi więcej niż o kilkaset mil – a więc obraz ojczyzostego świata miał zawsze pod ręką, jak ogromną oświetloną mapę – nie przewidział, iż będzie zmuszony polegać na wynalezionej przez siebie metodzie nawigacji. Domyślałem się, że to nowe wyzwanie sprawiło mu nie lada przyjemność.

–A zresztą nawigacja wedle gwiazd nie jest naszym podstawowym źródłem informacji – dodał.

–W takim razie, skąd je czerpiemy? – spytałem z grzeczności.

Zamiast odpowiedzieć, uwolnił się od pasa bezpieczeństwa i zerwał z tronu, po czym zawisł do góry nogami, wskazując palcami okrągły stoliczek. Jego faworyty łagodnie falowały.

–Mechanizm nad mechanizmy! – krzyknął. – Moja duma i radość.

Spłynąłem na dół, dołączyłem do niego i uważnie przyjrzałem się blatowi stolika. Jak zauważyłem wcześniej, intarsja miała układ mapy; teraz dostrzegłem, iż był to widok Ziemi znad bieguna północnego. Środek dysku zajmował lodowiec, a równikowe krainy Afryki i Ameryki Południowej zaznaczono na brzegach. Traveller zademonstrował nam, jak za pomocą dźwigni można odwrócić dysk i ujrzeć bliźniacze regiony bieguna południowego. Mapę pomalowano nieco niezdarnie naturalnymi barwami – oceany na niebiesko, lądy na brązowo i zielono. Traveller wytłumaczył z dumą, że zestaw kolorów dobrał sam na podstawie obserwacji naszej planety z powietrznej platformy „Faetona”.

Holden zapytał, czym należy tłumaczyć brak granic.

–A jaką wartość dla powietrznego podróżnika miałby wykres politycznej przynależności? – spytał Traveller. – Sir, niech pan wyjrzy przez bulaj i skieruje spojrzenie na Ziemię... jeśli uda się ją panu znaleźć w blasku Księżyca. Z tej wysokości nawet nasze przesławne imperium robi mniejsze wrażenie niż cienie pustych oceanów satelity.

Ta uwaga nie przypadła Holdenowi do smaku.

–Sir, są wyjątki. Dominium jego królewskiej mości to wieczny pomnik naszej chwały.

Traveller zareagował na to gwizdnięciem, którego nie powstydziliby się widz z jaskółki najpodlejszego music-hallu.

–Dobry Boże, człowieku, wyjrzyj przez okno! Z naszej perspektywy wyprawy Marco Polo mają takie znaczenie jak ślad muchy na szkle, a imperia Cezara, Kubilaja, Bonapartusia i błogosławionego Edwarda wzięte osobno i do kupy nie robią większej różnicy niż łezka w tafli szkła! Holden, z naszego punktu obserwacyjnego przedsięwzięcia tak zwanych geniuszy zyskują prawdziwe proporcje i widzimy wreszcie, że pompatyczne fantazje obłąkanych i niekompetentnych przywódców ludzkości to jeden bełkot i bzdura.

Dziennikarz wyprężył się, jak tylko pozwalał mu na to obfity baryłkowaty brzuch; lecz że unosił się nad stolikiem nawigacyjnym do góry nogami, osiągnął efekt dużo słabszy od oczekiwanego.

–Sir Josiah, proponuję, by pan wytłumaczył naszemu francuskiemu sabotażyście, jak nieważne są sprawy polityki w tym międzygwiazdnym więzieniu. Niech pan nie zapomina, że to polityka nas tu przywiodła.

Traveller wzruszył ramionami.

–To jedynie dowodzi, że nic nie dorównuje ograniczoności wyobraźni ludzkiej.

–I jeszcze jedno, sir – wysyczał Holden. – Przemawia pan jak przeklęty anarchista.

Już wcześniej chciałem wylać oliwę na wzburzone fale tej dysputy, teraz jednak poczułem, że stanowczo muszę położyć jej tamę.

–Spokojnie, Holden; sądzę, że powinieneś cofnąć te słowa. Ale Traveller położył mi dłoń na ramieniu, przerywając dalszy wywód.

–Holden, czy zetknął się pan bezpośrednio z przemyśleniami takich luminarzy anarchizmu, jak Proudhon?

–Czytałem o uczynkach ludzi pokroju Bakunina – rzekł z pogardą Holden. – To mi wystarcza.

Traveller roześmiał się. Elektryczne światła stolika nawigacyjnego rozjaśniały jego oblicze.

–Gdyby pan wyrzał poza koniec swego nosa, wiedziałby pan, że pańscy anarchiści spoglądają na bliźnich z prawdziwą atencją. Jakże szlachetny jest wolny człowiek...

–Bzdury – powiedział stanowczo Holden.

Traveller odwrócił się do mnie.

–Edwardzie, anarchista nie wierzy w bezprawie, nie pochwała przestępstw. Wręcz przeciwnie, jest przekonany, iż człowiek jest zdolny żyć w harmonii ze swoim bratem nie ograniczany wcale więzami prawa, że wszyscy ludzie to w gruncie rzeczy porządni goście, którym nie bardziej *zależy* na zniszczeniu się nawzajem, niż przeciętnemu Anglikowi na zamordowaniu żony, dziecka i psa. I człowiek w swym naturalnym stanie żył w Edenie jak anarchista, nie skrępowany prawem i nie znając prawa!

Holden zamruczał coś o bluźnierstwie, ale ja zastanowiłem się nad tymi zdumiewającymi poglądami.

–Ale jak moglibyśmy się rządzić, nie mając prawa? Jak moglibyśmy prowadzić nasze wielkie przedsiębiorstwa? Jak zorganizowalibyśmy społeczeństwo? Czy biedak nie zazdrościłby bogaczowi jego pałacu i nie mając nad sobą bicia prawa, nie byłby skłonny włamać się i raz dwa wynieść tamtemu wszystkie meble?

–Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie doszłoby do powstania takich różnic między ludźmi, a gdyby nawet, rozwiązano by je po przyjacielsku – wyjaśnił Traveller. – Każdy znałby swoje miejsce i zajmowałby je dla wspólnego dobra, bez

komentarza czy narzekań.

–Nonsens. Pobożne życzenia – warknął Holden. Wszystkie krew napłynęła mu do twarzy. Nagle poczułem, że tym razem muszę go poprzeć.

–Przecież gdybyśmy żyli w naturalnym stanie bezprawia, jak zwierzęta... – zacząłem.

–Nie jak zwierzęta, Ned – poprawił mnie Traveller. – Jak wolni ludzie.

–Jeśli nawet jest to możliwe, to po co mamy teraz prawa? Traveller uśmiechnął się i światło prawiecznych księżycowych mórz odbiło się od platynowego nosa.

–Być może powinieneś być filozofem, Ned. Oto pytanie, z którym człowiek zmagają się od wielu stuleci. Mamy prawa, gdyż pewne indywidua... a mam tu na myśli przede wszystkim polityków i książęta... nie mogą się bez nich obejść, gdyż dzięki nim podporządkowują swych braci własnym próżnym celom.

Rozważyłem te niezwykle stwierdzenia. Moja Anglia był to kraj racjonalny, chrześcijański, funkcjonujący na zasadach właściwych społeczności przemysłowej, pewny swej potęgi oraz słuszności postępowania. Źródło tej pewności w dużej mierze było zasilane osiągnięciami przemysłu, który z kolei wiele zawdzięczał wynalazkom Travellera, technice antylodowej.

Lecz oto samo centrum tego królestwa technologii zajmował człowiek wyznający poglądy rosyjskiego idealisty! Zastanawiałem się, nie po raz pierwszy, jaką to moc miały przeżycia – na Krymie i gdzie indziej – które doprowadziły Travellera do takich przekonań. Ciekawe też, jak podobne doświadczenia wpłynęłyby na zmianę poglądów kogoś pokroju George'a Holdena...

Tymczasem sam Holden zbliżył się do nas. Purpurowe oblicze dziennikarza i pierś rozpychająca guziki kamizelki świadczyły o narastającej furii.

–Jest pan o krok od zdrady, sir.

Kolejny raz zacząłem nalegać, by przeprosił, i kolejny raz Traveller przerwał mi gestem.

–Zapomnę pańskie słowa, Holden – rzekł ze spokojem.

Tłuste policzki dziennikarza zadygotały.

–A czy zapomniał pan bomby ciskane przez pańskich kompanów anarchistów? Tylko rządy prawa bronią wolności, którymi cieszy się angielski dżentelmen, przed czynami kogoś pokroju Bourne'a, gotowego zabić dla sztandaru, kawałka kolorowej

szmaty!

–Być może – powiedział Traveller, ale jego głos również przeszedł w krzyk, kiedy dodał: – Ale pan też, sir, zamordowałby z podobnego powodu! Bo kogo musieliśmy powstrzymać siłą, żeby nie wyrzucił tego biedaka z szafy powietrznej, jak nie pana...

–Wszystko w porządku, panowie? – spytał nagle Pocket, który wcisnął tors przez otwarty luk.

Jego zimny racjonalny ton ostudził nasze emocje. Nagle zdaliśmy sobie sprawę, jak wyglądamy; Traveller i Holden wisieli w powietrzu, obróceniu względem siebie o pełne sto osiemdziesiąt stopni, niczym dwa ołowiane żołnierzyki w pudełku, i obrzucali wymysłami noski butów adwersarza; ja z kolei unosiłem się na ukos między nimi, bezskutecznie usiłując opanować sytuację.

Odsunęliśmy się pod ściany mostka, obciągając kamizelki i pochrzäkując z zażenowaniem. Traveller zapewnił Pocketa, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, i zasugerował, iż może filiżanka herbaty scementuje na powrót naszą podzieloną społeczność. Niewzruszony Pocket oznajmił, iż natychmiast się tym zajmie, i znikł. Holden był nadal purpurowy z wściekłości, lecz wyraźnie starał się nad sobą zapanować. Traveller zdawał się całkiem spokojny.

–No cóż, panowie, zaprezentowaliśmy piękny obraz wyspiarskiej rasy naszemu galijskiemu przyjacielowi tam, na dole. Być może w przyszłości winniśmy trzymać się niekontrowersyjnych tematów?

–Sądzę, że to znakomity pomysł, sir – przytaknąłem gorączkowo.

–A więc, Edwardzie, na czym stanęliśmy? – spytał Traveller, odwracając się kolejny raz do nawigacyjnego urządzenia.

Przyjrzałem się mapie Ziemi.

–Powiedział pan, że to stolik nawigacyjny.

–Dokładnie.

Przysunąłem nos do blatu. Mapę pokrywały rozliczne dziureczki, tak że przypominała chropawe drewniane sito. Z niektórych otworków sterczały małe metalowe flagi o wesołych barwach; pierwsza z Ziemi, następne tworzyły łagodny luk. Nietrudno było pojąć, co przedstawiają – szlak naszej podróży w przestworzach.

–Ale jak to działa? – spytałem Travellera. – Korzysta pan z map i wykresów?

Uśmiechnął się.

–Przyjrzyj się przez chwilę.

Zawiśliśmy nad stolikiem – Holden również. Wciąż dyszał, ale rumieniec szybko zniknął mu z twarzy. W końcu nasza obserwacja została uwieńczona sukcesem. Z dziurki wychynęła nowa flaga. W tej samej chwili zdałem sobie sprawę, iż mapa się obraca, wolniej niż mała wskazówka zegara ściennego.

–A więc stół działa sam – powiedziałem. – Mapa obraca się wraz z Ziemią... raz dziennie, jak przypuszczam... i flagi wyskakują na powierzchnię, podczas gdy zanurzamy się coraz dalej w przestrzeń.

–Zgadza się – Traveller potwierdził krótko moje przypuszczenia.

–Ale jak to jest zbudowane?

–Na takiej samej zasadzie, na jakiej działa planetarium. Całe urządzenie to niesłychanie precyzyjne dzieło młodszego Boissonasa, zegarmistrza z Genewy. Ale tajemnica urządzenia nawigacyjnego tkwi w układzie żyroskopów, wiszących wewnątrz stolika.

Wyjaśnienia Travellera jak zwykle tylko wprawiły mój umysł w większe pomieszczenie.

–Żyroskopów...?

Westchnął.

–Małych obracających się krążków, Ned. Jak może wiesz, wektor ruchu obiektów poruszających się w przestrzeni, które obracają się wokół swej osi symetrii, nie ulega zmianie... to jeszcze jeden powód, dla którego silniki rakietowe nadają ruch wirowy „Faetonowi”... i dzięki temu stoliczek „wyczuwa” zmiany kursu statku. To, w połączeniu ze sprężynowymi urządzeniami mierzącymi przyspieszenie, wystarcza do określenia pozycji statku w dowolnej chwili, bez potrzeby obliczania jej względem gwiazd. Można by zasłonić bulaje mostka i nadal wyznaczać kurs z dokładnością do kilku mil. Wszystko dzięki mojemu pomysłowemu rozwiązaniu.

Holden stukał palcem w model Ziemi. Dostrzegłem, iż wskazuje Anglię, a dokładnie biorąc grubą czarną linię ciągnącą się od bieguna do Londynu i kilka tysięcy mil dalej, poza granice naszej planety.

–A to?

–Południk Greenwich, oczywiście – powiedział niecierpliwie Traveller.

Holden skinął głową z całkowitym spokojem, ale zerknął przy tym na mnie. Obaj bowiem dostrzegliśmy, iż ten zdumiewający i zaskakujący dżentelmen anarchista dał

nieświadomie dowód swym poglądom, malując światowy symbol angielskiego racjonalizmu i nauki, wzbijający się nad powierzchnię Ziemi, ku gwiazdom.

Zdesperowany prześledziłem linię flag pozycyjnych, oddalającą się coraz bardziej od powierzchni Ziemi. Stwierdziłem, że niebawem całkowicie wykroczy poza granice stolika nawigacyjnego. Wspomniałem o tym Travellerowi.

–Przyznaję, że nie wyobrażałem sobie równie dalekiej podróży na nie sprawdzonym statku – odpowiedział. – Ale stół przyda się mimo to. – Mówiąc te słowa, zgiął się i wsadził głowę pod blat. Pogrzebał w szafce i wynurzył się z rulonami papieru szerokości około czterech stóp. Rozłożył je na stoliku. Były to mapy sporządzone przez firmę Beer i Moedler, jak sugerowały napisy. – To znakomita Mappa Selenographica, pomocna w obserwacji teleskopowej z wyżyn atmosfery. Dzięki niej zamierzam sporządzić improwizowany analog oglądanej przez panów mapy Ziemi. Drobne poprawki mechanizmu żyroskopów i stolik powinien bezbłędnie zaprowadzić nas do miejsca przeznaczenia...

Traveller z rozradowaniem spoglądał na ten kolejny dowód swej pomysłowości, nie odrywając oczu od map; lecz ja i Holden wpierw wymieniliśmy spojrzenia pełne rozpaczy, zanim skierowaliśmy je na mapy. Zaiste w owej chwili ziemskie trudy i niepokoje wydały się nam odległe i nieistotne. Oglądane przez nas mapy ukazywały bowiem martwe morza i pozbawione powietrza góry świata, do którego nieuchronnie zmierzaliśmy. Mieliśmy przed sobą mapy Księżyca.

Rozdział 9

w cieniu księżyca

Podróżujący z prędkością kilkuset mil na godzinę „Faeton” dotarł po dwudziestu dniach z Ziemi w okolice Księżyca.

Osiemnastego dnia dołączyłem do Travellera na mostku. Księżyc leżał prosto przed nami, dokładnie nad szklaną kopułą. Dotarliśmy już tak blisko tego siostrzanego świata Ziemi, że ledwo widzieliśmy brzegi rozjaśnionej tarczy; a im byliśmy bliżej, tym silniejsze mieliśmy wrażenie, że jest ona zupełnie płaska. Dziwny pejzaż zwiślał nad nami, odwrócony do góry nogami. Ostre jak wycięte brzytwą księżycowe góry przypominały stalaktyty lub niesamowite żyrandole, rzucające na mostek upiorne, odbite światło Słońca. Wychowany w warunkach ziemskiej perspektywy nie potrafiłem uznać faktu, iż wiszę głową w dół nad Księżycem, i cały czas wydawało mi się, że góry i wypełnione skalnymi odłamkami oraz sproszkowanym kamieniem misy – księżycowe morza – a także pocętkowane kraterami równiny, okryte koronkami białych promieni, zaraz runą na moją bezbronną głowę.

Spojrzałem na stół nawigacyjny, przystosowany przez Travellera do rejestrowania lotu nad Księżycem. Kurs nieszczęsnego „Faetona”, rząd malutkich flag, minął już ziemskiego satelitę; teraz miał go okrążyć wdzięcznym łukiem. Początkowo sądziłem, iż to silniki rakietowe zmieniły nasz kurs, lecz Traveller wytłumaczył, że rakiety przebudziły się jedynie na mgnienie oka. Wyzwoleni z okowów ziemskiej grawitacji ulegaliśmy przyciąganiu mas księżycowych.

–Popatrz, Ned! – zawołał Traveller. Odwróciwszy się, ujrzałem go na tronie, skąpanego w ostrym świetle. – Wyobraź sobie, jakie przygody nas czekają.

–Sir Josiah, rozumiem, że siła grawitacji ciągnie nas po orbicie do Księżyca. Ale czy nie sprawi, że runiemy na jego powierzchnię?

–Nie, Ned, jeśli znów nie odpalimy rakiet, udamy się po hiperboli nad ukrytą półkulę Księżyca i oddalimy od niej.

–No, to oddalmy się, jeśli to tylko może przybliżyć nas do ojczystej planety! Sir, Księżyc jest w rzeczy samej wspaniały, ale z pewnością nigdy nie nadawał się do zamieszkania przez ludzi. Czy naprawdę konieczne jest, abyśmy opuścili się na jego powierzchnię?

Traveller westchnął i ku mojemu pomieszeniu zdjął z twarzy platynowy nos. Kciukiem potarł obrzeże czarnego zagłębienia, po czym umieścił protezę na swoim miejscu.

–Edwardzie, za każdym razem, kiedy dostrzegam jakiś przeblysłk inteligencji w kulistym zwieńczeniu twojego kręgosłupa, spotyka mnie zawód w postaci prostackiej uwagi. Wyjaśniałem ci to co najmniej dwa razy.

–Proszę o wybaczenie, sir, lecz istota rzeczy nadal mi umyka.

–Co w niej niejasnego? Dobry Boże... No, niech będzie. Żeby doprowadzić „Faetona” tak daleko, nasz monsieur Bourne poważnie wyczerpał zapas paliwa... w tym wypadku wody. Nawet gdyby jakimś sposobem udało się nam nagiąć naszą trajektorię z powrotem ku Ziemi, z pewnością spłonęlibyśmy jak grzanki, ciśnięci bez żadnych hamulców w atmosferę, a nasze szczątki roztrzaskałyby się o Ziemię. Tak więc potrzebujemy więcej wody.

–Radosna wizja. Lecz jeśli utraciliśmy możliwość wylądowania na Ziemi, jak możemy żywić nadzieję, że opuścimy się bezpiecznie na powierzchnię Księżyca?

Traveller skierował oblicze ku górze. Zapewne musiał bardzo się starać, żeby nad sobą zapanować.

–Ponieważ jego przyciąganie odpowiada tylko jednej szóstej przyciągania ziemskiego. Tak więc nasze osłabione rakiety mogą nas sprowadzić bezpiecznie z orbity i wylądujemy miękko na księżycowych równinach na długo przed tym, zanim skończy się nam woda.

Teraz ja skierowałem twarz ku Księżycowi, a gdy jego blade światło wypełniło moje oczy, ujawniłem inżynierowi swoje najmroczniejsze lęki.

–Sir Josiah, spójrzmy prawdzie w oczy. Księżyc to bezludny, wyzbyty powietrza satelita; równie dobrze możemy się tam spodziewać wody, zamrożonej czy w innej postaci, jak londyńskiego urwisa sprzedającego gorące kasztany.

Traveller parsknął śmiechem. Platynowy nos nadał temu dźwiękowi niepokojący metaliczny ton.

–Pan wybaczy, szanowny profesorze Edwardzie, nie zdawałem sobie sprawy, że jest pan takim ekspertem od teorii budowy Księżyca i innych ciał niebieskich.

–Nie jestem, sir – odparłem z godnością – ale nie jestem też głupcem i umiem czytać, tak więc wiem, co piszą gazety.

–Znakomicie. Oto trzy przeciwuderzenia, kontrujące twój atak na mój plan. Po pierwsze, nie mamy innego wyboru! W naszym zasięgu nie ma żadnego innego źródła wody czy jakiegokolwiek płynu, który nadawałby się do naszych celów. Tak więc możemy wybierać: Księżyc albo śmierć, Ned. Po drugie, opinie mędrców na temat składu powierzchni księżycowej nie są tak jednolite, jak się wydaje.

–Ale przecież bez wątpienia przyjmuje się, że Księżyc jest bezpłodny, zastygły, pozbawiony życia i atmosfery.

–Phi! – prychnął Traveller. – A na jakich obserwacjach opierają się tego rodzaju teorie? Bo na każdą okultację *[[przyp – Zakrycie gwiazd przez ciała wchodzące w skład Układu Słonecznego.]] naszej gwiazdy przez Księżyc, podczas której nie dopatrzono się zjawiska refrakcji... co niby dowodziło braku powietrza... mogę powołać się na inną, przynoszącą wnioski zgoła odmiennego charakteru. Zaledwie dwadzieścia lat temu Francuz nazwiskiem Laussedat zauważył refrakcję dysku słonecznego podczas zaćmienia. – Spoczywający wygodnie na fotelu Traveller wyciągnął ramiona, jakby chciał objąć bliską Lunę. – Zgadzam się z twierdzeniem, że oczy mówią nam teraz, iż Księżyc nie może mieć warstwy atmosfery równie grubej jak ta, która otacza Ziemię, wtedy bowiem pokłady chmur i mgły spowijałyby z pewnością jego góry i doliny. A słaba grawitacja, wielce nam przyjazna pod innymi względami, nie sprzyja utrzymaniu grubej atmosfery. Lecz czy możemy z całą pewnością wykluczyć to, iż niektóre głębsze doliny nie kryją skupisk powietrza, a jego rozrzedzona warstwa nie okrywa całej powierzchni? Nie wydaje mi się. Poza tym weź pod uwagę, że naszym obserwacjom jest dostępna tylko jedna strona Księżyca. Satelita tańczy wokół Ziemi, ukazując skromnie jedno oblicze. Nawet z tego stanowiska obserwacyjnego nie dostrzegliśmy ukrytej strony tarczy, Ned! Kto wie, co możemy znaleźć?

–Kratery, góry i morza pyłu.

–Panie Likers, pański mózg to wysuszona śliwka, niezdolna do przeżywania niespodziewanego. A co jeśli teorie Hansena się sprawdzą? Hę? – Okazało się, iż Hansen to duński astronom, który zasugerował, jakoby przyciąganie ziemskie nadało Księżycowi kształt jaja i że Księżyc okrąża Ziemię, odwróciwszy od niej grubszy koniec. Pokażna warstwa atmosfery zgromadziła się nad cięższą półkulą, ukryta przed wzrokiem wścibskich astronomów.

–No cóż, sir Josiah, musimy cierpliwie czekać – powiedziałem.

Parsknął po raz wtóry.

–Mówisz jak kiepski naukowiec, chłopcze. Musisz nauczyć się myśleć jak inżynier! Naukowiec wierzy tylko w to, co zostało zademonstrowane przed oczami tuzina dostojnie odzianych szanownych panów kolegów. Ale inżynier szuka tego, co wykonalne. Nie obchodzi mnie, czy jego teoria jest słuszna czy nie; interesuje mnie tylko, co dzięki niej da się zrobić.

–Sir Josiah mówił pan o trzech przeciwuderzeniach na mój atak. Jakie jest to ostatnie?

Wykręcił się całym ciałem i obrócił ku mnie głowę. Zdeformowana twarz, częściowo rozjaśniona srebrnym blaskiem, płonęła podnieceniem.

–Ach, Ned, trzecie przeciwuderzenie jest niezwykle proste. Bez względu na to, czy nasza wyprawa na Księżyc skończy się śmiercią czy nie, co to będzie za szalona frajda pospacerować między tymi górami!

Spojrzałem na groźny świat obracający się powoli nad nami i pożałowałem, że w moim młodym sercu nie ma entuzjazmu równego Travellerowemu do egzotycznych i widowiskowych przedsięwzięć, lecz w tamtej chwili oddałbym wszystkie me zdumiewające przeżycia za to, aby powrócić pod bezpieczny dach jakiegoś rozleniwiającego stołecznego klubu.

Po niezwyklej emocjach towarzyszących odbiciu mostka powróciliśmy do ustalonego trybu życia – nie dotyczyło to jedynie biednego Bourne’a, zasiadającego obecnie na swoim fotelu w saloniku, milczącego widmowego pasażera, pełnego żalości i urazy – i godziny naszej podróży mijały szybko.

Lecz w końcu obudziłem się, jak zwykle czując w nozdrzach swojski zapach grzanek i aromat herbaty, lecz zdając sobie instynktownie sprawę, że to dwudziesty dzień naszego lotu – dzień, w którym sir Josiah Traveller sprowadzi nas na powierzchnię samego Księżyca lub... prosto w objęcia śmierci!

Traveller zapewnił nas, że wylądujemy około ósmej rano; tak więc Pocket obudził nas o piątej, nieco wcześniej niż zwykle. Szybko dokonaliśmy porannych ablucji i spożyliśmy śniadanie. Traveller naciskał, byśmy konieczne zjedli posiłek, chociaż mnie przynajmniej każdy kęs przychodził z trudnością. Nakarmiłem Bourne’a i pozwoliłem mu się z grubsza umyć. Pocket wdrapał się przez właz, zanosząc Travellerowi ostatnie śniadanie.

Po posiłku i szybkim uprzątnięciu resztek przygotowaliśmy się do lądowania. Traveller wyjaśnił nam, że o siódmej dziesiąt dokona jednego potężnego odpalenia silników, co w sposób nieunikniony zawiedzie nas na Księżyc.

Upewniłem się, że Bourne jest właściwie unieruchomiony pasami bezpieczeństwa. Dłonie i nogi Francuza skrępowano dodatkowo. Był blady, wyraźnie w strachu i uciekał przede mną wzrokiem, co sygnalizowało wewnętrzny bunt. Odepchnąłem się od niego, dotarłem na swoje miejsce i wziąłem się do zapinania pasów... żeby nagle, przeklinając pod nosem, pokonać jeszcze raz salonik i sztywnymi od gniewu palcami rozluźnić więzy na przegubach Bourne’a. Nawet palcem nie kiwnął, żeby pomóc mi w przestępstwie.

–Edward! – krzyknął gniewnie Holden, który siedział już, jak należy. – Na litość boską, co ty wyczyniasz?! Zamierzasz uwolnić to zwierzę w takiej chwili?

Odwróciłem się do niego, czując, jak wściekłość rozpala mi twarz.

–On nie jest zwierzęciem, George. To człowiek, brat każdego z nas. Być może lecimy dziś po śmierć. Bez względu na to, jakie zbrodnie popełnił, Bourne zasługuje na to, żeby z godnością wyjść na spotkanie losowi.

Holden zamierzał dalej protestować, ale Pocket, przypięty ciasno do swojego strapontenu, zawołał:

–Zechciejcie, proszę, odłożyć spór na później, szanowni panowie, gdyż obawiam się, że silniki ruszą lada chwila i młody dżentelmen odniesie obrażenia, jeśli natychmiast nie zajmie przypisanego mu miejsca.

Spojrzenie na zegar z „Wielkiej Wschodzącej”, nadal zajmujący dumnie środek saloniku po wszystkich naszych przygodach, przekonało mnie, iż jest już dziesięć minut po pełnej godzinie. Z pośpiechem wróciłem na straponten i zapiąłem pasy. Siedzieliśmy przez długie sekundy. Unikałem spojrzenia innych, lękając się, że w ich oczach znajdę tylko odbicie przenikającej mnie grozy...

Wielkie silniki przemówiły po raz kolejny.

Zostałem wciśnięty głębiej w straponten i wyobraziłem sobie, że nasza cenna woda znika w przestrzeni pod postacią zamarzającej pary. Silniki pracowały może dwie minuty, po czym zamarły równie nagle, jak się przebudziły. Groźna cisza zapadła w saloniku, kiedy wpatrywaliśmy się w siebie z dzikim przerażeniem.

Z mostka nie dobiegał żaden dźwięk.

–Holden, co się stało? – wysyczałem. – Myślisz, że się udało? Zmieniliśmy kurs i lecimy na Księżyc?

Holden przygryzł wargę. Twarz miał czerwoną i zlaną potem, pełną strachu.

–W każdym razie silniki odpaliły dokładnie o czasie – powiedział. – Ale nie czuję się na siłach wyrokować co do reszty. Pozostaje nam tylko to samo co zawsze podczas całej tej straszliwej wyprawy: cierpliwie czekać.

Czas nam się dłużył, nie wypełniony żadnymi wydarzeniami; nuda i irytacja wyparły strach.

–Powiadam, Holden, Traveller to wielki człowiek i trudno oczekiwać, żeby faceci jego formatu nie byli równocześnie wielkimi ekscentrykami, niemniej jednak to niehumanitarne kazać nam czekać tu, na dole, w takim napięciu.

Holden odwrócił się ku służącemu.

–Pocket...? Nie uważacie, że powinniśmy sprawdzić, czy sir Josiah ma się dobrze?

Służący potrząsnął przecząco głową. Kropelki potu lśniły na jego krótkich włosach, rosnących na karku. Skazany przez okoliczności na zaniechanie zwykłych obowiązków wydawał się najbardziej zdenerwowany z nas wszystkich.

–Sir Josiah nie lubi, kiedy mu się przeszkadza w pracy, sir.

Uderzyłem pięścią w otwartą dłoń.

–Do diabła, przecież to nadzwyczajne okoliczności!

–Myślę, że najlepiej zrobimy, pozwalając Travellerowi pracować dalej, Ned – powiedział Holden. – Musimy uzbroić się w cierpliwość.

–Być może masz rację. – Rozejrzałem się po kabinie, starając się uciec przed własnymi myślami, i mój wzrok spoczął na smutnej postaci Bourne’a. Francuz siedział, zwiesiwszy głowę na piersi, podwójny więzień. – Muszę powiedzieć, Holden, że to cholernie bez serca z twojej” strony wciąż się upierać, żeby ten biedak był skrępowany. Co on jeszcze może złego zrobić?

Holden zmierzył Bourne’a płonącym spojrzeniem.

–To anarchista, Ned. A anarchistom nie można ufać.

Bourne uniósł na to wzrok i spojrzał na nas wyzywająco.

–Nie jestem żadnym anarchistą – powiedział po angielsku z wyraźnym obcym akcentem. – Jestem Francuzem.

Przyjrzałem się wychudłej, dumnej twarzy.

–Powiedziałeś mi, że porwałeś „Faetona” przez wzgląd na *tricolore*. Co to miało znaczyć?

Zmierzył mnie wzrokiem pełnym wyższości.

–To, że musisz zadawać takie pytanie, Angliku, jest wystarczającą odpowiedzią.

Rozzłościło mnie, że tak traktuje moje bardzo przyjacielskie – zważywszy na okoliczności – próby nawiązania rozmowy.

–Co to, do diabła, znaczy? Posłuchaj...

–Nie licz choćby na odrobinę uprzejmości ze strony tego typu, Ned – powiedział ze znużeniem Holden. – *Tricolore* to flaga ich rewolucji, pod którą motłoch zamordował

swoich pomazańców, a potem sam się wyrzynał. *Tricolore* to flaga, którą tamten, chłystek Korsykanin, zaniósł do najdalszych zakątków Europy, *tricolore* to symbol krwi, chaosu i mordy...

–Tak, ale jaki to ma związek z „Faetonem”...

–Pomyśl, Ned, spójrz na kilka ostatnich dziesięcioleci z punktu widzenia twojego Francuzika. Jego sławny cesarz zmiażdżony przez Wellingtona i skazany na wygnanie. Kongres wiedeński, który ustanowił równowagę sił w Europie po wieczne czasy, to dla niego źródło krzywd, gdyż nie może już liczyć na konflikt między dawniejszymi wrogami, żeby rozprzestrzeniać swoje hasła bezprawia i buntu jak Europa długa i szeroka...

Bourne roześmiał się cicho.

–Pragnę zauważyć, że teraz rządzi nami cesarz, nie Robespierre.

–Tak, Ludwik Napoleon – rzekł z pogardą Holden – który ogłasza się bastardem Bonapartego...

–Bratankiem – poprawił go Bourne. – Ale mimo że Ludwik ma wszelkie prawa do tronu Francji, wasz król chętnie widziałby restaurację starej monarchii, nieprawdaż?
– Znów się roześmiał.

Holden zignorował ten wtręt.

–Edwardzie, w tej epoce twój Francuz nie może dać ujścia swojej chciwości i żądzy szerzenia bezprawia. Musiał patrzeć bezradnie, jak wpływy Wielkiej Brytanii sięgały coraz głębiej na kontynent... i cały świat... wspierane krzepką naturą naszych ustaw konstytucyjnych i potęgą gospodarki. I jego zawiść rosła.

Bourne nie przestawał się śmiać.

–Zaprzeczysz temu? – warknął Holden.

Bourne się uspokoił.

–Nie zaprzeczam temu, że jesteście hegemonem Europy. Ale ta hegemonia jest oparta tylko na jednej rzeczy. Posiadacie antylód, macie monopol na tę substancję. To dlatego możecie kłaść szyny waszej antylodowej kolei na naszych polach i budować stacje o angielskich nazwach, przez które jadą pociągi z angielskimi towarami przeznaczonymi na sprzedaż. A jeszcze gorsze... gorsze niż to wszystko... jest to, że chociaż nie mówicie tego na głos, grozicie antylodem całemu światu, dając do zrozumienia, że użyjecie go w razie wojny. Gdzie teraz jest wasza równowaga sił, mister Holden?

–Nie ma mowy o takich intencjach – powiedział sztywno Holden.

–Ale już użyliście tej przerażającej broni przeciwko Rosjanom – odparował Bourne.

– Wiemy, do czego jesteście zdolni. Wy, Anglicy, mówicie i zachowujecie się tak, jakby antylód był jakimś nadprzyrodzonym dowodem waszej wyższości rasowej. Co za bzdura. Wpadł wam w ręce tylko przypadkiem, a jednak wykorzystujecie swoją tymczasową przewagę do narzucania waszych zwyczajów, waszej polityki, nawet sposobu myślenia reszcie ludzkości.

Teraz z kolei Holden się roześmiał, ale ja siedziałem bez słowa, rozważając słowa Bourne'a. Musiałem przyznać, że jeszcze miesiąc wcześniej instynktownie zająłbym stronę Holdena w tej debacie, lecz słuchając zimnego, precyzyjnego wywodu tego Francuzika – nie... tego człowieka, bliskiego mi wiekiem – przyłapałem się na tym, że moja pewność siebie jest bardziej krucha niż przypuszczałem.

–Ale jeśli to prawda, co z tego? – spytałem Bourne'a. – Czy Anglicy są tak bardzo niegodni? Holden wspomniał kongres wiedeński, na którym angielscy dyplomaci starali się zaprowadzić sprawiedliwy pokój...

–Jestem Francuzem, nie Anglikiem – odrzekł. – Chcemy szukać swojego przeznaczenia, nie wlec się waszym śladem. Prusacy i reszta Niemców również. Jeśli historia twierdzi, że podzielone narody mają się zjednoczyć, jakimże prawem Anglia się temu sprzeciwia? A jeśli nawet... jeśli nawet nasze narody pragną iść na wojnę, nie wam mówić „nie”. – Twarz miał bladą, ale oczy przejrzyste i spokojne.

–W takim razie porwanie przez ciebie „Faetona”, być może okupione własnym życiem...

–...było czynem mającym na celu zniszczenie choćby kilku funtów tego przeklętego antylodu, usunięcie tego bezwzględного geniusza kryminalisty Travellera. Już wiadomo, że wasz zapas tej substancji jest na wyczerpaniu. Nie ma bardziej szlachetnej śmierci dla Francuza niż przyspieszenie tego procesu.

To była iście radykalna postawa, ale równocześnie nie mogłem zapomnieć stwierdzenia Travellera, iż budując urządzenie wielkości „Księcia Alberta”, zamierzał odwieść polityków i wojskowych od militarnych zastosowań antylodu! Czy analiza Bourne'a naprawdę różniła się tak dramatycznie od oceny wielkiego Anglika?

Zmarszczyłem brwi.

–Holden uważa cię za sabotażystę – powiedziałem.

Pokręcił głową przecząco i uśmiechnął się skąpo.

–Nie. Jestem *franc-tireurem*.

–Kim?

–Partyzantem, ochotnikiem na bój z Prusakami. Nowym rodzajem żołnierza, bojownika w stroju dżentelmena, który walczy o wolność ojczyzny wszelkimi dostępnymi sposobami.

–Do diabła, to ci piękne wyznanie – stwierdził Holden z nienawiścią i pogardą. – A kiedy cały antylód przepadnie, zniszczony takimi akcjami, to co wtedy? Czy wtedy skierujecie się bezpośrednio przeciwko nam i wymordujecie nas w łóżkach?

Uśmiech Bourne'a stał się szerszy.

–Bardzo się boicie, prawda, Anglicy? Boicie się nawet własnych mas, które być może zostaną zarażone przez nasze. I niczego nie rozumiecie. Słyszałem, że sir Josiah nazywa siebie anarchistą. – Splunął. – I zaraz jednym tchem przepowiada, że każdy człowiek będzie znał „swoje miejsce”. Traveller i jemu podobni nie rozumieją, co znaczy: wolny człowiek. Czy to nie przemysłowcy obalili w roku tysiąc osiemset czterdziestym dziewiątym świeże reformy Shaftesbury'ego, gwarantujące ludzkie warunki pracy?

Spojrzałem pytająco na Holdena, który machnął lekceważąco ręką.

–Mówi o jakiejś zwariowanej ustawie, Ned, dawno zarzuconej i zapomnianej. Na przykład, Shaftesbury wprowadził dziesięciogodzinny dzień pracy. Ograniczył pracę kobiet w kopalniach do wydzielonych stanowisk. Takie tam.

Zdumiałem się.

–Ale przecież przemysł stanąłby przy takich ograniczeniach. Prawda?

–Oczywiście! Tak więc zarzucono te „reformy”.

–Ale jaką cenę zapłaciły wasze angielskie duszyczki, hę? – spytał Bourne. – Vicars, pamiętasz angielskiego pisarza nazwiskiem Dickens?

–Kogo?

Holden wyjaśnił niecierpliwie, że Karol Dickens to pisarzyna, który w latach czterdziestych spłodził kilka marnych utworów. Spytał z krótkim westchnieniem:

–Pamiętacie małą Nell, Pocket?

Uśmiech rozjaśnił twarz służącego.

–O, tak, sir. Każdy wtedy kupował kajety z odcinkami, no nie? A kiedy Nell oddała ducha, nie było suchej pary oczu w całym kraju, śmiem twierdzić.

–Dickens. Pierwsze słyszę – przyznałem. – Co się z nim stało?

–Około tysiąc osiemset pięćdziesiątego rozpoczął nową serię kajetów. Kolejne grubaśne, cikliwe powieści dło zatytułowane *Dawid Copperfield*. To była całkowite pudło, zupełnie rozmijające się z ówczesnymi gustami. Ned, tego samego roku, tysiąc osiemset pięćdziesiątego, otwarto pierwszą linię kolei jednoszynowej, łączącą Liverpool z Manchesterem! Ludzie byli rozemocjonowani tym, co niosła przyszłość – zmianami, przedsiębiorczością, możliwościami. Nie chcieli czytać ponurych opowieści o biednych i poniżonych, borykających się z losem.

–Tak więc Dickens opuścił Anglię na dobre – powiedział Bourne. – Mieszkał i pracował w Ameryce, w której od dawna doceniano jego społeczną wrażliwość. Występował na rzecz rozlicznych reform aż do swej niedawnej śmierci.

–O co chodzi w tym wywodzie? – spytałem chłodno.

–O to, że wasze angielskie serca rozrywa wewnętrzna sprzeczność – ta sama sprzeczność, która wyгнаła z waszego politycznego środowiska człowieka o gołębim sercu, ubożąc wasze dusze i oziębiając serca. Sprzeczność, którą uosabia Traveller, głoszący z jednej strony anarchistyczne poglądy, a z drugiej popierający wykorzystywanie mas biedaków pozbawionych wszelkich praw. Sprzeczność, która w końcu rozerwie was na strzępy. Sprzeczność, która teraz popycha was do mieszania się w sprawy innych narodów. Czy nie obawiacie się, że nacjonalizm wybuchnie z francuskiego krateru jak lawa i zaleje całą Europę, niszcząc na zawsze waszą równowagę sił, i czy angielskie matki nadal straszą dzieci opowieściami o „Bonapartusiu”, który porwie je, jeśli nie będą grzeczne?

Roześmiałem się, nie inaczej bowiem straszyla mnie moja matka, ale podniecony Bourne kontynuował ostrzejszym tonem:

–Ned, wśród młodych Anglików jest odłam zwany: Synowie Gaskonii. Czy znasz ich teorie?

–Słyszałem o nich – przyznałem sztywno.

–Synowie Gaskonii uosabiają pewną cechę waszego charakteru narodowego. Wciąż żyją myślami o przeszłości. Dawne wydarzenia napawają ich jednocześnie lękiem i chęcią zemsty. Po podboju Normanów w Anglii i Walii wzniesiono sznur fortów, rozsianych co jakieś dwadzieścia mil. Miały zapewnić kontrolę podbitych terenów. Z czasem pobudowano w tych miejscach wielkie zamki, takie jak Windsor czy Tower. A północ Anglii starto z powierzchni ziemi.

Zmarszczyłem brwi.

–Ale to było osiem wieków temu – powiedziałem. – Kogo teraz obchodzą tamte

sprawy?

Bourne się roześmiał.

–Dla Synów Gaskonii to było wczoraj. Cała późniejsza historia, bagaż wiktorii i klęsk, tylko umacnia ich lęki. Nie przestają rozpamiętywać utraty Gaskonii, angielskiego dominium do szesnastego wieku, kiedy to Maria Tudor utraciła waszą ostatnią część wybrzeża kontynentu, Calais. Vicars, Synowie Gaskonii planują ostateczne rozwiązanie wiekowego „problemu Francuzów”. Znow dzioby okrętów rozprują wody kanału la Manche, znow nastąpi podbój, znow wyrośnie sznur straszliwych fortów. Lecz tym razem z ich wieżyczek wyjrzą działa antylodowe i tym razem to Francja znajdzie się pod butem Anglików.

–Ależ to jakaś potworność – stwierdziłem wstrząśnięty.

–Spytaj Holdena – warknął Bourne. – No jak, sir? Zaprzeczy pan istnieniu takiego ruchu? I temu, że sympatyzuje pan z jego celami?

Holden otworzył usta, szykując się do odpowiedzi, ale nie zdołał jej udzielić; z otwartego luku nad naszymi głowami rozległ się bowiem straszliwy krzyk.

Spojrzelśmy po sobie ze zgrozą, gdyż był to głos Travellera, naszego pilota, gdy pędziliśmy ku Księżycowi, i ten głos wyrażał śmiertelną mękę!

Bezradny uniosłem wzrok. Promień księżycowego światła przebijał się przez otwór w suficie, dobrze widoczny w zadymionym wnętrzu saloniku. Przeczynałem ciąg niewesołych zdarzeń i wezbrała we mnie dziwna uraza wobec losu. Zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę pragnę tylko siedzieć w wygodnej kabinie i rozprawiać o polityce, a wszystko niech rozwiąże się samo... na dobre czy złe.

Lecz wyglądało na to, że niepodobna dłużej ukrywać się przed przyszłością.

Zerknąłem na Holdena.

–Jak myślisz, George? – spytałem. – Co powinniśmy uczynić?

–Nie mam pojęcia – odparł Holden, gryząc paznokcie.

–Z pewnością wydarzyło się coś złego. Bo czemu by tak straszliwie krzyczał...? Ale dlaczego nie wezwał pomocy?

–To nie byłoby w stylu sir Josiaha, sir – oznajmił Pocket.

–Nigdy nie przyznałby się do słabości.

–No, w takiej sytuacji to diabelny brak odpowiedzialności – parsknął Holden.

–Chyba że jest całkowicie bezradny – szepnąłem. – Być może leży tam nieprzytomny... albo nawet martwy! A w takim razie „Faeton” jest pozbawiony pilota...

Tylko Bourne, przygarbiony na swoim strapontenie, wydawał się nieporuszony tą dramatyczną wizją.

–Ależ, Ned, nie dajmy się unieść wyobraźni – powiedział Holden zdławionym głosem.

–Myślę, że ktoś z nas powinien tam iść – stwierdziłem.

–Nie radziłbym, sir – zaproponował Pocket. – Sir Josiahowi to by się nie spodobało...

–Do diabła z tym, co mu się podoba i nie podoba. Człowieku, mówię, tu chodzi o życie wszystkich!

–Ned, zastanów się – rzekł ze zdenerwowaniem Holden. – Co będzie, jeśli znajdziesz się między pokładami właśnie w chwili, w której Traveller włączy silniki? Grozi ci wpadnięcie na gródź, rana lub śmierć. Nie. Wydaje mi się, że powinniśmy spokojnie siedzieć i czekać.

Pokręciłem głową na znak, że nie zgadzam się z tym stanowiskiem. Jeśli Holdena strach obleciał, to cóż, współczułem mu i nie miałem zamiaru tego komentować. Ale nie zamierzałem też stosować się do podobnych rad. Wręcz przeciwnie, odpiąłem pasy i odepchnąłem się od strapontenu.

–Panowie, proponuję zajrzeć na górę – powiedziałem. – Być może Traveller jest zdrów i cały, a wtedy nie spotka mnie nic gorszego nad zalew wysmakowanych złośliwości. Ale jeśli wydarzyło się coś złego, to być może uda mi się w czymś pomóc. Wy raczej zostańcie na miejscu, przypięci pasami.

I czując ich bezradne spojrzenia na plecach, wzbiłem się w powietrze i precyzyjnie przeliczyłem przez luk.

Księżyc wisiał nad „Faetonem” jak pobrużdżone niebo. Latający statek zaprzestał obrotów względem swej osi. Słońce leżało gdzieś po naszej lewej stronie, a cienie na jaśniejszej powierzchni Księżyca wydłużyły się i wyostrzyły, przypominając rozlany atrament. Postrzępione szczyty i brzegi kraterów przesuwaly się za bulajami mostka z prawej do lewej, co dowodziło, iż podróżujemy blisko krzywizny satelity, w kierunku jego nocnej strony.

Patrzyłem zafascynowany. Wiedziałem, że żaden człowiek na Ziemi, nawet uzbrojony w najpotężniejszy teleskop, nie oglądał tak oszałamiających szczegółów tego złowieszczonego świata.

Zauważyłem z ciekawością, że wielkie kratery, które z mojego miejsca przypominały obwarowane obozy, zdają się otaczać centralne wzniesienie, podczas gdy mniejsze kratery opadają ku środkowi; dostrzegłem też, że kratery zachodzą na siebie, tak jakby Księżyc był ofiarą deszczu meteorów lub innych ciał niebieskich nie raz, ale wiele, wiele razy. To, że brzegi mniejszych kraterów były ostre, świadczyło o ich młodym wieku, co znaczyłoby, iż te meteorytowe bombardowania trwają do dziś.

Pokazał się nowy element księżycowego pejzażu, brzeg niezwykle wyniosłego krateru – tyle że w tym świecie opływowych kształtów jego ściany opadały prostopadle od góry do dołu naszego okna. Co dziwne, nie widziało się w nim innych kraterów, chociaż teren był bardzo zróżnicowany. Odepchnąłem się od pokładu i uniosłem ku szczytowi kopuły. Gdy rozejrzałem się po Księżycu, zapuszczając wzrok w mroczne regiony, stwierdziłem, iż dziwny obszar wyzbyty kraterów nie ma końca. Wielka ściana znikła już za statkiem i ku memu zdumieniu przekonałem się, że wcale nie jest prostopadła, spada ku popękanej powierzchni wielką krzywizną i nagle zdałem sobie sprawę, iż ściany tego krateru niemal przygniatają swą wielkością satelitę!

Teraz wiedziałem, iż musieliśmy dotrzeć do strony Księżyca niewidocznej z Ziemi, gdyż ten monstrualny krater zajmował większość hemisfery, znacznie przekraczając swoim ogromem tak wielkie niecki strony widzialnej, jak Copernicus i Ptolemeus.

Niebawem graniczna ściana znikła za horyzontem, ale jej przeciwległa siostra nadal pozostawała niewidoczna i wpatrywałem się z podziwem w setki mil pustki – pustki nawet wedle lunarnych standardów.

Zza pleców dobiegł mnie słaby jęk.

Odwróciłem się w powietrzu, uświadomiwszy sobie raptem swą misję. Biedny Traveller leżał przymocowany pasami do swego tronu, kryjąc twarz w wielkich dłoniach. Cylinder unosił się obok, kosmyki siwych włosów rozłożyły się w powietrzu. Do prawego uda inżyniera był przypięty grubaśny otwarty notatnik. Wiedziałem, że podczas ostatnich kilku dni gromadził w nim pieczołowicie szczegóły lotu – manewry, pracę silników – aby zapewnić nam bezpieczne lądowanie.

Zrobiłem zgrabnego koziołka w powietrzu, odbiłem się od bulaja i opadłem łagodnie obok Travellera. Delikatnie potrząsnąłem go za ramię.

–Sir Josiah, co pana dręczy?

Uniósł twarz. Wyrażała zarazem gniew i rozpacz, a tęczęwki zwężyły się do rozmiarów niebieskich punkcików w cieniach Księżyca.

–Ned, jesteśmy w kropce! W kropce! Dotrzeć tak daleko, znieść tak wiele po to, aby przekonać się, że ten pompatyczny Duńczyk to nie tylko idiota, ale i szaleniec!

–... Jakiego Duńczyka ma pan na myśli? – spytałem ostrożnie.

–Hansena, oczywiście, i jego absurdalną teorię jajowatego kształtu Księżyca. Spójrz na to! – Pogroził pięścią zrytemu krajobrazowi, który rozciągał się nad nami. – To jasne jak słońce, że Księżyc ma idealnie sferyczny kształt, że jego masa musi być równo rozłożona, że tylna strona tego przeklętego świata jest równie pozbawiona powietrza jak przednia!

Wpatrywałem się w bezludny pejzaż. W głębokich cieniach poszarpanej krainy coś błyskało i migotało, być może granit lub kwarc. Doszedłem do wniosku, że nagły upadek ducha Travellera nie jest spowodowany rozpaczą czy lękiem, lecz poczuciem zdrady – przez sam Księżyc, przez Stwórcę, który miał czelność wymyślić ciało niebieskie z gruntu nie odpowiadające potrzebom inżyniera, a nawet przez tego biednego Hansena, który z całej wymienionej trójcy był z pewnością najmniej winny!

Traveller spoczywał na kanapce, wpatrywał się w Księżyc i mruczał coś pod nosem.

Byłem oszołomiony. Doszedłem jednak do wniosku, że jeśli nawet lądowanie na Księżycu jest przedsięwzięciem bezowocnym, nie mamy wyboru. Musimy trzymać się planu, jedynie bowiem Traveller mógł doprowadzić naszą podróż do szczęśliwego zakończenia. Ale inżynier najwyraźniej odgrodził się od wszystkiego i nie nadawał się do pilotowania statku.

Musiałem coś zrobić, albowiem mimo wszystkich dotychczasowych usiłowań groziła nam rychła śmierć.

Wyciągnąłem dłoń i z pewnym ociąganiem potrząsnąłem Travellera za ramię.

–Sir Josiah, nie tak dawno oskarżał mnie pan o brak wyobraźni. Teraz czuję się zobowiązany wytknąć panu ten sam mankament. Czy to nie pan tłumaczył, że bez względu na to, czy odniesiemy sukces czy ponieśmy porażkę, będziemy żyli lub nie, powinniśmy spodziewać się wielkiej frajdy?

Cienie Księżyca wyostrzyły jego oblicze i po raz pierwszy, od kiedy go poznałem, Traveller wyglądał na swój wiek.

–Zawierzyłem wariackim teoriom Hansena, Ned – szepnął. – Moje nadzieje na znalezienie wody upadły i trudno mówić o jakiegokolwiek frajdzie, wielkiej czy małej. Czeka nas śmierć.

Był stary, zmęczony, przestraszony i zdumiewająco bezbronny; czułem się zaszczycony, że ten wielki mąż zdjął przy mnie maskę i odsłonił prawdziwe oblicze. Ale w tej chwili potrzebowałem dawnego Travellera, szalonego, pewnego siebie aroganta! Wskazałem w górę.

–Ale sir, przynajmniej w dalszym ciągu mamy pańskie чудо! Niech pan spojrzysz na wnętrze tego krateru. Odkryliśmy najpotężniejszy region satelity, stosowny pomnik pańskich osiągnięć, i jeśli przyszłe pokolenia kiedykolwiek będą miały okazję poznać naszą odyseję, z pewnością nazwą ten obszar imieniem wielkiego Josiaha Travellera!

To obudziło w nim cień zainteresowania i uniósł platynowy nos, aby spojrzeć na srebrny pejzaż.

–Krater Travellera. Może. Niewątpliwie użyje się jakiejś zwulgaryzowanej nazwy łacińskiej.

–I niech pan pomyśli, co za uderzenie spowodowało tak monstrualną bliznę. Ten cholerny Księżyc mało się nie rozleciał na dwoje.

Podrapał się po brodzie i zmierzył baczny wzrokiem krater.

–Trudno przyjąć, żeby to był meteoryt... Nie, Ned, podejrzewam, że przyczyna tego wgłębienia musiała być dużo bardziej niesamowita.

–O czym pan myśli?

–O antylodzie! Ned, jeśli tę niesamowitą substancję odkryto na powierzchni Ziemi, czemu nie miałyby występować na innych planetach i satelitach? Wyobrażam sobie ciało niebieskie, coś w rodzaju komety, przybywające z gwiazd i wpadające w Układ Słoneczny. Składa się w przeważającej części lub w całości z antylodu. Pod wpływem ciepła Słońca drobne skupiska lodu wybuchają, a koszarne cielsko wpada w konwulsje, targające nim we wszystkich możliwych kierunkach. W końcu, świecąc i płonąc, spada na Ziemię... Ale na swej drodze napotyka nieruchome ciało cierpliwego towarzysza naszej planety. Wybuch jest niebывały – jak powiedziałeś – niemal rozdziera Księżyc na pół. Ściany krateru toczą się po torturowanej powierzchni niczym morskie fale. I należy wyobrazić sobie miliony ton sproszkowanych księżycowych skał i pyłu wyrzucone w przestrzeń wraz z kawałkami antylodowej komety. Być może niektóre jej fragmenty dotarły nawet na powierzchnię samej Ziemi.

Wpatrywałem się w opustoszały pejzaż i zadrżałem, wyobraziwszy sobie go nałożonego na mapę Europy.

–W takim razie musimy być wdzięczni Księżycowi, że zatrzymał komętę i nie spadła na Ziemię, sir Josiah.

–W rzeczy samej.

–A nie przypuszcza pan, że nędzny profesor Hansen mógł jednak mieć rację? Czy na Księżycu nie było obszaru okrytego powietrzem, być może zamieszkałego, lecz zrujnowanego wybuchem antylodu?

Pokręcił przeczącą głową, dając przy tym wyraz pewnej tęsknocie.

–Nie, chłopcze. Obawiam się, że zacny Duńczyk mylił się całkowicie, gdyż sama geometria Księżyca wyklucza teorię jajowatego kształtu. Szansę znalezienia wody potrzebnej nam do przeżycia są nadal bliskie zeru.

Zdesperowany odwróciłem twarz ku ciemniejącemu nad nami pejzażowi. Tak więc dzięki moim dyplomatycznym zdolnościom udało mi się wyciągnąć Travellera z marazmu i strachu – lecz nie do tego stopnia, żeby zechciało mu się kiwnąć palcem w celu uratowania nam życia.

...Lecz wtem po raz wtóry dostrzegłem migotanie jakby światła setek gwiazd betlejemskich; ostre, szkliste błyski pośród porzucanych gór księżycowych.

–Traveller! – krzyknąłem. – Zanim całkowicie pogrąży się pan w rozpacz, niech pan spojrzy w górę. Co tam tak błyszczy?

Znów potarł podbródek, ale poszedł za moją wskazówką.

–To może być byle co, chłopcze – powiedział łagodnie. – Kawałki kwarcu albo skalenia...

–Ale to może być też woda! Zamarznięte kałuże lśniące w promieniach Słońca!

Spojrzał na mnie niemal z dobrocią i wyczułem, że szykuje się do rozwlekłego wykładu na temat źródła mojego ostatniego złudzenia – po czym na jego obliczu zajaśniała determinacja, niczym Słońce, które wynurza się zza zwałów chmur.

–Na Boga, Ned, może masz rację. Kto wie? I na pewno nigdy niczego się nie dowiemy, jeśli pozwolimy „Faetonowi” spaść bezwładnie na to gruzowisko. Dość tego! Ten świat czeka na nasz podbój. – Złapał cylinder i wcisnął go na głowę.

Ogarnęło mnie uniesienie.

–Czy przystąpi pan do realizacji planu, który czeka przygotowany w pańskim notatniku?

Zerknął na notatnik. Nadal spoczywał przypięty do jego kolana.

–Co, mam trzymać się tego? Obawiam się, że zbyt daleko odbiegłem od harmonogramu. – Cisnął notatnik daleko w cienie. – Za późno na kalkulacje i wyliczenia. Teraz musimy poprowadzić „Faetona” tak, jak miał być prowadzony – ręką, głową i okiem. Trzymaj się, Ned!

Szarpnął dźwignie. Antylodowe rakiety zahuczały i padłem na pokład.

Rozpoczął się kilkuminutowy koszmar, atakujący mój umysł kłębem obrazów i dźwięków. Silniki wyły jak opętane, a podłoga mostka – szereg nierówno dopasowanych płyt, mocowanych śrubami – wciskała się w moją twarz i tors. Nie pozostało mi nic innego jak złapać się pierwszego lepszego uchwytu – były to żelazne nóżki kanapki pilota. Pomyślałem przy okazji, że Traveller zachował się nie inaczej niż zwykle, całkowicie lekceważąc zdrowie i życie tych, których usiłował ratować. Z pewnością kilkusekundowa zwłoka, która pozwoliłaby mi dotrzeć do kabiny, nie miała żadnego znaczenia.

Po pewnym czasie światło Księżyca się zmieniło. Cień mojej głowy na pokładzie poruszył się i wydłużył. W końcu objęła nas ciemność, rozjaśniona tylko słabym blaskiem zwojów Ruhmkorffa. Uznałem, że latający statek zrobił zwrot i jest skierowany rufą ku Księżycowi.

Wreszcie przyszła błogosławiona ulga, silniki przycichły! Chociaż wyły dalej, to było o wiele ciszej i miałem wrażenie, jakby zdjęto mi z pleców wielki ciężar. Ostrożnie oderwałem twarz od podłogi, następnie uniosłem się na czworaki, potem wstałem – i ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że nadal stoję na pokładzie, nie unoszę się w powietrzu!

–Sir Josiah! Już nie fruwamy...

Leżał na kanapce, lekko poruszając dźwigniami.

–Och, cześć, Ned. Całkiem zapomniałem, że tu jesteś. Tak, już nie spadamy swobodnie. Zdecydowałem, że najlepiej uczynię, łapiąc byka za rogi. Tak więc skierowałem nas prosto ku Księżycowi, od którego zresztą dzieliło nas marne kilka tysięcy mil...

–Myślałem, że zostanę zmiażdżony o te płyty.

Popatrzył na mnie z lekkim zdziwieniem.

–Doprawdy? Ale przecież ciężenie było tylko nieco większe od ziemskiego. – Zdziwienie przeszło w surowość. – Lot cię osłabił. Ostrzegałem, mówiłem, że masz uprawiać gimnastykę jak ja. To cud, że twoje zetlałe kości nie rozprysły się w proch.

Już byłem gotów mu wyjaśnić, dlaczego to nie ćwiczyłem dziarsko, idąc za jego przykładem – a mianowicie dlatego, że przez kilka dni nie mogłem ruszyć ręką ni nogą po tym, jak dokonałem ponoć heroicznego czynu w przestworzach – ale dałem sobie spokój z usprawiedliwieniami.

–Więc odwrócił pan statek – powiedziałem.

–Tak, i teraz opadamy na Księżyc, ustawieni do niego tyłem – radośnie potwierdził

moje przypuszczenie. – Odczuwasz obecnie swój ciężar. Jego wielkość jest taka sama, jak na Księżycu. Jedna szóstą twojego ciężaru na Ziemi. Zmniejszyłem prędkość do możliwego najmniejszego poziomu i utrzymuję ją. – Zmierzył mnie surowym, pytającym wzrokiem. – Zakładam, iż rozumiesz dynamikę naszej sytuacji. To, że równowaga przyciągania księżycowego i ciągu rakiet nie jest dziełem przypadku?

–Może sprawy teorii zostawimy sobie na potem – odrzekłem sucho. Stałem na czubkach palców i podskoczyłem w górę. W moim osłabionym stanie nawet cząstkowa grawitacja wydawała się znacząca, ale z łatwością wzbijałem się w powietrze. – Więc takie wrażenia będą towarzyszyły przechadzce po Księżycu?

–Jak najbardziej. – Wykręcił głowę i spojrział w peryskop. – Teraz muszę ustalić miejsce lądowania. O zachodzie Słońca spoczniemy między księżycowymi górami.

Trzymając się kanapki, odwróciłem się i wyjrzałem przez bulaje. Niebo z wyłączeniem obszaru Słońca było zupełnie mroczne, a jako że opadaliśmy ku niewidocznej z Ziemi stronie Księżyca, nasza planeta ukryła się przed nami. Nagie iglice skalne, potrzaskane w wyniku przedwiecznego zderzenia, wyciągały ku nam ząbkowane krawędzie. Cienie rozlewały się niczym upuszczona krew.

–Czemu nie wylądujemy w świetle? – spytałem. – Te cienie skutecznie utrudniają znalezienie bezpiecznego lądowiska.

–Ale „Faeton” nie był projektowany z myślą o długim pobycie na Lunie, Edwardzie! – powiedział z pewną niecierpliwością Traveller. – Przypomnij sobie, że przebywając w przestrzeni, musi stale wirować wokół swej osi, aby uniknąć przegrzania jednej ze stron kadłuba. Kiedy wylądujemy, taki ruch będzie niemożliwy, a Słońce operuje na powierzchni Księżyca równie mocno jak między planetami. Mam tylko nadzieję, że kiedy z łaski Pana przeżyjemy lądowanie, nasz pobyt na powierzchni nie przekroczy kilku godzin, gdyż nawet krótki okres w bezlitosnym blasku Słońca naraziłby nasz delikatny statek na spalenie. Z drugiej strony księżycowa noc grozi nam zamrożeniem na lód. Tak więc najlepiej postąpimy, umieszczając ułamek powierzchni kadłuba w cieniu, a resztę w Słońcu; osiągniemy w ten sposób pewną równowagę między ogniem i lodem.

Osuwaliśmy się w księżycowy pejzaż. Wokół wyrastały przewrócone góry, a z dołu unosiły się warkocze pyłu, poruszone pracą dysz.

Obudziła się we mnie wiara, że przeżyjemy tę operację.

Silniki, pracujące do tej pory z basowym pomrukiem, zakaszlały niepewnie i umilkły. Odwróciłem się, pełen szaleńczej nadziei. Wylądowaliśmy na powierzchni? Lecz kiedy spojrzałem w dół, ze zgrozą stwierdziłem, że moje stopy odrywają się od

podłogi.

–Sir Josiah! – wrzasnąłem. – Znow unoszę się w powietrzu!

–Paliwo nam się skończyło, Ned – powiedział ze spokojem inżynier. – Opadamy swobodnie. Uczyniłem, co w mojej mocy. Teraz pozostała nam tylko modlitwa.

Pejzaż księżycowy ruszył ku nam z większą prędkością, kiwając się na boki.

Tysiące pytań przemknęło mi przez głowę. Jak wysoko wisieliśmy nad powierzchnią, kiedy silniki odmówiły współpracy? Ile wynosi przyspieszenie podczas spadania w warunkach słabej lunarnej grawitacji? Jak silne zderzenie wytrzyma „Faeton”? A może rozpęknie się jak skorupka jajka i wypadniemy z niego wszyscy na bezlitosne księżycowe kamienie niczym ciepłe, miękkie, bezbronne kurczęta?

Rozległ się zgrzyt metalu o skałę.

Kolejny raz padłem na pokład. Usłyszałem brzęk szkła, trzask materiału i skóry. Pokład wykrzywił się szaleńczo i zjechałem kilka stóp, lądując pod zestawem instrumentów pokładowych. Pokład wrócił do normalnej pozycji. Przycisnąłem twarz do płyty podłogowej, oczekując chwili, w której kadłub pęknie, powietrze ucieknie mi z płuc i nigdy więcej nie zaczerpnę oddechu...

Lecz odgłosy zderzenia zamarły; statek wbił się nieco głębiej w wyמושzone skalne gniazdo. Zapanowała wielka cisza; nie towarzyszył jej gwizd uciekającego powietrza ani zgrzyt metalu; wciąż żyłem i oddychałem równie wygodnie jak do tej pory.

Powoli dźwignąłem się na nogi, nie zapominając o niskiej lunarnej grawitacji. Sir Josiah stał na swojej kanapce, uwolniony od pasów bezpieczeństwa. Wziął się pod boki i w cylindrze zuchowato zatkniętym na głowie ogarniał wzrokiem swoje nowe włości.

Wdrapałem się obok niego. Kosztowało mnie to niewiele wysiłku. Teraz dostrzegłem, że jego marynarka jest rozdarta na plecach i krew sączy się równym strumyczkiem z pomarszczonego policzka, rozciętego do skroni.

Otaczało nas skalne miasto. Cienie uciekały przed Słońcem, jeszcze wyglądającym zza odległego szczytu. Teren był pozbawiony powietrza, opuszczony, absolutnie nieprzyjazny człowiekowi – a jednak zdobyty.

–Dobry Boże, Traveller, doprowadził nas pan na Księżyc. Chwała pana umiejętnościom nawigatora i talentom inżyniera, ale wszystko to nic w porównaniu z żelaznym opanowaniem i wizjonerstwem pańskiego geniuszu.

Zbył moje słowa pomrukiem i rzekł:

–Piękne mowy są dobre na pogrzebach, Ned. Daleko nam jeszcze do roli bohaterów tych obrządków. Mamy zadanie do wykonania. – Wskazał na Słońce. – Powiedziałbym, że za jakieś sześć do ośmiu godzin Słońce całkiem zniknie za tamtą skalną wieżyczką i powróci nie wcześniej niż za dwa tygodnie. Jak się nie ruszymy, to powoli, ale nieodwołalnie, zamarzniemy na kamień. Potrzebujemy wody, Ned, i im szybciej się stąd wydostaniemy i przyniesiemy ją sobie, tym szybciej Pocket zaparzy nam czajniczek wyśmienitej herbatki i wyruszymy z powrotem na matkę Ziemię!

Mimo niewielkiej grawitacji miałem wrażenie, że zaraz upadnę, tak wielka słabość ogarnęła każdy z moich członków. Kolejny raz bowiem Traveller potwierdził moje przewidywania. Gdyby nawet całe wiadra cennej wody leżały za pobliskimi skałami, tylko jeden z nas miał opuścić latający statek i przynieść je do środka. I wiedziałem, że tym kimś mogę być tylko ja!

Rozdział 10

Anglik na księżycu

Traveller rozwinął sznurową drabinę i dołączyliśmy do naszych towarzyszy w saloniku. Zastaliśmy tam atmosferę euforii, spotęgowaną wyraźnym pochyleniem podłogi, dodającym niesamowitości zachowaniom ludzi. Traveller i jego służący zabrali się do otwierania spodniej części statku. Ponury Bourne wpatrywał się przez szybę w pochylony lunarny pejzaż. Holden skakał po kabinie; wydając okrzyki zachwytu, wzbijał się kilka stóp w górę i opadał łagodnie niczym okrągły jesienny liść. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu na widok purpurowego rumieńca na jego obliczu.

–Słowo daję, Ned, te księżycowe warunki są czarodziejskie. Znów czuję się dzieckiem – powiedział.

Holden był całą duszą za otwarciem butelczyny koniaku i uczczeniem udanego podboju Księżyca, ale Traveller nawet nie chciał o tym słuchać.

–Nie czas na głupstwa – napomniął dziennikarza. – To nie piknik, zostało niewiele godzin na wygranie bitwy o życie. – Spojrzał na mnie z czymś ocierającym się prawie o zatroskanie – chociaż takim samym wzrokiem mógłby ogarniać jakiś delikatny, lecz zasadniczy komponent maszyny. – Edwardzie, teraz najważniejsze jest twoje dobre samopoczucie. Co powiesz na herbatę czy nawet lekki posiłek, który wzmocni cię przed wyprawą? I jak poprzednio całym sercem zalecałbym ci oczyszczenie organizmu przed opuszczeniem statku. Pocket!

Tak więc otoczony mymi towarzyszami i siedząc wygodnie, pałaszowałem kanapki z ogórkiem i pomidorem, popijałem to wszystko mieszanką wybornych indyjskich herbat – podczas gdy wokół mnie rozciągał się po horyzont opustoszały księżycowy pejzaż, lodowaty i pozbawiony życia!

Mimo że próbowałem, nie udało mi się oczyścić kiszki, jak zalecał Traveller.

Następnie kolejny raz wsunąłem się w cuchnący kombinezon powietrzny Travellera, chociaż, szczerze mówiąc, wolałbym odwlec tę chwilę jak najpóźniej. Szlauch doprowadzający powietrze – przecięty w trakcie niebezpiecznej wyprawy na mostek – był już zreperowany przez Pocketa. Traveller i pozostali przygotowywali wyposażenie. Dostałem kawał liny, którą obwiązałem się w pasie, małą elektryczną latarkę, skleconą na chybcika z niewielkiego wskaźnika, czekan sporządzony z zapasowych części statku i torbę z ceraty pokrywającej podłogę. Owa torba, przedmiot znacznych rozmiarów, była szeroka na jakieś cztery stopy, a jej podwójne ścianki sir Josiah wypełnił włosiem z ogołoczonego strapontenu. Miała posłużyć do przyniesienia złodowaciałej wody. Sir Josiah wytłumaczył, że izolowane ścianki uchronią cenną

substancję przed promieniami Słońca.

Czekan i lampę przytroczyłem do pasa, żeby mieć swobodę ruchów podczas schodzenia na powierzchnię Księżyca. Torbę zawiesiłem na plecach na dwóch pasach z materiału. Przypominała ogromny plecak.

Holden zaczął dowodzić, że powaga chwili – pierwsze kroki przedstawiciela naszego gatunku na powierzchni innego świata – wymaga, żebym przeznaczył nieco czasu na jakąś ceremonię.

–Mowy nie ma – warknął Traveller. – Nie mamy czasu na podobne bzdury. Edward podejmie się ratowania naszego życia, niesłuchanie narażając własne. Nie będzie stawać na rękach i wyczyniać sztuk na cześć króla.

Holden się najeżył.

–Sir Josiah, mimo wszystkich uciążliwości udało się nam wylądować tam, gdzie nie dotarł do tej pory żaden podróżnik. Stąd też jesteśmy zobowiązani objąć w posiadanie ten księżycowy ląd w imię imperium. Przypominam panu, że ten oto młody Edward reprezentuje rząd jego królewskiej mości. Być może wzniesienie flagi narodowej nad skalnymi okruchami Księżyca...

Bourne roześmiał się szczekliwie.

–Iście angielskie podejście. Cóż za obrzydliwość, bezcześcić takie miejsce waszą flagą.

Holden powstał, wypinając wielki brzuch.

–Sam fakt, że ten Francuzik wysuwa obiekcje, sir Josiah, dowodzi, że takie postępowanie byłoby jak najbardziej wskazane.

Traveller do tej pory zajmował się szczelnym zapinaniem mojego kombinezonu. Obecnie wyprostował się, wziął pod boki, zostawiając mnie i Pocketowi trud zapięcia zamków.

–Holden, ani mi się śni wysłuchiwać tego idiotycznego bełkotu. Mam dwa kontrargumenty. Po pierwsze: tam nie ma powietrza, a więc i wiatru, który by mógł rozwinąć pańską flagę. Po wieczne czasy pozostanie sflaczała i bez życia. Czy to właściwy symbol imperium? Oczywiście, moglibyśmy się czymś podeprzeć... może rozpiąć ją na metalowym szkielecie... – Roześmiał się hucznie. – Ale to przecież błazenada. Trzeba być pompatycznym osłem do kwadratu, żeby się na coś takiego zdecydować. Zresztą mój drugi kontrargument jest decydującej natury. Otóż nie taskam ze sobą na tym statku żadnych flag, ani brytyjskiej, ani *tricolore*, ani innej. Więc jeśli nie jest pan zgrabną szwaczką, mister Holden, to pańskie ambicje

pozostaną niezaspokojone.

–A my nie pokalamy naszej godności – dodał Bourne.

Lecz Holden ani myślał akceptować ten punkt widzenia. I niebawem trzej adwersarze: Holden, Bourne i Traveller zaczęli skakać sobie do oczu. Tymczasem zakończyłem ubieranie i stałem obok Pocketa, z hełmem pod pachą, oczekując rozpoczęcia przygody.

Po chwili straciłem cierpliwość. Uniosłem oburącz hełm i dramatycznym gestem opuściłem go na szklaną osłonę modelu „Wielkiej Wschodzącej”. Klótnia natychmiast ucichła i Pocket wziął się do pracy z miotłą i szufelką, zbierając roztrzaskane szkło. Urękawiczonymi dłońmi sięgnąłem w centrum zniszczenia i wyjąłem model; miał około trzech stóp i obchodziłem się z nim bardzo ostrożnie, bacząc, by nie uszkodzić delikatnej roboty.

–Sir Josiah, niech mi pan wybaczy ten impulsywny i niszczyielski czyn. Panowie, jako że to ja muszę udać się poza te ściany, ja zdecyduję, jaki charakter powinien mieć ten symboliczny gest. Wezmę ten model wielkiego statku Brunela i umieszczę go we właściwym miejscu. Powinno to zająć tylko chwilę, ale zaspokoić wszystkie nasze pragnienia. Holden, „Wschodząca” jest jednym z największych osiągnięć inżynierskich imperium, szczytowym wytworem wielkiej cywilizacji. Sir Josiah, z pewnością udzieli pan poparcia zamierzeniu, które na tym odległym płaskowyzu upamiętni imię inżyniera, będącego inspiratorem sporej części pańskich osiągnięć. A co do ciebie Bourne: mam nadzieję, że wraz ze mną uznasz ten model za symbol nieskończonej pomysłowości i przedsiębiorczości ludzkości, tych jej cech, które doprowadziły nas aż na ten zdumiewający glob. A jeśli nasza wyprawa zakończy się klęską – kontynuowałem, nieco zaskoczony własną elokwencją – niech wtedy jakieś przyszłe pokolenie zdobywców, napotkawszy ten artefakt, zaduma się nad tymi, którzy go tu umieścili.

Zapadła chwila ciszy.

–Dobrze powiedziane, Ned – rzekł wreszcie Holden. – Usadziłeś nas.

–Czy jesteśmy gotowi?

Traveller okrągłym gestem wskazał powietrzną szafę.

–Wszystko gotowe, Edwardzie.

Skinąłem głową i powiedziałem:

–Jednakże wpierw chciałbym czegoś zażądać...

Kolejny raz zakręcono hełm wokół mojej głowy, zamykając mnie w zniechęcającym miniaturowym wszechświecie zdominowanym przez wonie miedzi, zatęchłego powietrza i nierówny odgłos mego własnego oddechu. Wszedłem do trumiennej szafy. Po tym jak wymieniłem uściski dłoni z moimi towarzyszami – ich drobne ręce zniknęły w moich rękawicach – zatrzaśnięto ciężką pokrywę, odcinając mnie od przytulnego ciepła kabiny. Zawahałem się przez chwilę, przyciskając model „Wschodzącej” do piersi, po czym zdobyłem się na odwagę, złapałem koło wjazdu i przekręciłem je zdecydowanym ruchem.

Po kilku obrotach szafa utraciła szczelność i rozległ się syk uciekającego powietrza. Kombinezon zeszywniał do granic wytrzymałości.

W końcu wjazd się otworzył i mój wzrok padł bezpośrednio na jard kwadratowy lunarnej gruntu.

Znajdował się jakieś dziesięć stóp dalej i wydawał całkiem równy, chociaż upstrzony ostrymi kamyczkami, rzucającymi w świetle Słońca wyraziste, czarne jak atrament cienie. To okrucieństwo kształtów i brak powietrza natychmiast przypomniały mi, że nie jestem na Ziemi. Przez kilka minut wpatrywałem się uważnie w ten kawałek Księżyca. Słyszałem pulsowanie własnej krwi.

Wreszcie zebrałem siły i mogłem ruszyć dalej. Rozwinąłem sznurową drabinkę. Wysunąłem nogi na zewnątrz i zacząłem schodzić. Po kilku krokach przystanąłem i zabrałem „Wielką Wschodzącą”. Kiedy hełm znalazł się poza obrębem wjazdu, wypełniło go oślepiające światło i musiałem zmrużyć oczy. Od tej pory starałem się unikać patrzenia w Słońce spoczywające niebezpiecznie blisko horyzontu.

Przystanąłem na najniższym szczeblu, zwiesiwszy but w pustce. Przepelniała mnie duma i świadomość powagi chwili. Że to akurat mnie pierwszemu przypadł honor postawienia stopy na tym odległym lądzie! Wspomniałem splot przedziwnych wydarzeń, który doprowadził mnie do tego momentu, i przez krótką chwilę zadawałem sobie pytanie, czy sprawy nie potoczyłyby się innym torem, gdyby nie tamten niesłychany przypadek – znalezienie antylodu? Czy bez tej substancji człowiek dotarłby na Księżyc? Z pewnością wynaleziono by jakiś inny sposób, wymyślono inny rodzaj rakiet, o którym teraz nikomu nawet się nie śniło; chociaż zabrałoby to pewnie wiele lat i trwało aż do przełomu stulecia, zanim jakiś podróżnik dotarłby tak daleko. Niemniej jednak byłem przekonany, że jak w przypadku wszystkich przedsięwzięć natury przemysłowej i technologicznej to Wielkiej Brytanii byłaby sądzona rola przewodnika podobnej wyprawy i jakiś inny Brytyjczyk – być może lepiej przysposobiony do realizacji tego zadania niż ja – stanąłby na najniższym szczeblu innej drabiny.

Pozwoliłem sobie na chwilę dumy z samego siebie i zapragnąłem, aby piękna Françoise mogła oderwać oczy od udręczonych pól Francji i patrzeć w daleką

przestrzeń, dojrzeć mnie w tym momencie międzygwiazdnej chwały. Lecz gorycz wywołana nieziszczalnością tego pragnienia nie osłabiła poczucia niesłychanego historycznego znaczenia całej mojej sytuacji. Objęcie w posiadanie innego świata było niewątpliwie najbardziej znaczącym osiągnięciem w rozwoju ludzkości od czasów Arki – lub, jeśli wierzyć sir Karolowi Darwinowi, od czasów kiedy nasi małpi pradziadowie dali sobie spokój z obrzucaniem się skórkami po bananach i zleźli z drzewa, żeby przybrawszy wyprostowaną postawę, deptać ziemię. Tak więc, gdy wbijałem mój skórzany bucik w okrytą drobnymi kamyczkami glebę, zmówiłem modlitwę, niesłyszalną dla żadnej innej pary ludzkich uszu:

–Panie, stawiając ten krok, jak Noe wkraczam na nowy kontynent, dany nam dzięki Twojej łasce, i przejmując go we władanie, niosę z sobą nadzieje całej ludzkości.

Stałem na powierzchni Luny połączony z „Faetonem” jedynie kawałkiem powietrznego szlauchu. Czulem żwir pod stopami, jakbym kroczył przez wydmy, które niedawno wyłoniły się z odmętów oceanu. Stawiałem kroki niezwykle rozważnie, gdyż wielce się obawiałem rozedrzeć kombinezon lub szlauch doprowadzający powietrze.

Ściskając model statku, czując lekkie uderzenia czekana i lampy Ruhmkorffa o nogę, pokonałem w księżycowej ciszy jakieś trzydzieści stóp pochyłości – całkowita długość szlauchu wynosiła zaledwie czterdzieści stóp – i rozejrzałem się wkoło.

Krajobraz księżycowy zalegały tylko zniszczone i zmiażdżone kamienie; najmniejsze były wielkości żwiru, największe znacznie przewyższały rozmiarami latający statek. To gruzowisko sięgało za horyzont, który z racji małej średnicy Księżyca wydawał się zdumiewająco bliski. Ten fenomen stwarzał złudzenie, iż wspinam się na szczyt rozległego wzgórza.

Oczywiście, nie widziałem ścian Krateru Travellera, gdyż leżały wiele tysięcy mil dalej we wszystkich kierunkach kompasu.

Kamienisty grunt nie był płaski. Wyrastała na nim masa pagórków. Tworzyły niskie, okrągłe kopuły, o zdumiewająco zuniformizowanym kształcie, chociaż bardzo różnej wielkości. Najmniejszy ledwo przewyższał mnie wysokością, największe sterczały może pięćdziesiąt stóp w górę i miały dobrą jedną ósmą mili szerokości. Uznałem, że tego rodzaju konfigurację terenu z pewnością spowodowało oddziaływanie wulkanicznego podłoża. Wyobraziłem sobie, że pokonuję go susami, skacząc z gracją kozicy górskiej ze szczytu na szczyt. Lecz, oczywiście, byłem ograniczony długością mojego powietrznego przewodu, a poza tym przeczulony na punkcie szczelności kombinezonu.

Odwróciłem się, żeby ocenić ustawienie „Faetona”. Byłem zaledwie jakieś dziesięć jardów od statku, który znacznie nade mną górował; w sumie przetrwał zaskakująco

dobrze trudy podróży; aluminium kadłuba lśniło spod cienkiej warstwy lunarnego kurzu. Szkło kopuły, chociaż pokryte smugami powstałymi podczas próby ognia w ziemskiej atmosferze, migotało w ostatnich promieniach Słońca i rzucało odbłaski na sfalowaną księżycową równinę. Dostrzegłem, iż Traveller sprowadził nas na niskie zbocze – jego szczyt wznosił się może dziesięć stóp ponad powierzchnię – i przyklasnałem w myślach umiejętnościom inżyniera, gdyż z pewnością znaleźliśmy się w znacznie bezpieczniejszych i łagodniejszych warunkach termicznych niż te, które panowały w wąskich „parowach”, między wzgórzami. Lecz pozycji statku daleko było do pionu, gdyż jedna z trzech nóg wsparła się na wielkim głazie i nieco przygięła. Nadal podtrzymywała kadłub, ale jej kąt do podłoża wynosił może dwadzieścia stóp.

Zgodnie ze swoim zamierzeniem Traveller posadził powietrzny statek w ten sposób, że górna jego część spoczywała w blasku Słońca. Ciepłe gazowe światło biło z ocienionych bulajów saloniku, rozjaśniając martwe skały. W okienkach zauważyłem oblicza Bourne'a i Holdena. Zatęskniłem za przytulnym wnętrzem, zapachem kuchni Pocketa i tureckim tytoniem Travellera; lecz przebiegł mnie również dreszcz dumy, oto bowiem sprowadziliśmy kawałek angielskiej cywilizacji do zaiste straszliwego miejsca. Dostrzegłem, iż Holden nawet teraz nie omieszkał włożyć krawata, starannie zawiązawszy go pod wywiniętym kołnierzykiem!

Kiedy tak wpatrywałem się w statek, pełen dumy z naszego wyczynu w tym wrogim otoczeniu, poczułem, że hełm i górna część powietrznego kombinezonu nabierają nieprzyjemnie wysokiej temperatury. Przypomniałem sobie, iż zostało mi bardzo niewiele czasu do przeprowadzenia misji, zanim warunki na powierzchni staną się nie do zniesienia. Tak więc bez dalszych wahań uniosłem wysoko „Wielką Wschodzącą” i trzymając model w obu rękach – dojrzałem, że Holden oklaskuje ten gest – umieściłem go za skałą, która zapewni mu osłonę przed mającym niebawem nastąpić podmuchem z dysz „Faetona”. Zastygłem na chwilę podczas tej ceremonii i zostałem nagrodzony widokiem Holdena unoszącego do szyby bulaja aparat fotograficzny. Tak więc uczyniono zadość mojej ostatniej prośbie przed opuszczeniem statku; dając folgę próżności, postarałem się, żeby utrwalono dla potomności moją przechadzkę po Księżycu.

Podczas gdy trwałem w tej pozycji, jak jakaś dziwna statua, oczekując przez sekundę na ekspozycję płyty fotograficznej, poczułem nieprzyjemne drżenie pod stopami, jakby minimalne trzęsienie ziemi. Ale zachowałem niezmienioną postawą, a drżenie minęło.

Po umieszczeniu „Wschodzącej” na skale pośpieszyłem w cień „Faetona”, zdecydowany kontynuować misję, chociaż każdy oddech przychodził mi z trudnością.

Uniosłem wysoko zwój Ruhmkorffa. Blade światło elektryczne rozlało się daleko po

potrzaskanych skałach; oczywiście, nie mogło konkurować z bezpośrednim światłem Słońca, ale odsłoniło naturę tego, co spoczywało ukryte w cieniach wzgórz i wielkich głazów. Szukałem połyskliwych fragmentów, wypatrzonych wcześniej z przestrzeni przeze mnie i Travellera – i jakieś pięć stóp za wzniesieniem „Faetona” dostrzegłem fragment gruntu szerokości dziesięciu stóp, gładki i odbijający światło rozżarzonego drucika.

Tak szybko jak tylko mogłem, udałem się w dół zbocza i rozciągnąwszy prawie maksymalnie szlauch, ukląknęłam, wyciągając dłoń ku rozmigotanej powierzchni.

Spotkało mnie okrutne rozczarowanie. Gdy dotknąłem połyskliwej tafli, ta pękła, a na mej rękawicy pozostały roztrzaskane odłamki. Kiedy uniosłem je do oczu, poznałem, że to nie lód, lecz jakaś podobna do szkła substancja – brązowa i bynajmniej nie przezroczysta, jednak wyraźnie przypominająca wyglądem szkło. Słyszałem kiedyś, że wielki żar lub ogromne ciśnienie mogą zamienić zwykły piasek w szkło bez interwencji człowieka i niewątpliwie takie było wytłumaczenie tego fenomenu. Być może ta naturalna tafla została utworzona w wyniku tego samego zdarzenia, które przyczyniło się do powstania Krateru Travellera. Nie wątpię, iż ta substancja byłaby fascynującym obiektem badań ludzi nauki – chociażby z tego powodu, iż jej obecność dowodziła jednoczesnego występowania podobnych minerałów na Ziemi i na Księżycu – ale to w żadnym wypadku nie mogło mi pomóc! Czyżby połyskujące lodowce dostrzeżone przeze mnie i Travellera były tylko ułudami zrodzonymi przez szklane odpadki?

Ogarnięty chwilową wściekłością i w poczuciu zawodu wrzasnąłem i cisnąłem w dal fragment tafli; poszybowała kilkaset jardów, nie napotykając po drodze oporu atmosfery, migocąc złudnie w ukośnie padającym świetle Słońca. Luna kolejny raz zatrzęsała się pod moimi stopami, jakby mi współczuła. Tym razem drżenie było na tyle potężne, że głazy potoczyły się po powierzchni jak ziarenka piasku po napiętej skórze bębna.

Przełknięty przypadłem do podłoża, spodziewając się, że jakiś głaz znajdzie się na tyle blisko, by mnie zmiażdżyć lub przydusić szlauch z powietrzem...

W końcu drżenie ustało, ale niemal natychmiast podjęło je moje serce, gdyż w zagłębieniu po jednym z poruszonych głazów dostrzegłem wyraźne migotanie szronu.

Pośpieszyłem ku lśniącej plamie, lecz kiedy trafił w nią promień Słońca, lód się ulotnił. Para przemknęła między moimi palcami.

Jednakże moje uniesienie nie opadło, gdyż jasno zdałem sobie sprawę, co powinienem dalej czynić. Cała woda, która pozostała na Księżycu, z pewnością musiała zalegać w głębokich pieczarach lub pod głazami – w każdym razie poza

zasięgiem słonecznego światła. Kilka sporych głazów spoczywało w zasięgu mojego szlauchu. Pośpieszyłem do jednego z największych – miał kształt sześcianu o krawędzi jakichś czterech stóp – i dłuższą chwilę deliberowałem, jak zdołam w pojedynkę unieść takiego potwora. Rozważałem, czy nie powrócić do „Faetona” i nie liczyć na znalezienie czegoś w rodzaju łomu; wtem przypomniałem sobie, że przebywam na Księżycu i w tutejszych warunkach – jednej szóstej ziemskiej grawitacji – dysponuję siłą całej brygady robotników. Tak więc przykucnąłem i wsunąłem palce pod krawędź skały. Uniosłem ją, spodziewając się, że przewróci się na bok jak puste kartonowe pudło, ale chociaż głaz w rzeczy samej odwrócił się, uczynił to powoli i ociężale – do wtóru całej masy posapywań z mojej strony – tak że nie miałem najmniejszej wątpliwości co do jego znacznej masy.

W ten sposób otrzymałem praktyczną lekcję na temat różnicy między ciężarem, który jest rządzony siłami grawitacji, a bezwładnością, która im nie podlega.

Proszę jednak wyobrazić sobie mój zawód, kiedy w końcu skała przetoczyła się na bok i nie dostrzegłem najmniejszego nawet śladu szronu. Stałem bez ruchu, wciągając rzadkie powietrze ze szlauchu i z niedowierzaniem oglądałem teren.

Nie pozostawało mi nic innego do zrobienia, jak przejść do następnego głazu i podjąć kolejną próbę; a kiedy to uczyniłem, ku mej nieokiełznanej radości zostałem nagrodzony widokiem grubej zamarzłej kałuży, rozległej na pięć stóp i grubej na kilka cali. Oslaniając cenny materiał własnym cieniem, zapakowałem lód do termicznego worka, pracując dłońmi jak czerpakami i zdobywając w ten sposób kilka funtów lunarnej wody.

Byłem tak zajęty podczas tego księżycowego popołudnia, że niebawem straciłem poczucie czasu. Przewracałem głaz za głazem. Mniej więcej w połowie przypadków natrafiłem na spore pokłady lodu. Napełniłem kilkakrotnie wór i wędrowałem do „Faetona” i z powrotem, usypując wzgórek pokruszonego lodu w cieniu statku. Grunt złowróźnie dygotał co kilka minut; ale nauczyłem się ignorować ten minimalne wstrząsy. Chociaż napełniałem więcej niż połowę worka, nie przygniatał mnie swoją wagą; mimo to jego inercja przeszkadzała mi w znacznym stopniu, gdy kołysał się na moich plecach.

Wtem Księżyc zadygotał potężnie. Można by pomyśleć, że w jego powierzchnię uderzyła jakaś potężna pięść.

Padłem jak długi. Zachowałem na tyle trzeźwości umysłu, że zakryłem wizjer hełmu rękawicami; inaczej szkło z pewnością pękłoby w drobny mak. Leżałem długie sekundy, nie ośmielając się nawet ruszyć głową; spodziewałem się, że w każdej chwili zostaną ciśnięty w jakąś rozpadlinę lub zmiażdżony przez padającą skałę. A trzęsienie Księżyca trwało nadal w całkowitej i niesamowitej ciszy!

Kiedy już tylko echa potężnych drgań przetaczały się pode mną, uniosłem się na nogi. Szlauch i wór z lodem były nie uszkodzone, lecz wizjer mocno zaparował – tak mocno, że ledwo co widziałem – a zwój Ruhmkorffa został całkowicie zmiażdżony. Porzuciłem go. Niech jakiś przyszły badacz Księżyca łamie sobie nad nim głowę. Nie byłem pewien godziny – zabrakło mi trzeźwości umysłu, aby zawiesić zegarek na kombinezonie! – i stałem kilka stóp poniżej wzgórza, na którym osiadł „Faeton”, rozglądając się wkoło.

Pejzaż zmienił się; kształty pagórków i ich cieni były inne niż te, które zachowały się w mojej pamięci. Powiedziałem sobie, że to niewątpliwie iluzja tworzona przez zachód Słońca; przecież nawet krajobrazy Ziemi wydają się zmieniać, kiedy światło gaśnie.

Zdezorientowany wahałem się jeszcze przez chwilę, kładąc w myślach na jednej szali korzyści, które mogą przynieść kolejne zgromadzone funty lodu, a na drugiej ukryte zagrożenia obcego środowiska – gdy uwolniono mnie od podejmowania decyzji.

Teren zakołysał się po raz kolejny. Wpuściłem czekan i stoczyłem się w dół. Po kilku krokach osiągnąłem granicę długości mojego szlauchu i szarpnięcie pociągnęło mnie z powrotem. Zachowałem równowagę, wyciągając ramiona na boki, i odwróciłem się do statku. Powitał mnie zdumiewający widok.

Wokół całego wzgórza, na którym osiadł „Faeton”, wyrastały cylindryczne skały. Było ich może tuzin, równo rozmieszczonych dookoła kopulastego pagórka. Wszystkie miały jakiś jard szerokości i wszystkie unosiły się w tym samym tempie, kilka stóp na sekundę. Grunt znów zadygotał i z trudem utrzymałem się na nogach, zdumiony siłą konieczną do tak szybkiego wynoszenia równie gigantycznych mas. Niebawem kolumny otoczyły wzgórze – i „Faetona”. W miarę unoszenia się rosły coraz wolniej, aż w końcu zastygły, osiągnąwszy wysokość około stu stóp. Zdałem sobie sprawę, że tylko łasce boskiej zawdzięczam, iż moje szlauchy powietrzne nie uległy zniszczeniu w trakcie wzrostu tej mineralnej flory.

Grunt trząsł się, jakby reagował na odległe wybuchy, tak więc odwróciłem się, chcąc ogarnąć wzrokiem resztę pejzażu. Wokół wszystkich pagórków tworzących zasłaną odłamkami powierzchnię wyrastały kolumny – jak skalne kwiaty. Kiedy odwróciłem głowę w zaparowanym hełmie, spostrzegłem, iż niektóre z nich znacznie przerosły stustopowe kolumny otaczające „Faetona”. Najdalsze, znajdujące się może o pół mili, musiały wyrosnąć na pełne tysiąc stóp. Były gładkie, jakby wykończone dłońmi wprawnego kamieniarza, lecz ich mineralna proveniencja była doskonale widoczna.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że to gigantyczne kiełkowanie, odbywające się w niesamowitej ciszy, jest przejawem życia. Być może kolumny były odpowiednikami roślin oczekujących na najlżejszą kroplę deszczu w pustynnych klimatach, aby

błyskawicznie i wybijała wzrosnąć. Lecz nie mogłem sobie wyobrazić, co za rodzaj energii życiowej mógł wypchnąć nad powierzchnię takie monstra i to z taką niebywałą prędkością.

W końcu ostatnie kolumny osiągnęły pełnię swojej wysokości. Całą równinę pociął las cieni, a łagodny deszcz kurzu i małych kamyczków tylko podkreślał ich nieruchomość.

Dłuższą chwilę ani drgnąłem. Krew tętniła mi w skroniach i zastanawiałem się, czy mogę bezpiecznie wrócić do „Faetona”.

Kiedy się tak wahałem, ruszyła następna faza zmian krajobrazu.

Rozpoczęło ją największe wzgórze, mające jakieś pięćdziesiąt stóp wysokości. Na całym jego obrzeżu eksplodowały małe głązy i kamienne płyty. Pagór wyraźnie trząsł się i dygotał. Czulem to nawet z oddalenia. Miałem wrażenie, że jakieś ogromne zwierzę usiłuje wydobyć się z wnętrza satelity.

Nagle przeżyłem kolejny wstrząs, tym razem duchowej natury, gdyż uświadomiłem sobie, że moje wrażenie dokładnie odpowiada rzeczywistości; oto całe wzgórze dźwignęło się nad powierzchnię Księżyca. Stałem doszczętnie ogłupiały, nie dowierzając zmysłom. „Wzgórze” oderwało się od reszty terenu, demonstrując spodni odpowiednik kopułowego profilu, tak że całość odseparowanego fragmentu gruntu miała kształt soczewki; z tym że spód był poblżniony i pokawałkowany. Kamienie wielkości pięści odrywały się od ostrych krawędzi soczewki, która szorowała podtrzymujące kolumny.

W miarę jak soczewkowaty kształt pędził w górę, przyspieszał, osiągając prędkość, która zaprzeczała wielotonowej masie. Niebawem unosił się wysoko nade mną, nadal w granicy wieńca swych kolumn.

Ale to był tylko prekursor ogólnego poruszenia; niebawem wszędzie unosiły się pagórki, demonstrując charakterystyczny soczewkowaty kształt, i miałem powód pobłogosławić wyzbyte powietrza lunarne środowisko, bo gdyby atmosfera przenosiła hałas tego pobudzenia gruntu, bębenki w uszach pękłyby mi od razu.

Przymocowane do hełmu szlauchy powietrzne szarpnęły mnie z rozmachem w tył i rozłożyłem się na powierzchni. Gdy szybko odwróciłem się na brzuch, przywitał mnie widok pagórka „Faetona”, nadal ze statkiem na czubku, unoszącego się w niebo jak wszyscy jego kuzyni.

Wór z lodem obijał się o moje krzyże, kiedy drapiąc palcami o skałę, zacząłem podnosić się na nogi. Stałem tam, gdzie poprzednio znajdowała się krawędź pagórka „Faetona” – a teraz brzeg płytkiego krateru – i zdesperowany śledziłem wzrokiem uciekający fragment Księżyca. Krawędź soczewki była już około dziesięciu stóp nade

mną i przyspieszała, zabierając statek, a z nim wszystkie moje nadzieje. Wkrótce szlauch miał rozciągnąć się na pełną długość. Może było mi sądzone unieść się jak marionetka, bezradnie wymachująca nogami, a może szlauch zerwałby się i mój cenny zapas powietrza uleciałby w lunarną pustkę...

Poprawiłem wór na ramionach, ugiąłem mocno nogi w kolanach, jak tylko pozwalały na to rozdęte nogawice kombinezonu, i odbiłem się od powierzchni.

Grawitacja Księżyca jedynie w niewielkim stopniu spowolniła mój lot. Poszybowałem wysoko, a szlauch zwijał się pode mną. Kiedy docierałem do szczytu mej trajektorii, szybkość wznoszenia się zmalała i przez jedną chwilę rozdierany grozą myślałem, iż po prostu nie uda mi się złapać brzegu szybującego wzgórza; ale w końcu moje ramiona i głowa minęły krawędź i szukając na oślep urękawiczonymi dłońmi, odnalazłem rozpadlinę w ścierwie skalnego potwora.

Wisiałem tak, wciągając łąpczywie dostarczane szlauchem powietrze. Wór z lodem tłukł o mój kręgosłup. W miarę jak gigantyczna skalna soczewka przyspieszała, coraz więcej kosztowało mnie utrzymanie się na krawędzi. Mięśnie dłoni i barków pracowały na granicy możliwości, tak że musiałem pożegnać się z myślą o wdrapaniu się na wyższe, bezpieczne miejsce. Mogłem jedynie cieszyć się tym, co osiągnąłem do tej pory.

Kręciłem na boki głową w nadziei, że rozluźnię odrętwiałe do bólu mięśnie karku, i dostrzegłem, że dzieje się coś nowego. Skalne soczewki, osiągnąwszy zwieńczenie kolumnowych odnóży, zaczęły przemieszczać się nad równiną. Niespiesznie zmieniały położenie względem innych soczewek, to zbliżając się, to oddalając, jak uczestnicy jakiegoś pojedynku lub mordercze owady.

Ten powolny, cichy walc był tak zdumiewający, jakbym oglądał zamek windsorski, który powstał i ruszył w drogę.

Kolumny-odnóża ani się zginały, ani pochylały; unosiły soczewkowatych pasażerów sztywno wyprostowane. Przy czym skalne potwory czyniły to zupełnie swobodnie, z zadziwiającą gracją.

Wszystko to obejrzałem w ciągu paru sekund, podczas których szybowałem w górę wraz z „Faetonem”.

Wreszcie zdałem sobie sprawę, że moja soczewka z pewnością dociera na szczyt swoich kolumn, nie musiałem już bowiem tak zmagać się z własnym ciężarem. Podniosłem wzrok i przekonałem się, że zwieńczenie kolumn jest faktycznie blisko, ale nieopodal spostrzegłem podbrzusze innej soczewkowatej bestii, rozleglejszej i wyższej niż moja. Zbliżała się, nie tając złych zamiarów.

Nie miałem zielonego pojęcia, czym się to może skończyć, ale nie wątpiłem, że

niczym przyjemnym. Najszybciej, jak się dało, wdrapałem się na krawędź skały, ciągnąc szlauch i wór z lodem. Uprzednio wyobrażałem sobie, że „Faeton” został zrzucony albo co najmniej przewrócił się i uległ zmiżdżeniu, ale ku mej uldze nadal trzymał się wzgóрка i nawet zachował wyprostowaną pozycję. Kątem oka zauważyłem, iż model „Wielkiej Wschodzącej” rozleciał się pod upadającą skałą; pozostały po nim tylko kawałki metalu i odłamki szkła.

Pośpieszyłem ku statkowi. Holden i Pocket wyglądali przez bulaje, śledząc moje poczynania – i widziałem, że przepełnia ich bezgraniczna radość, kiedy ujrzeli mnie zmartwychwstałego i w pełnym rynsztunku. Holden ponaglał mnie gestem. Zupełnie niepotrzebnie!

Uprzednio Traveller wytłumaczył mi, jak należy otworzyć właz w dolnej sekcji kadłuba, kryjącej zbiornik wody. Wdrapałem się po nodze statku ze zręcznością, która zaskoczyła mnie samego, znalazłem właz i otworzyłem zasuwę zgodnie z instrukcjami inżyniera. Niebawem zacząłem przerzucać pełne garście lodu z torby do zbiorników. Równie pośpiesznie przerzuciłem do wnętrza pagórek zebranego wcześniej lodu. Wszystko to robiłem w rękawicach i im bardziej się spieszyłem, tym więcej lodu rozsypywałem; wciąż byłem świadom, że jeśli goszcząca nas soczewka zdecyduje się na spacer, wtedy ja i „Faeton” zostaniemy strąceni i runiemy w objęcia przedwczesnej śmierci. Cały czas obserwowałem kątem oka zbliżającą się monstrualną soczewkę, wielokrotnie przewyższającą naszą.

Wreszcie skończyłem ładować lód. Zamknąłem właz, zrzuciłem z ramion pusty wór i zeskoczyłem z nogi statku, machając Holdenowi. Wdrapałem się po sznurowej drabinie, nerwowo spoglądając na dysze rakiet. Wiedziałem, że gdy tylko Traveller będzie mógł włączyć silniki, nie zawaha się tego uczynić, bez względu na to, czy jestem już bezpieczny na pokładzie, czy nie, tak więc miałem sekundy na znalezienie się w środku. Wczołgałem się przez wąski właz, lądując na brzuchu jak ryba wyrzucona na piasek, po czym wciągnąłem nogi. Zwinąłem drabinkę i szlauch powietrzny, sięgałem po pokrywę włazu, gdy...

...silniki ożyły.

Padłem na gródź. Poleciałem w kierunku nadal otwartego włazu. Kończynami szukałem oparcia w nierównościach podłogi i przez długą, przerażającą chwilę wisiałem rozkrzyżowany nad otworem. Głowa dyndała mi na zewnątrz.

Silniki wzbily chmurę kurzu i kamieni z pancerza naszej soczewkowatej bestii.

Statek nagle zatoczył się na boki i musiałem zaprzeć się dłońmi o grodzie. Przedemną przesunęła się większa soczewkowata ta bestia, która poprzednio górowała nad „Faetonem”. Zdałem sobie sprawę, że Traveller musiał poderwać statek, żeby uniknąć spotkania z potworem.

Kiedy wznosiliśmy się nad księżycowym chaosem, dostrzegłem, że większa bestia całkowicie pokryła naszą – po czym nagle i brutalnie opuściła swoje kolumny. Kamienne odnóża soczewki, na której przebywaliśmy, zostały roztrzaskane i kawałki skał potoczyły się po powierzchni Księżyca; obie soczewki runęły także, rozbite na tysiące mniejszych kamieni. Ale to nie był koniec widowiska, rozczłonkowane soczewki poruszały się z nie-gasnącą żywotnością – zauważyłem kamienne macki wijące się przez gruzowisko, łączące się ze sobą w nowe całości. Zadałem sobie pytanie, czy to nie jakiś rodzaj lunarnej parzenia się. Wzbijający się kurz zasłonił mi widok.

W miarę jak unosiliśmy się coraz wyżej, ogarniałem wzrokiem coraz dalsze połacie księżycowego krajobrazu i uświadomiłem sobie, że niesamowite splecenie się było tylko jednym z tysiąca; oto bowiem oglądałem tysiące podobnych manewrów, połączeń i koszmarnych uczt!

W końcu odsunąłem się od otworu i zamknąłem włącz, zasłaniając widok malejącego Księżyca. Leżałem na wibrującym metalu, chciwie wciągając w płuca rzadkie powietrze.

Rozdział 11

Dyskusja naukowa

Nie pamiętam momentu wyłączenia silników; musiałem unosić się bezwolnie w mojej metalowej trumnie przez dobrych kilka minut. W końcu zacne ręce łagodnie wyciągnęły mnie z szafy i zdjęły hełm. Ocknąłem się nadal w kombinezonie i miedziany kołnierz nadal uwierał mnie w kark, ale głowę miałem wolną i wdychałem o ileż słodsze, świeże powietrze saloniku.

Okrągłe oblicze Holdena wisiało nade mną, wyrażając autentyczne przejęcie, i złapałem go za ramię.

–Holden! Wyszliśmy cało? Wzlecieliśmy w przestrzeń?

–Tak, przyjacielu...

–Oczywiście! – zawarczał Traveller zza pleców Holdena. - Gdybyśmy nie wzbili się w przestrzeń, czy fruwalibyśmy po saloniku? Może dosypaliśmy opium do rur dostarczających powietrze, co? Wielka szkoda, że podczas wyprawy nie udało ci się nic a nic zmyśleć, mój chłopcze... – Sir Josiah utkwiał wzrok we mnie i chociaż starał się to ukryć, zza surowej miny przebijała autentyczna radość na widok mojego przebudzenia. Przyznaję, że pochlebilo mi to i sprawiło nie lada przyjemność.

Ale Holden odwrócił się i rzekł:

–Na Boga, Traveller, dajże pan wreszcie spokój! Ten chłopiec przeszedł istny koszmar, żeby nas uratować, a pana tylko stać na...

–Holden. – Pohamowałem go, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Nie trudź się. Sir Josiah nie zamierzał sprawić mi przykrości. On po prostu taki jest.

Holden zrozumiał, co miałem na myśli, i na razie zagryzł zęby, chociaż pasował się ze sobą i wyraźnie pragnął kontynuować poruszoną kwestię, ja natomiast w ciągu następnych dni dostrzegłem, że jego stosunek do Travellera wyraźnie ochłodził. Zmiany tej dowiodły tysiące nawet trywialnych wypowiedzi.

Zapewne nie chciał mieć nic wspólnego z osobnikami, których podejrzewał o fantastyczne poglądy, bez względu na ich osiągnięcia.

Dostałem czystego, rozgrzewającego rosółu wołowego. Następnie mogłem po raz pierwszy od kilku dni zażyć kąpieli; i tak stałem się pierwszym człowiekiem, któremu dane było zakosztować przyjemności umycia się księżycową wodą! Trochę się niepokoiłem, kładąc się w wannie, woda ta mogła bowiem zawierać jakieś nieznanne

elementy, nieprzyjazne ludzkiemu życiu! Ale kiedy została już przepuszczona przez układy filtrujące „Faetona”, wyglądała, pachniała i nawet smakowała jak zwykła deszczówka używana do picia lub nawadniania ogrodu. Poza tym Traveller zapewnił mnie, iż przeprowadził serię testów chemicznej natury, zanim uznał, że dostarczony przeze mnie płyn nadaje się do mycia i spożywania przez ludzi.

W końcu spocząłem na znajomym siedzeniu strapontenu. Byłem rozgrzany, wykąpany i ubrany w moją kombinację oraz szlafrok kąpielowy Travellera. W jednej ręce trzymałem wielką banię najstarszego koniaku gospodarza, a w drugiej wyborne pachnące cygaro. Ogarnęła mnie niezwykła duma z racji moich wyczynów – teraz, kiedy spoczęły już bezpiecznie w księżde przeszłości. Holden i Traveller usiedli wraz ze mną, a także Bourne, który zachował zwykłe, pełne urazy i dystansu milczenie. Stoicki i nieporuszony Pocket zajął się zaległymi stosami brudnych naczyń.

–A więc panowie mieliśmy przygodę, co się zowie – zagailem.

Holden uniósł kielich i zatopił wzrok w rozmigotanej koniakowej głębinie.

–A jakże – powiedział. – I zupełnie nie taką, jakiej się spodziewaliśmy. Warunki, w których przebywaliśmy, całkiem nie przypominały ziemskich, lecz z drugiej strony Księżyc nie okazał się martwym, pozbawionym życia obszarem, jak przepowiadali niektórzy teoretycy.

–W rzeczy samej, natrafiliśmy na coś zupełnie nieoczekiwanego – zahuczał Traveller – coś, czego paradoksalnie bio-, i rąc, cały czas mogliśmy się spodziewać. Febiańskie formy ży-cia... gdyż tak proponuję je nazywać, po Febe, bogini Księżycy w dawnej Grecji, siostrze Apollina i córce Lety oraz Zeusa... w zupełności nie przypominają niczego spotykanego na Ziemi, zarówno jeśli chodzi o morfologię, jak i zdumiewający wigor.

–Sir Josiah, czy gdyby pokryta głazami strona Księżycy była zwrócona ku Ziemi, to nasi astronomowie zauważyliby gorączkową aktywność Febian? – spytałem.

–Z pewnością. Chociażby z racji zmiennego zabarwienia gruntu księżycowego i wzbijanych chmur pyłu. Jednakże winniśmy pamiętać, że pył w środowisku pozbawionym atmosfery nie ma się na czym utrzymać i po tym jak się podniesie, szybko opada. Sądzę wszakże, że obecnie Febianie zamieszkują wyłącznie Krater Travellera, niewidoczną stroną Księżycy. – Uniósł platynowy nos. – Ten fakt potwierdza z kolei skonstruowaną przeze mnie hipotezę, odnoszącą się do pochodzenia i natury, lunarnych bestii.

Jego wzrok z niezwykłym zainteresowaniem wędrował po suficie. W końcu napięcie stało się tak wielkie, że aż nieznośne. Nawet flegmatyczny Pocket doprowadzający do połysku swoje naczynia odwrócił się, oczekując dalszego ciągu wywodu.

–Jak brzmi ta pańska hipoteza, sir? – spytałem niecierpliwie.

–Przyjrzyjmy się faktom – powiedział z wolna Traveller, składając w daszek długie palce nad bańką z koniakiem. – Natrafiamy na te stworzenia w sercu ogromnego krateru – krateru, który, jak uważamy, powstał w wyniku eksplozji antylodu. Po drugie: Febianie osiągają niezwykłą masę i wprawiają ją w ruch z niesłychaną chyżością. Stąd wniosek, że bez względu na to, jakie organiczne maszyny napędzają te bestie... ekwiwalent serc, organów trawiennych, mięśni... muszą dysponować na zawołanie wielkimi zapasami wysoce skupionej energii...

–Więc sugeruje pan, że Febianie są stworami z antylodu – wtrącił podekscytowany Holden – który również charakteryzuje się wysokim nagromadzeniem energii...

–Bynajmniej – Traveller uciął z irytacją wypowiedź dziennikarza – i będę panu wdzięczny za nieprzerywanie mojego szeregu hipotez. Bo nawet głupiec – Holden skulił się – potrafi dostrzec, że teoria anty lodowa okazuje się nonsensem w świetle mojej ostatniej obserwacji: te stwory spoczywały w uśpieniu przed naszym przybyciem! Panie Holden, jeśli napędzałyby je uwalniana energia antylodowa, to dlaczego, na Boga, nie przemieszczają się nieustannie po Księżycu?

Pochyliłem się w przód.

–Tak więc to nasze przybycie doprowadziło do tego wybuchowego wzrostu, sir Josiah?

–Och, dobry Boże, oczywiście, że nie – skarcił mnie ostro Traveller, lekceważąc mój status bohatera. – Trudno mi sobie wyobrazić, żeby nasze przypadkowe przybycie wystarczyło do obudzenia tysiąca żywych gór! W oczach Febian byliśmy czymś równie znaczącym jak bezzębna pchła w oczach psa. Nie, erupcje Febian zbiegły się przypadkowo z naszym przybyciem, a ten przypadek polegał na tym, iż wybrałem lądowisko w pobliżu terminatora. *[[przyp – Linia graniczna między oświetloną i nie oświetloną przez Słońce częścią ciała niebieskiego.]]

–Ach. – Holden pokiwał głową. – Chce pan powiedzieć, że sprowadził pan „Faetona” podczas zachodu Słońca. I sugeruje pan, że Febianie tylko wtedy budzą się ze snu.

–Więcej niż sugeruję – powiedział sztywno Traveller. – Podczas startu poświęciłem dobrą chwilę teleskopowej obserwacji powierzchni. Na dziennej półkuli nie widać śladu ruchu w już dostrzeżonej przez nas skali. Ale ciemna strona to jeden wielki obszar zawirowań, kiedy Febianie krążą wokół siebie w skomplikowanych układach tanecznych.

–Fascynujące spostrzeżenie – zauważyłem sucho. Nie uszło mej uwagi, że Traveller podczas startu dokończył kilka naukowych obserwacji, nie trapiąc się bynajmniej o moje życie i zdrowie. Cóż za ulga wiedzieć, że statek pilotuje tak opanowany mąż! –

Ale czym wyjątkowym odznacza się księżycowa noc, sir Josiah?

–W trakcie długiego lunarnego dnia temperatury na obszarach poddanych swobodnemu operowaniu Słońca muszą osiągać setki stopni w skali Celsjusza – stwierdził Traveller. – A podczas dwutygodniowej nocy nic nie zatrzymuje ciepła i żar równomiernie ulatuje w przestrzeń, przez co temperatura terenu opada prawie do zera absolutnego. Przypominam wam, że antylód wykazuje niejedną, ale dwie niesłychane i nietypowe własności. Niektóre jego elementy mają skłonność wybuchowego łączenia się ze zwykłą materią. Lecz jest też fenomen nadprzewodnictwa zaobserwowany przez lorda Maxwella i innych. Nadprzewodnictwo zależy od temperatury; spróbujcie podgrzać blok antylodu i nadprzewodnictwo znika, jak również magnetyczne ściany trzymające w ryzach antysubstancję i... buum! – Przy ostatniej sylabie uderzył metalowym nosem o kielich z koniakiem, tak że rozległ się przenikliwy brzęk; wszyscy podskoczyliśmy – nawet pozornie obojętny Bourne. Traveller kontynuował: – Oczywiście, na tej zasadzie opiera się budowa wszystkich naszych maszyn antylodowych.

–Chyba rozumiem – powiedział z wolna Holden, zwiężając oczy. – Sugeruje pan, że Febianie są istotami, których krążenie krwi opiera się na zasadzie nadprzewodnictwa. Lecz ta właściwość występuje jedynie w niskich temperaturach; wystarczy, że zrobi się zbyt gorąco i nadprzewodnictwo zanika.

–Właśnie – przytaknął Traveller. – Febianie muszą spać podczas lunarnego dnia. Gdy pierwszy cień nocy budzi ich bezwolne układy krwionośne, nabierają wigoru i z całą gwałtownością zajmują się swoimi sprawami. Lecz zaraz nadciąga świt i żyły Febian znów się zatykają. Słońce usypia ich i czekają na kolejną noc. Zwróćcie przy tym uwagę, że pola magnetyczne, o których mówimy, są niesłychanie silne – o wiele silniejsze niż wytworzone na Ziemi wszelkimi dostępnymi nam sposobami. Zaryzykowałbym twierdzenie, że decydują o niezwykłych cechach Febian, ich sile i szybkości wzrostu.

Holden pokiwał głową.

–To brzmi sensownie, sir Josiah. Tylko pomyśl, Ned! Jak by to było, gdybyśmy za dnia spoczywali we śnie, a potrafili funkcjonować jedynie w mroku nocy?

Rozważyłem tę wizję i rzekłem:

–Po prawdzie, paru moich przyjaciół tak właśnie żyje. Być może mają za przodków Febian.

–Przypuszcza pan, że działalność Febian ogranicza się do Krateru Travellera... – powiedział Holden.

–Tak. Jak doskonale wiecie, fenomen nadprzewodnictwa zaobserwowano jedynie w

substancji nazywanej antylodem. Stąd uważam, iż oglądane przez nas formy życia zostały przyniesione na Księżyc przez kometę lub meteor z antylodu. Zapewne te wybuchające ciała niebieskie doprowadziły do powstania owych niezwykle wielkich formacji.

–Intrygująca teoria – rzekłem, pociągając łyk koniaku – ale czy takie ogromne i skomplikowane pod względem budowy stworzenia przeżyłyby eksplozję?

–Stosunkowo inteligentne pytanie – ocenił moją wypowiedź bez cienia ironii Traveller. – Zapewne nie. Ale możemy spekulować, że Febianie wyłonili się z prostszych drobnoustrojów, może zarodków, na tyle odpornych, że przeżyły zderzenie z Księżycem. Niewykluczone, że przy ich tempie wzrostu i aktywności opanują widoczną z Ziemi stronę Księżyca w ciągu kilku stuleci.

To nie wzbudziło we mnie radości.

–Bogu niech będą dzięki, że te zwierzęta nie mogą daleko podróżować, na przykład na naszą Ziemię. – Zadygotałem, wyobrażając sobie wielkie skalne odnoża wyrastające z zielonych wzgórz Anglii.

–Może – powiedział Traveller. – Ale pomyśleć, jakie szansę badań naukowych otworzyłaby przed nami taka inwazja!

–Jeśli pozostałby ktoś, żeby je podjąć – rzekł Holden.

–Należy żałować, że zapasy antylodu są tak bardzo skromne i z góry przeznaczone do innych przedsięwzięć – rzekł Traveller. – Gdyby nie to, można by przygotować kolejną ekspedycję na Księżyc, kiedy już powrócimy na Ziemię. Być może miną wieki, zanim uda się potwierdzić teorie, które tu rozwinąłem. Na przykład, wielce prawdopodobne, że nie dowiemy się nigdy, czy lód zebrany przez Edwarda jest pochodzenia księżycowego, czy też przyniesiony przez kometę antylodową, a może to odchody Febian.

Bourne uśmiechnął się szyderczo.

–Jakie to smutne dla was, Anglików, że zostajecie odcięci od waszej najnowszej kolonii. Moglibyście nauczyć Febian, jak mają pozdrawiać waszą flagę albo jak stworzyć parlament. Czy nie takimi naukami uraczyliście nieszczęsnych Hindusów?

Rozśmieszyło mnie to, ale Holden zjeżył się i rzekł:

–A wy, Francuzi, moglibyście zapoznać ich ze sposobami przeprowadzania rewolucji. Są na tyle bezmyślni i niszczyielscy, że na pewno to by się im spodobało.

–Panowie, proszę... – powiedziałem. – To nie chwila na tego rodzaju utarczki. –

Spojrzałem wyczekująco na Travel-lera. – Sir Josiah, wspomniał pan o naszym powrocie na Ziemię. A więc jesteśmy uratowani, prawda?

Traveller uśmiechnął się do mnie wcale ciepło i wskazał na luk w suficie saloniku.

–Sam się przekonaj.

Rozpiąłem pasy, oddałem Pocketowi niedopałek cygara, żeby się nim zajął, i zostawiłem kielich z koniakiem w powietrzu. Następnie nadal w szlafroku kąpielowym podskoczyłem do luku i przedostałem się na mostek.

Olśniewał zjawiskową urodą; rozliczne zegary i inne wskaźniki lśniły w słabym żółtym blasku zwojów Ruhmkorffa jak rozjaśnione blaskiem świec oblicza kolędników; a całość była skąpana w łagodnym niebieskim świetle, świetle Ziemi, wiszącej wprost nad szklaną kopułą dachu.

Wpatrywałem się w tę cudowną wyspę wody i chmur i w migoczącą iskierkę Małego Księżyca, który unosił się nad oceanami, i chociaż wiedziałem, że mamy przed sobą jeszcze wiele dni podróży, każda mijająca chwila przybliżała mnie do domu i świata ludzkich spraw, z którego zostałem wyrwany; świata wojny – i miłości.

Wpatrywałem się w naszą planetę, aż wydało mi się, że rozmigotane oceany odbijają blask łagodnych oczu Françoise, moich latarni nadziei.

Rozdział 12

Powietrze Anglii

Josiah Traveller sprowadził „Faetona” z powrotem do Anglii 20 września 1870 roku.

Inżynier powoził sponiewieranym pojazdem powietrznym, wiodąc go przez ognie atmosfery, wichury okrążające wysoko nasz glob i w końcu przez morderczą burzę. Jeszcze na milę od Ziemi kuliliśmy się na strapontenach, obserwując z lękiem przez bulaje ogniste miecze wyskakujące z chmur. Wydawało się wtedy, że nasza droga ku Ziemi wiedzie przez piekło.

W końcu „Faeton” osiadł z podskokiem na miękkim rżysku gospodarstwa wiejskiego w Kencie, wyczerpawszy prawie cały zapas cennej wody. Rakiety ucichły po raz ostatni i w saloniku, który tak długo był naszą całą więzienną, zapanowało milczenie. Pocket, Holden i ja wpatrywaliśmy się w siebie, podminowani. Usłyszeliśmy łagodne westchnienie powietrza Anglii muskającego kadłub statku, a kiedy dotarło do nas, że w końcu jesteśmy w domu, zaczęliśmy krzyczeć jak ludzie niespełna rozumu.

Francuz łkał, zakrywając twarz. Zauważyłem to i pod wpływem dziwnej sympatii, którą poczułem do nieszczęśnika, zamierzałem pocieszyć go kilkoma ciepłymi słowami. Ale krew tętniła mi żywo na myśl, że powróciłem do rodzinnego kraju, co przez większą część naszego zdumiewającego lotu poza atmosferę po prostu nie mieściło mi się w głowie. Tak więc odrzuciłem krępujące pasy, wciąż wydzierając się jak bałwan, wstałem i...

...i padłem na podłogę jak skoszony pięścią awanturnika. Nie powalił mnie jednak nikt obcy, lecz własny ciężar!

Nogi ugięły się pode mną, jakby były z papieru, a twarz została nieprzyjemnie rozprasowana o pokład. Uniosłem się na rękach drżących z wysiłku i wsparłem plecami o ścianę.

–Niech to licha, panowie, ta grawitacja potrafi dać w kość.

Holden skinął głową.

–Traveller ostrzegał nas o wyniszczających właściwościach braku ciężenia.

–Tak, ale na co przydały się nam te wszystkie paskudne ćwiczenia. Wybierać się na Księżyc z hantlami! No, ciekaw jestem, jak sam wielki człowiek radzi sobie z tym zapomnianym ciężarem... – Ale Holden zawstydził mnie, przypominając, że Traveller jest starcem, który nie powinien wysilać swego serca. Tak więc to ja poczołgałem się

niczym osłabione dziecko do wielkiego włazu w ścianie saloniku.

Z ogromnym wysiłkiem przekręciłem właz i otworzyłem go kopnięciem.

Powiew chłodnego powietrza, esencja angielskiego jesiennego popołudnia, wtargnął do statku. Słyszałem, jak Holden i Pocket pełnymi haustami wciągają świeży tlen. Nawet Bourne ocknął się z rozpaczy i przestał szlochać. Leżałem na plecach i wdychałem cudowne powietrze, czując, jak krew żywiej krąży mi w policzkach, szczypanych chłodem.

–Ależ zaduch panował w tym statku! – zawołałem.

Holden oddychał głęboko, pokasłując.

–Układ chemiczny Travellera to naukowe cudo. Ale muszę się z tobą zgodzić, Ned. Powietrze w tym pudełku stawało się coraz smrodliwsze.

Usiadłem i przesuwałem się po podłodze, aż wypuściłem nogi nad dziesięciostopową przepaścią, dzielącą nas od czarnej gleby Kentu. Ogarnąłem wzrokiem pola, żywopłoty i warkocze dymów z chat.

Spojrzałem w dół, zadając sobie w duchu pytanie, jak zejdziemy na ziemię – i napotkałem wzrokiem wytrzeszczone oczy wieśniaka. Miał na sobie podniszczony, ale schludny tweedowy garnitur, sięgające kolan zabłocone buty i słomkowy kapelusz.

W dłoniach obronnym gestem trzymał wielkie widły. Kiedy wpatrywał się w nasz niesamowity statek, rozdziawił usta, odsłaniając zniszczone uzębienie.

Machinalnie poprawiłem krawat i pomachałem mu dłonią.

–Dobry wieczór, sir.

Cofnął się trzy kroki, uniósł wyżej widły i opuścił niżej szczękę.

Podniosłem ręce i posłałem mu mój najlepszy uśmiech dyplomaty.

–Sir, jesteście Anglikami. Nie musi się pan niczego bać, mimo że przybyliśmy tu w tak niecodzienny sposób. – Należało w końcu błysnąć skromnością. – Niewątpliwie słyszał pan o nas. Należę do grupy sir Josiaha Travellera, a to jego „Faeton”.

Przerwałem, oczekując natychmiastowego rozpoznania – z pewnością byliśmy przedmiotem spekulacji prasowych od czasu naszego zniknięcia – ale zacny wieśniak tylko nachmurzył się i wyjąkał jedno słowo. Jak zrozumiałem, było to:

–Czego?

Zacząłem wyjaśnienia, ale zabrzmiały fantastycznie nawet w moich uszach i rolnik jedynie bardziej się nasrożył, a jego podejrzliwość wzrosła. Tak więc w końcu się poddałem.

–Sir, pozwolę sobie podkreślić taki oto fakt: jest nas czterech Anglików i Francuz i niezwykle liczymy na pańską pomoc. Wbrew temu co sugeruje moja młodość i zdrowy wygląd, nie mogę nawet utrzymać się na nogach, a to z racji zdumiewających doświadczeń, które przeszedłem. Dlatego proszę pana jak chrześcijanin chrześcijanina o udzielenie nam pomocy.

Czerwone jak jabłuszko oblicze wieśniaka było obrazem nieufności. Ale w końcu po wielu pomrukach i narzekaniach na spalenie akrów rżyska zniżył widły i podszedł do statku.

Nazywał się Clay Lubbock.

Potrzebował pomocy dwóch najsilniejszych synów, aby zabrać nas ze statku. Posłużyli się linami i ześliznęliśmy się z jednej pary mocarnych ramion w drugą. Potem załadowano nas na wóz i owiniętych derkami zawieszono na farmę. Nasz środek lokomocji wyczyniał najdziwsze podskoki na nierównym gruncie i Traveller trzęsącym się głosem zwrócił uwagę na ironię losu, który doprowadził do dramatycznej nierówności używanych przez nas technologii. Lecz wygląd inżyniera – chudość i kruchość postaci, śmiertelna bladość oblicza – zaprzeczał żartobliwemu tonowi, tak że nikt nie przyłączył się do kpin.

Chłopi w milczeniu i zafascynowani studiowali wzrokiem jego platynowy nos.

W domu przywitała nas pani Lubbock, prostoduszna, siwa niewiasta o potężnych, owłosionych ramionach. Bez żadnych pytań i jak-się-macie oceniła nasz stan byстрыm okiem nabywcy żywego inwentarza i mimo protestów Travellera usadziła nas opatulonych przed huczącym kominkiem i zmusiła do wypicia tęgiego rosółu z kury. Tymczasem Lubbock zaprzęgnął najszybsze konie i pojechał ogłosić wieść o naszym powrocie.

Traveller żartował z tego życzliwego aresztu domowego, protestując, że nie jest wcale niesprawny i ma pracę do wykonania. Niecierpliwił się, chcąc dotrzeć jak najszybciej na stację telegrafu i zapoczątkować działania, które pozwoliłyby przetransportować poblížnionego „Faetona” do Surrey, gdzie miał swój dom. Holden go uspokoił.

–Ja też pragnę jak najszybciej znaleźć się na łonie cywilizacji – powiedział. – Niech pan pamięta, jestem dziennikarzem. Moja gazeta i inne pisma winny mnie sowicie wynagrodzić, kiedy zgrabnie opiszę naszą wyprawę. Ale, sir Josiah, zdaję sobie sprawę z mego wyczerpania. Kiedy tylko świat dowie się o naszym powrocie, zaleje

nas hurma ciekawskich. Los poddał mnie próbom nieporównywalnym w historii człowieka i teraz ledwo mam siłę dźwignąć łyżkę z zupą. Tak więc z wdzięcznością przyjmuję miłą opiekę pani Lubbock i szansę powrotu do sił. I pan też powinien na to przystać, sir Josiah!

Traveller nie godził się z tą linią rozumowania, ale nie pozostawało mu nic innego, jak ustąpić; tak więc zostaliśmy oddelegowani na twarde prycze w sypialenkach rozrzuconych po domostwie Lubbocków. Holden przekonał farmera, żeby postawił jednego z synów w charakterze strażnika przed oknami nieszczęsnego Bourne'a; uznałem to za objaw małości charakteru żurnalisty, ponieważ trudno było podejrzewać, żeby Francuz w swym obecnym stanie znalazł siły, aby bryknąć przez okno i pognać w te pędy polami.

Leżałem na moim wyrku, czekając na sen przy otwartym oknie, przez które wpływało świeże powietrze jesieni. Pomyślałem, że mimo niewygód tego świata (na przykład twardości materaca, który w najmniejszym stopniu nie pomagał mi przystosować się do ziemskiej grawitacji) jego zalety – zapach drzew rosnących tuż za oknem, odległy szmer kołysanego wiatrem żywopłotu, szorstki dotyk pośłania na twarzy – sprawiały, że myśl o tym, aby kiedykolwiek jeszcze opuścić Ziemię, była mi wstrętą.

Rano obudziło mnie uśmiechnięte słońce i rześki dotarłem nawet bez pomocy do miednicy z wodą. Travellera zastałem przy kuchennym stole Lubbocków; siedział na starym fotelu zaopatrzonym w koła, odziany w szlafrok, i wcinał z apetytem całą patelnię sadzonych jaj na bekonie. Przed nim leżał stos gazet i chłonał go równie łapczywie jak jedzenie. Mimo zacisznego ciepła, promieni słońca kładących się ukośnie na podłodze i mrugających na wypolerowanym piecu, oblicze inżyniera przepełniał taki ogrom zgryzoty i gniewu, że czegoś podobnego nigdy do tej pory nie widziałem. Kiedy jeden z młodych Lubbocków pomógł mi wejść do kuchni, inżynier podniósł wzrok i powiedział:

–Edwardzie, nic dziwnego, że nasz gospodarz był w najwyższym stopniu poruszony naszym przybyciem. Daliśmy niezły popis próżności, oczekując, iż nasze zniknięcie wzbudzi chociaż odrobinę zainteresowania – teraz, gdy cała Europa jest rozdarta!

Poruszony jego słowami sam zacząłem wertować przyżółkłe dzienniki. Najstarsze wyszły kilka dni przed ósmym sierpnia, datą naszego startu. Najwyraźniej Lubbock zbierał prasę na wy-ściółkę kojców dla kurcząt. Ogólnie biorąc, nasze sensacyjne zniknięcie zbladło w obliczu poważniejszego wydarzenia – aktu sabotażu na „Księżciu Albercie” – i ogólnie przyjęto, że nie żyjemy, zabici podczas wybuchu poprzedzającego napaść. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że nie udało się odzyskać „Alberta” z rąk porywaczy – sabotażystów czy też *franc-tireurów*. Zdołano ustalić jedynie tyle, że nadal błąka się po polach Belgii czy też północnej Francji, jak zbiegłe zwierzę! Akcję *franc-tireurów* wiązano z atakami na inne własności brytyjskie,

w ojczyźnie i za granicą. Zastanawiałem się po cichu, czy przypadkiem to nie Francuzi odpowiadają za próbę zniszczenia napowietrznej kolei w Dover, czego świadkiem byliśmy z Holdenem.

Oczywiście nie było słowa o Françoise Michelet lub innych uwięzionych pasażerach fatalnego liniowca i mimo rozkoszy poranka w Kencie czułem, jak serce mi zamiera, kiedy przebiegałem wzrokiem suche gazetowe relacje.

Traveller dostrzegł mój upadek ducha i spytał, co szczególnie wprawilo mnie w takie przygnębienie. Zacinając się – Josiah Traveller nie był bowiem wyrozumiałym słuchaczem – opisałem Françoise; nasze spotkania i natychmiastowe wrażenie, które na mnie wywarła. Kiedy mówiłem, poczułem, że krew uderza mi do twarzy, gdyż to, co w skrytości ducha uważałem za niebiańskie uczucie, opowiadane w jasno rozświetlonej wiejskiej kuchni nabrało znamion głupiego zadurzenia.

Traveller wysłuchał mnie do końca bez słowa komentarza.

–Ta dziewczyna robi wrażenie *franc-tireura*, Likers – oświadczył ze spokojem. Wstrząśnięty usiłowałem zaprotestować, ale kontynuował: – A kogóż innego, jeśli tak przyjaźniła się z tym łajdakiem Bourne'em? – Pociągnął nosem. – Jeśli się nie mylę, nie powinieneś więcej się nad nią użalać, Edwardzie. Jest w miejscu, które sama sobie wybrała. – Z tymi słowami powrócił do lektury, zostawiając mnie samemu sobie. Byłem zdruzgotany.

Ale nawet w tamtym momencie pierwszego wstrząsu zdałem sobie sprawę, że Traveller może mieć rację. To, co rzuciło się w oczy Holdenowi i nawet mnie – fascynacja zagadnieniami inżynieryjnymi, gniewne zaangażowanie w politykę – zgadzało się z hipotezą Travellera, wskazując na o wiele bardziej skomplikowaną dziewczynę, którą wyidealizowałem w myślach i której słodką buzię wyobrażałem sobie, mknąc w międzyplanetarnej przestrzeni. \

Chciałem przekląć Travellera za podsunięcie mi takich sugestii, ale przede wszystkim przeklinałem siebie za głupotę. Niemniej jednak nie byłem pewien, co naprawdę myśleć. A najbardziej dręczył mnie fakt, że utraciwszy Françoise w rozerwanej wojną Francji, mogłem nigdy się nie dowiedzieć, jak wygląda prawda.

Dręczony niepewnością skierowałem uwagę na gazety. Po szybkiej lekturze skleciliśmy z Travellerem historię konfliktu, tak jak relacjonował ją Londyn po naszym pośpiesznym starcie.

Wojna z Prusakami okazała się katastrofą dla Francji. Czytając wstrząsające opisy przegranych bitew nie chciałem wierzyć, że Francja, kraj o długich tradycjach wojskowych, dumnym dziedzictwie i przykładowo zorganizowanej armii, załamała się tak nikczemnie w obliczu bismarckowskiego najazdu. Można by pomyśleć, że cała

sztuka wojenna Francuzów sprowadzała się do miotania się dwóch marszałków – Bazaine’a i MacMahona – po polach i wsiach Francji, szukania pozycji obronnych i siebie nawzajem, i od czasu do czasu przegrywania potyczek z Prusakami.

Mniej więcej w okresie naszego wymuszonego startu Napoleon III wyruszył z Paryża do Chalons, mianując Bazaine’a dowódcą Armii Renu.

Kilka dni później Bazaine, obawiając się okrążenia przez szybko zdobywających teren Prusaków, wycofał się na zachód poza Mozę. Lecz że w pobliżu Metz napotkał dwa niemieckie korpusy, w końcu nie uniknął okrążenia; podczas gdy siedzieliśmy w naszym spokojnym gospodarstwie, czytając prasę, oddziały Bazaine’a pozostawały w Metz, oblegane przez co najmniej dwieście tysięcy pruskich żołnierzy.

I taki był los połowy wstawionej francuskiej armii. Jeśli zaś chodzi o jej resztę, to instynkt podpowiadał MacMahonowi, że powinien trzymać się Paryża, służąc stolicy za tarczę, ale opinia publiczna, poruszona gwałtem zadany *patrie*, zmusiła go do agresywniejszych poczynań i wyruszył na Metz, licząc na połączenie się z Bazaine’em.

Niemcy, dowodzeni przez przebiegłego Moltkego, dokonali podziału sił. Część pilnowała Bazainesa, podczas gdy reszta wyruszyła na spotkanie MacMahona. Siły francuskie wyczerpane forsownym marszem dostały się w okrążenie pod Sedanem. Sam MacMahon został ciężko ranny i francuskie dowództwo uległo paraliżowi.

Regularna armia przestała istnieć. Oddziały w sile stu tysięcy żołnierzy, dysponujące co najmniej czterystu działami, dostały się do pruskiej niewoli.

Drugie cesarstwo Francuzów ogarnął chaos. Sam Napoleon III poddał się Prusakom. W stolicy powstał Rząd Obrony Narodowej pod przywództwem generała Trochu, gubernatora Paryża. Tymczasem dwie pruskie armie zbliżały się do serca Francji.

Kiedy lądowaliśmy na polach Kentu, Paryż, miasto, z którego sześćdziesiąt lat temu Bonaparte rządził całą Europą, był oblegany przez Prusaków. Mógł jedynie liczyć na odsiecz ze strony Bazaine’a, lecz ten pozostawał w Metz, a po Londynie krążyły plotki, iż zapasy francuskiego marszałka są na ukończeniu. Tymczasem, jak to było do przewidzenia, Prusacy triumfowali i szerzyły się fantastyczne spekulacje o zamierzeniach kajzera, szykującego się, by odebrać paradę wojsk w podbitym Paryżu.

Drżącymi dłońmi odłożyłem, ostatnią gazetę.

–Dobry Boże, sir Josiah! Ależ zdumiewające parę tygodni nam umknęło! To upokorzenie będzie piekło sumienia każdego Francuza przez dobrych kilka pokoleń. Zawsze była z nich kupa zapaleńców – wystarczy spojrzeć na Bourne’a. Jestem przekonany, że stan wojny między Francuzami a ich niemieckimi kuzynami utrzyma

się przez wieki.

–Może. – Traveller rozparł się wygodnie na fotelu, chude dłonie złożył na brzuchu i wpatrywał się niewidzącymi oczami w zakurzone okna wiejskiego domu. Kiedy słońce prześwietliło siwe kosmyki włosów unoszące się nad czaszką, robił wrażenie równie starego i kruchej jak w tamtym strasznym momencie, kiedy wydawało się nam, że nawet Księżyc nas nie uratuje. – Ale nie wieczność mnie interesuje, tylko chwila obecna.

–Co pana gnębi?

–Pomyśl, chłopcze – parsknął, okazując ślad dawnej irytacji. – Ponoć jesteś dyplomatą. Prusacy zgnębili Francję. Z pewnością nawet stary lis Bismarck nie przewidział tak korzystnego obrotu spraw – który jedynie przyspiesza realizację jego głównego celu.

–Jakiego celu?

–Czy to nie oczywiste? – Przyjrzał mi się ze znużeniem. – Ależ rzecz jasna chodzi o zjednoczenie Niemiec. Czy można lepiej prośbą i groźbą przekonać niemieckie książątka do politycznego zjednoczenia niż wskazując im wspólnego wroga? I czy może być cudowniejszy wróg niż nienawistna Francja Robespierre’a i Bonapartego? Przepowiadam, iż nie minie rok, a będziemy świadkami utworzenia nowych Niemiec. Ale nowe Niemcy nie będą, oczywiście, niczym innym jak powiększonym cesarstwem pruskim, bo jeśli ci marni bawarscy książęta myślą, iż ta triumfująca purchawa, Bismarck, odda im chociażby pół złamanego krzesła w swoim gabinecie, to się gorzko mylą.

Skinąłem z namysłem głową.

–Tak więc równowaga sił jest zdruzgotana; ta zasada, która! przetrwała od kongresu wiedeńskiego...

–Zasada, o której utrzymanie Wielka Brytania walczyła od dnia jej sformułowania. – Zabębnił palcami o blat. – Nie oszukujmy się, Ned. Rząd brytyjski ma głęboko w nosie to, czy Prusacy spustoszą Paryż ogniem swoich dział, ponieważ w mniemaniu Brytyjczyków Francuzi są opanowani przez dwa bliźniacze demony: rewolucji i ekspansji militarnej. A absurdalne ataki *franc-tireu-rów* na brytyjskie cele w rodzaju kochanego, starego „Alberta” bynajmniej nie poprawiają tego nastawienia. Ale Whitehall *[[przyp – Nazwa gmachu w centrum Londynu, siedziby rządu.]] ze zgrozą przyjmie powstanie nowych Niemiec. Od dawna jednym z kierunków brytyjskiej polityki zagranicznej było nie dopuścić do powstania mocarstwa, które zdominowałoby Europę Środkową.

Zmarszczyłem brwi, czując niesmak wobec tak cynicznego zdefiniowania naszych

celów – tym bardziej że trudno było nie oklaskiwać rozwiązań natury pokojowej.

–Proszę mi powiedzieć, czego się pan obawia, sir – spytałem wprost.

Kościste palce zabębniły głośnie.

–Edwardzie, do tej pory Brytyjczycy trzymali się z dala od tej cholernej wojny Bismarcka. I całkiem słusznie na dodatek. Ale ile czasu musi upłynąć, nim poczują, że ich interesy są na tyle zagrożone, iż muszą interweniować?

Przemyślałem te słowa.

–Ale przecież armia brytyjska, choć najświetniejsza na świecie, nie ma wyposażenia niezbędnego do stworzenia frontu w Europie Środkowej. Nigdy go nie miała. Poza tym wielu naszych żołnierzy i oficerów jest rozproszonych po całym świecie, służąc jego królewskiej mości w koloniach. Pan Gladstone z pewnością nie skazałby nas na zagraniczne przedsięwzięcie pozbawione szans powodzenia.

–Gladstone. Stary Gladstone Szelmowskie Oko. – Roześmiał się bez wesołości. – Zawsze uważałem go za pompatycz-nego osła, który nie dorasta do pięt Disraelemu pod względem sprytu czy inteligencji. Oczywiście reformy wyborcze Disraelego z sześćdziesiątego siódmego sprowadziłyby katastrofę na kraj... Kto wie, jakich rozmiarów? Z pewnością przemysł nie zyskałby przysługującego mu głosu w sprawach wagi państwowej, być może nadal utrzymana byłaby ta idiotyczna sytuacja z Londynem jako stolicą! Śmiechu warta myśl. Tak więc być może to i dobrze, że pokiereszowany Dizzy przeszedł do rezerwy, i zajął się swoimi dziwacznymi literackimi przedsięwzięciami... choć jakoś brakuje mi faceta. Miał klasę. Może to jednak błogosławieństwo, że stary Gladstone steruje nami w tej godzinie, bo jak mówisz, on i jego banda zniewieściałych wigów z pewnością ani myślą wplątywać nas w jakąś absurdalną awanturę... A jeśli wierzyć plotkom, woli już raczej wyprawy do Soho niż Sedanu. *[[przyp – Soho to londyńska dzielnica uciech.]]

Ten pozbawiony szacunku przytyk wzbudził mój zduszony śmiech.

–Więc być może Gladstone nie wplącze nas w wojnę w Europie – ciągnął Traveller.
– Ale ma... inne możliwości.

–Co pan ma myśli, sir Josiah?

Pochylił się, składając ręce na stole.

–Edwardzie, przypomnij sobie doświadczenia twojego brata na Krymie.

Przez chwilę nie pojmowałem kompletnie tych mrocznych słów, niosących grozę i lodowaty chłód otwartego grobu w samym środku jasnego wiejskiego przedpołudnia,

ale nagle, w jednej chwili, zrozumiałem, co znaczą, i przeżyłem wstrząs.

–Dobry Boże, Traveller.

Oczywiście, sugerował, że armia brytyjska może znów użyć broni antylodowej. I tym razem nie gdzieś na dalekim półwyspie południowej Rosji o dziwacznej nazwie, ale w samym sercu Europy.

Wlepiałem oczy w jego twarz, chcąc się przekonać, że źle go zrozumiałem, lecz ponure rysy zdradzały jedynie straszliwy lęk i ogromny gniew.

–Broń antylodowa może zdziesiątkować pruską armię w jednej chwili – powiedział. – I Gladstone o tym wie. Bismarck z pewnością wszczał wojnę, stawiając na tę kartę, że Brytania nie zechce się mieszać w europejskie kłótnie, ale presja na Gladstone'a musi rosnąć z każdym dniem. Trudno się dziwić. Antylód daje niebywałą przewagę w starciu.

Patrzyłem, jak strach i gniew walczą w Travellerze i zdawałem sobie sprawę, z jaką niechęcią ten szorstki, ale w głębi ducha łagodny człowiek myśli o pracy nad narzędziami zniszczenia. Kierowany impulsem złapałem go za rękaw.

Charytatywna działalność G. wśród prostytutek była uważana przez jego politycznych przeciwników za przykrywkę niezbyt budujących upodobań.

–Traveller, poprowadził nas pan na Księżyc i z powrotem. Ma pan niebywałą siłę. Wierzę, że nie pozwoli pan, aby wykorzystano pański geniusz do tego celu.

Ale moje słowa nie uspokoiły jego obaw i wrócił do kartkowania gazet, jakby szukał promyka nadziei w wyblakłych literach.

Naszej idylli nie było dane przetrwać dłużej niż kilka minut po zakończeniu tematu tamtej rozmowy. Pierwszy załomotał do drzwi Lubbocków burmistrz najbliższego miasteczka – którego nazwy jeszcze nawet nie poznaliśmy – i kiedy ogarniałem wzrokiem zwałistą postać tego dżentelmena, uwalaną błotem odzież i pusty uśmiech, zdałem sobie sprawę, iż jestem w ojczyźnie, i ku mojemu zaskoczeniu poczułem niemiły uścisk serca.

Zabrano nas z naszego zakątka Kentu. Mieliśmy niewiele czasu na pożegnanie. Może to i lepiej, gdyż czułem zdumiewającą więź z towarzyszami podróży. Nie posunąłbym się tak daleko, by twierdzić, że dręczyła mnie nostalgia za długimi tygodniami w „Faetonie”, ale pozbawiony towarzystwa mych kolegów czułem się całkiem bezradny.

Traveller niebawem rozgościł się w przyjemnej gospodzie, niedaleko pola Lubbocków, na którym spoczywał jego cenny „Faeton”, i z całą energią zajął się

transportem statku powietrznego do laboratorium w Surrey. Wierny Pocket błagał o kilkudniowy urlop, podczas którego mógłby odwiedzić ukochane wnuczęta i dać naoczny dowód swego istnienia. Po tym jak jego prośbom stało się zadość, powrócił do pracy, którą wykonywał jak zwykle z oddaniem, służąc swemu panu.

Natomiast Bourne został bezceremonialnie wywieziony pod ścisłą strażą z Kentu i wkrótce znikł w splątanej sieci międzynarodowego prawa. Zamieszanie wokół jego osoby – Brytyjczycy oskarżali go o sabotaż, Belgowie domagali się jego ekstradycji, oblegany rząd Francji słał protesty, przy czym należy wspomnieć praktyczne kłopoty z porozumieniem się z tym mglistym ciałem – zapowiadało, że biednego Bourne'a czeka wpierw długi pobyt w areszcie, zanim w ogóle dojdzie do rozprawy.

Holden udał się do Manchesteru najwcześniej, jak mógł, prosząc nas natarczywie, byśmy nie zdradzili szczegółów wyprawy żadnemu innemu żurnaliście. Zabawne było patrzeć, jak jego krągła postać, przykuta do fotela i równie zaradna jak wór ziemniaków, wprost trzęsie się z podniecenia na myśl o rozmiarach dziennikarskiej bomby – i apanaży, których będzie mógł zażądać. Niemal czułem, jak go palce swędzą.

Ale trzeba mu przyznać, że opowieść, która ukazała się kilka dni później w manchesterskiej prasie, nie odbiegała od faktycznego przebiegu wydarzeń. Zapoznając się z jego hałaśliwą relacją, nie potrafiłem opanować dreszczy grozy na wspomnienie mojej wyprawy w pustkę i bitwy (jak przesadnie nazwał ją Holden) z kamiennymi potworami Luny. Artykuł w „Manchester Guardian” przyzwoicie zilustrowano litografiami opisującymi różne momenty naszej wyprawy, z których najistotniejsza była sławna fotografia mojej osoby i nieszczęsnego modelu liniowca oceanicznego Brunela.

Jedyne, co mnie zaskoczyło, to wrogość, z jaką autor sportretował Travellera. Dziennikarz rozwodził się nad anarchistycznymi poglądami Travellera w sposób, który przyczynił się do rozpowszechnienia nieprzychylnych opinii na temat inżyniera, nawet w chwili jego największej chwały. Wykorzystałem wolny czas, zapoznając się szerzej z różnymi anarchistycznymi myślicielami – odrzucając takich wariatów prących do rewolucji, jak Bakunin, i skupiając się na głębszych myślicielach w rodzaju Proudhona, który głosił, że żądza własności i władzy politycznej służy jedynie pobudzaniu gwałtownych i irracjonalnych ciągotek człowieka.

Wydarzenia wojny europejskiej w całej rozciągłości potwierdzały tezy Proudhona i nielojalność Holdena sprawiła mi nie lada przykrość.

Niemniej jednak dzięki jego relacji zyskałem przelotną sławę.

Powróciłem w rodzinne pielesze, do Sussexu. Moi bliscy nie posiadali się z radości, widząc mnie całego i w dobrym zdrowiu. Przeżyłem wzruszające spotkanie z moim

bratem, Headleyem. Jego poblizniona twarz zmarszczyła się w wyrazie ukontentowania, kiedy opisywałem Josiaha Travellera, który stał się dla niego źródłem fascynacji od czasu ich jednostronnej znajomości na Krymie. Moi londyńscy przyjaciele, których paru przybyło do mnie z wizytą, nalegali, żebym powrócił w glorii chwały do stolicy, by wieść życie towarzyskie, korzystając ile wlezie ze statusu bohatera. Spojrzałem na ich twarze, które wydały mi się pełne młodości i świeżości, i odrzuciłem rozliczne zaproszenia, bynajmniej nie z racji nietypowej dla mnie skromności, doprawdy bowiem myśl o tym, że stanę się celem podziwu największych piękności sezonu, wcale nie była mi niemiła, lecz dlatego że nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, iż przebyte doświadczenia wykopały jakiś trudny do nazwania mur między dawnym a obecnym Edwardem. Poza tym brak pewności uczuć względem Françoise odbierał mi zdolność szybkiego i łatwego podejmowania decyzji.

Chodziłem na długie samotne spacerunki po lasach otaczających dom rodziców, roztrząsając stan mej duszy. Odnosiłem takie wrażenie, jakbym strząsnął kiedyś z butów pył Ziemi, nie potrafił dostosować mych pragnień i zachowań do tego, czym żyła reszta ludzi. I coraz bardziej doskwierał mi brak niegdysiejszych towarzyszy.

Przyglądałem się barwom jesieni wyzierającym spod drzew, i zadawałem sobie pytanie, jak prezentowałyby się z dalekiej przestrzeni.

Obiecałem sobie, że zajmę się sprawami tego świata, kiedy tylko przygaśnie moja sława – i rzecz jasna, przygasła, chociaż nie z powodów, które były mi miłe. W miarę bowiem jak wydłużały się jesienne noce, sytuacja Francuzów stawała się coraz bardziej rozpaczliwa.

Pruskie spiżowe pierścienie wokół Paryża i Metz ani drgnęły. Prasa manchesterska nieustannie donosiła, że głód był stałym gościem na ulicach stolicy Francji, a jeszcze bardziej wiarygodne źródła informacji podawały, że oddziały marszałka Bazaine'a w Metz tkwią po uszy w błocie i obecnie trudno nawet mówić o możliwości samoobrony, a co dopiero oswobodzeniu Paryża.

Rozczytywałem się w tych doniesieniach z chorobliwie mroczną fascynacją, podczas gdy główni komentatorzy roztrząsali opcje i niebezpieczeństwa stojące przed Gladstone'em i jego rządem. Zgadzano się powszechnie, że ludzie cywilizowani nie mogą ponownie sięgnąć po broń antylodową. Niemniej jednak nadeszła chwila przełomowej próby i wyglądało na to, że przybywa zwolenników jakiejś formy interwencji, zanim cenna i wątła równowaga sił w Europie runie na zawsze.

Przeciwni interwencji byli ci, którzy pamiętając Bonapartego, nie chcieli wkraczać między przeciwników, i stawać po stronie obleganej Francji. Ekstremistami tego skrzydła byli Synowie Gaskonii i im podobni, którzy głośno domagali się od rządu, żeby Wielka Brytania zademonstrowała swoją oczywistą potęgę, nie po to jednak,

aby przywrócić pokój, lecz żeby narzucić porządek walczącym plemionom Europy. Wydawało się, że ci zdecydowani dżentelmeni zyskują coraz większe poparcie i krążyły plotki, iż nawet sam król sympatyzuje z ich poglądami.

Czytając przygnębiające materiały, wspominałem moje rozmowy z Bourne'em w „Faetonie”. Nie czułem się już podporządkowany opiniom, które uważałem za swoje przed wyprawą; teraz dostrzegłem z dystansem, że cała ta narodowa debata przypomina rojenia wypaczonego umysłu, który stara się narzucić własne lęki i wiarę w demony otaczającemu światu.

Wreszcie z końcem października przyszły wieści, że oddziały Bazaine'a w Metz – przemoknięte, wygłodzone i zdemoralizowane – skapitulowały. Tym razem triumfujący Prusacy wzięli do niewoli ponad sto siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy i zgarnęli tysiąc czterysta dział. Chociaż armia francuska stawiała opór w różnych regionach ojczyzny, w Manchesterze generalnie uważano, że nadszedł decydujący moment wojny, że zwycięscy Prusacy niebawem wedrą się na zniszczone ulice Paryża – i że jeśli Brytania ma kiedykolwiek wkroczyć w te zmagania, musi to uczynić teraz.

Wrzawa w gazetach domagających się działania ze strony Gladstone'a rosła, aż wydało mi się, że słyszę ze wszystkich stron bezgłośny krzyk i napięcie stało się nie do zniesienia.

Wiedziałem, że jest tylko jedno antidotum na te wrażenia, i spakowałem się, pośpiesznie pożegnałem z rodzicami, po czym szyną napowietrzną i koleją parową udałem się do domu Josiaha Travellera.

Ostatnich kilka mil przebyłem piechotą. Dom stał niedaleko Farnham, przebudowana mała farma, która nie wyróżniała się niczym szczególnym – wyjąwszy posępnego giganta na tyłach, sięgającego trzydziestu stóp wysokości. Zszyte brezentowe płachty okrywały jego wielkie aluminiowe ramiona. Był to oczywiście „Faeton” i kiedy czarodziejski powóz wyłonił się z nudnego krajobrazu, poczułem, że serce mi rośnie.

Obszedłem żywopłot okalający dom – i natknąłem się na wspaniałą powozik z dobrego, polerowanego drewna, stojący przed frontowymi drzwiami. Natychmiast zrozumiałem, że nie jestem tu jedynym gościem tego dnia.

Pocket zareagował na moją niezapowiedzianą wizytę z niebywałym entuzjazmem; nawet poprosił mnie o przywilej uściśnięcia mi ręki, którą następnie machał długo i serdecznie. Służący, mając twardy grunt pod nogami, był rześki i pewny siebie.

– Sir Josiah będzie zachwycony pańskim widokiem, ale w tej chwili ma gości – oznajmił. – Tymczasem czym mogę panu służyć, sir? Może herbaty, a może miałyby

pan ochotę nieco się porozglądać?

Nie wyjawiał, kim był wspomniany „gość”, i nie naciskałem go w tej mierze.

–Będę z wami szczerzy, Pocket – powiedziałem, popijając herbatę. – Tak do końca nie wiem, po co tu przybyłem...

Uśmiech, którym mnie obdarzył, świadczył o jego zadziwiającej mądrości.

–Nie musi się pan tłumaczyć, sir – dodał. – Jestem przekonany, że w tych niespokojnych czasach mogę rzec w imieniu sir Josiaha, iż jego dom jest pańskim domem. Tak jak było w „Faetonie”...

Poczułem, że się czerwienię.

–Wiecie, Pocket, trafiliście w sedno... Dziękuję wam. Lękając się, że drzeniem głosu zdradzę wzruszenie, zamilkłem i skupiłem się na herbacie.

Dom był zaskakująco mały i obskurny. Głównym pomieszczeniem była wielka oranżeria w południowym rogu, niegdyś zapewne pełna roślin, a obecnie zamieniona przez Travellera w obficie zaopatrzone laboratorium. Z kolei stodoła służyła za miejsce budowy większych konstrukcji. Budynek otaczało kilka akrów ziemi. Nic na nich nie rośło, a w kilku miejscach – tam, gdzie przeprowadzano próby silników rakietowych i startów – trawa została spalona i wyzierał nagi grunt.

Oranżeria zajmowała niemało miejsca. Miała szkielet z malowanego na biało kutego żelaza, co stwarzało wrażenie lekkości; w łagodnym świetle przeróżne narzędzia i maszyny wyglądały jak pozaziemskie rośliny. Laboratorium przypominało wnętrze młyna; napęd parowy wprawiał w ruch rozmaite maszyny za pomocą skórzanych pasów. Były tam również małe tokarki, walcownia blach, tłocznie, palniki acetylenowe, imadła. Wszędzie wokół leżały owoce pracy tych urządzeń, niektóre znane z „Faetona”. Pocket wskazał na przykład dyszę rakiety, świecąca w słabym słońcu jesieni, skierowaną ku górze niczym kielich niesamowitego kwiatu.

–A co z samym „Faetonem”? – spytałem.

–Mieliśmy istne utrapienie, żeby ściągnąć staruszkę z Kentu do domu. Uwierzy pan, trzeba było użyć dźwigu parowego, żeby go ruszyć. A ten wredny Lubbock wciąż zrzędził, że ryjemy jego bezcenne rżyska.

Roześmiałem się.

–Nie można mieć pretensji do biedaka. W końcu nie zapraszał nas, żebyśmy ni stąd ni zowąd spadli mu na głowę.

–A co się tyczy naszego staruszka, to sir Josiah powiada, że spisał się na medal, biorąc pod uwagę, żeśmy wyciskali z niego siódme poty. Trudno rzec, aby był w tym celu zaprojektowany.

–A o kim z nas można to powiedzieć? – spytałem z westchnieniem.

–Zaskakujące, że ucierpiał niewiele. Nadłamana noga, wygięcie dyszy, parę rys i osmaleń, nadwyrężona pompa powietrzna czy dwie – a wszystko to pańska zasługa, sir, że ośmielę się powiedzieć.

Opuściliśmy oranżerię i udaliśmy się na świeże powietrze. Skierowaliśmy się przed dom.

–Więc „Faeton” będzie mógł dalej latać? – zapytałem.

–Móc to by mógł, ale chyba nie będzie. Sir Josiah uzupełnił zapasy paliwa, żeby wypróbować silniki, i poświęcił masę czasu na doprowadzenie statku do jakiego takiego stanu, ale uważa, że dostał za bardzo w kość. Sir Josiah ma w głowie pełno nowych pomysłów. Chce stworzyć nowego „Faetona”, jeszcze doskonalszego i silniejszego niż pierwszy. Myślę, że ten zostanie jakby pomnikiem na jego cześć.

–To zrozumiałe – powiedziałem.

Pocket nagle przystanął i spojrzał uważnie przed siebie.

–No cóż, można tylko mieć nadzieję, że uda mu się zrealizować te zamysły – dodał cichszym głosem.

Zaskoczony tonem służącego, odwróciłem się, idąc za jego wzrokiem. Przed frontowymi drzwiami dostrzegłem znajomą postać Travellera. Cylinder nosił równie dziwacznie i zawadiacko jak zawsze. Gospodarz odprowadzał do wyjścia gościa. Ten słusznej postury dżentelmen wsiadał akurat do powozu. Wyglądał na sześćdziesiąt lat, a rysy twarzy wydawały mi się skądś znajome. Przyglądałem się włosom zakrywającym łysiejącą czaszkę, gęstym bokobrodom, nieruchomym oczom, układającym się w podkowę ustom...

–Dobry Boże – szepnąłem. – To sam Gladstone!

Woźnica lekko trącił batem konia i powozik odjechał. Traveller ruszył wzdłuż domu, niewidzącymi oczami przyglądając się winorośli, która czepiała się ściany szczytowej. Już miałem do niego podejść, ale Pocket mocno złapał mnie za rękaw, dając znak, bym tego nie czynił. Tak więc czekaliśmy aż sir Josiah, sam do nas dotrze.

Wreszcie się to stało. Wyprostował się, poprawił cylinder i założył ręce za plecy;

platynowy nos lśnił w słabym listopadowym słońcu.

–Ach, to ty, Ned... – przywitał mnie głosem równie pozbawionym siły jak blask słońca. – Słyszałem, że przyjechałeś. Wybacz, byłem... zajęty.

–To premier, prawda? – spytałem bez żadnych wstępów.

–Musisz poniechać tego twojego zwyczaju wygłaszania oczywistości, Ned – napomniał mnie, ale jego głos zdradzał, iż nie otrząsnął się jeszcze z zamyślenia.

–Czytałem o kapitulacji Bazaine’a.

–Tak. – Popatrzył na mnie z uwagą. – Dzienniki są pełne szczegółów tego wydarzenia. Ale podają również wiadomości o „Albercie”.

Nagle przed oczami wyrósł mi wizerunek Françoise i krzyknąłem:

–Jakie wiadomości?! Musi mi pan powiedzieć.

–Edwardzie... – Ujął mnie za ramiona. – „Alberta” zamieniono na maszynę wojenną. Francuscy sabotażyści, ci... –Szukał słowa.

–*Franc-tireurzy.*

–Porwali go, zainstalowali działą na pokładzie i zmieni-li w gigantyczny ruchomy zamek. Kierują go do Paryża i mają w planach natrzeć na oblegających Prusaków. Edwardzie, to czyste szaleństwo. „Albert” to statek pasażerski, nie pancernik. Jedna celna kula armatnia i będzie po nim...

Obrazy wywołane jego słowami były tak fantastyczne, że prawie nie mogłem dopatrzeć się w nich sensu.

–A pasażerowie? Co z nimi?

–Nic nie wiadomo.

–O co w tym wszystkim chodzi? – spytałem zduszonym głosem. – Jeśli premier Wielkiej Brytanii składa komuś wizytę, to nie po to, żeby dostarczać wiadomości, choćby nie wiem jak dramatyczne.

–Oczywiście, że nie. – Odwrócił wzrok, ale zdołałem dostrzec w jego oczach ten sam lęk, który obserwowałem tam, na farmie Lubbocków. – Gladstone chciał zdobyć moją sympatię, przynosząc wieści o „Albercie”. Ale nie wydaje mi się, żeby podciągał wojnę w Europie i moje kłopoty pod jeden strychulec. Widzisz, rząd uznał, że czas decyzji dojrzał. Tak, Metz upadł, ale Paryż trzyma się, wbrew wszelkim racjonalnym obliczeniom, nawet za cenę zagłodzenia mieszkańców. Tymczasem Prusacy

przemawiają coraz bardziej wojowniczym językiem i głoszą coraz ambitniejsze cele. Są niewielkie szanse sprawiedliwego zakończenia tej wojny i rząd mocno żałuje, że Europejczycy nie potrafią już wojować uczciwymi metodami i zawierać pokoju, trzymając się sensownych reguł. – Pokręcił głową. – Gladstone powiada, że jeśli Brytania nie dokona interwencji, chaos na kontynencie będzie trwał przez całe pokolenie. Tak gada, ale, oczywiście, nie wierzy w to, co mówi. Brytania jak zwykle ma własne cele na oku, a Gladstone jest gotów powiedzieć wszystko, żeby nakłonić mnie do współpracy. Niemniej jednak... niemniej jednak co będzie, jeśli mówi prawdę? Czy mam prawo przeciwstawiać się historii? – Palnął się w czoło, zsuwając cylinder do tyłu, i pokręcił głową.

Ująłem go za ramię.

–Sir Josiah, czy prosił pana o sporządzenie takiej broni anty lodowej, jakiej użyto w kampanii krymskiej?

–Nie. Nie, Edwardzie, oni chcą nowej broni... Niewiarygodne rzeczy im się roją. Jak ludzie skonstruowani identycznie jak ty i ja mogą chodzić swobodnie, snując takie plany...? I powiadają, że jeśli nie pójdę z nimi na współpracę, pozbawią mnie funduszy. – Roześmiał się z goryczą. – Które zresztą już były skąpe. Wypędzą mnie z mojego domu, zabronią dostępu do anty-lodu i wezmą na swoje usługi jakichś umysłowych kartów.

Wpatrywałem się w jego długą, umęczoną twarz i przypomniały mi się słowa Holdena o problemach finansowych Travellera. Czyżby nieznamość tych spraw była piętą achillesową wielkiego inżyniera, skazą, która w końcu miała przywieść go do ruiny – tak jak zniweczyła plany jego bohatera, Brunela?

Miałem nadzieję, że Traveller nie zrealizuje żadnego z ohydnych zamierzeń rządu, ale w jego głosie była niepewność, a kolejne słowa natchnęły mnie niepokojem.

–Gladstone to głupiec i flirciarz, nie ulega kwestii; ale to również polityk, Edwardzie. I udało mu się zasiać wątpliwości w mej duszy! Jeśli bowiem to ja skonstruuje te urządzenia, być może uda mi się, jak on to nazywa, „zadbać o ich naukową skuteczność”. Gdy jacyś partacze zaczną maczać palce w tym wszystkim, możemy stać się świadkami katastrofy na niebywałą skalę. – Teraz na jego twarzy gościł niekłamany ból. – Powiedz, Edwardzie, co mam czynić? Obawiam się, że jestem skazany na współpracę z nimi...

–Na miłość boską, Traveller, co oni każą panu zbudować?

Opuścił głowę, jakby ogarnięty wstydem.

–Niewielkie rakiety. Jakby pomniejszone „Faetony”. Ale bez pilota na pokładzie. Zainstalowano by na nich odmianę mojego stołu nawigacyjnego z żyroskopowym

układem sterującym, który doprowadzałyby raketę na wyznaczone miejsce.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

–Ale jaki byłby cel takich bezzałogowych „Faetonów”? – spytałem. – Do czego przydałyby się po wylądowaniu? – Zacząłem rozważać na głos, że mogłyby przenosić amunicję lub żywność oblężonym Paryżanom, ale Traveller pokręcił przecząco głową.

–Nie, Edwardzie, nie rozumiesz. I nie mam o to pretensji, bo do wymyślenia czegoś takiego trzeba umysłowości diabła. Te rakiety nie lądują miękko. Miałyby roztrzaskiwać się o ziemię, jak bomby. Naonczas roztrzaskiwałyby się też naczynia Dewara, zawierające antylód, a ten pod wpływem żaru ziemi powodowałby monstrialną eksplozję. – Rozłożył ramiona i zakręcił się jak pijany. – Musisz przyznać, że ten pomysł jest w jakiś sposób wielki. Mógłbym z mojego ogródka wystrzelić pocisk, który przeleciałby przez kanał La Manche aż do Paryża i jednym gigantycznym uderzeniem strzaskałby dumę Prusaków...

–Nie!

Traveller i Pocket wytrzeszczyli na mnie oczy.

Tysiące uczuć ścisnęły moje biedne serce. Sprzeczne wizerunki Françoise walczyły o pierwszeństwo; słodka twarzyczka, która stała się moim talizmanem podczas naszej najeżonej niebezpieczeństwami podróży na Księżyc, symbolem nadziei i przyszłości, wszystkiego, do czego chciałem powracać, ale pod nią, jak naga czaszka kryjąca się pod najszlachetniejszym obliczem, rysowało się widmo *franc-tireura*, symbol tych wszystkich, którzy gotowi byli rozpętać wojnę i śmierć w delikatnej misie Ziemi, oglądanej przeze mnie z wysoka.

W głowie mi się zakręciło od tych wizji! Jakże długą drogę przebyłem od prostodusznego chłopaka, który wszedł na pokład „Faetona” zaledwie trzy miesiące wcześniej!

Nagle poczułem, że mój los został przypieczętowany.

Nie minęła nawet sekunda od mego krótkiego okrzyku protestu. Nie myśląc, wykręciłem się na pięcie i pobiegłem ku „Fae-tonowi”. Słyszałem krzyki Travellera i tupot jego powolnych kroków, ale skupiłem się bez reszty na latającym statku.

Musiałem dotrzeć do Paryża, musiałem stanąć twarzą w twarz z Françoise, uratować ją, jeśli było to w mojej mocy, powstrzymać brytyjskie bomby; aby to uczynić, byłem gotów udać się tam najszybszym dostępnym środkiem lokomocji – „Faetonem”!

Rozdział 13

Pilot balonu

Salonik na „Faetonie” został cudownie odrestaurowany. Rozmaite smugi i rozdarcia tapicerowanych ścian powstałe podczas tygodni naszego przymusowego pobytu znikły bez śladu i zmówiłem w myślach krótką żarliwą modlitwę z prośbą, aby układy napędowe statku były w równie nienagannym stanie.

Wdrapałem się po sznurowej drabince na mostek. Przez chwilę wymieniałem spojrzenie z rzędami tarcz zegarów kontrolnych, tak niepewny jak barbarzyńca w przedsionku świątyni.

Ale otrząsnąłem się z tego nastroju i bez dalszej zwłoki zasiadłem na kanapce Travellera.

Kiedy miękka tapicerka ugięła się pod moim ciężarem, przeskoczył jakiś ukryty przełącznik i ożyły elektryczne lampki instrumentów. Wydawało mi się, że słyszę syk, kiedy wzrosło ciśnienie hydrauliczne w obwodach statku.

Latająca maszyna pod wpływem mojego dotknięcia budziła się do życia niczym wielkie zwierzę.

Spoczywałem na kanapce, niepewnym wzrokiem ogarniając konstelację instrumentów. Ale przecież przyglądałem się Travellerowi, kiedy sprowadzał statek z Księżyca na Ziemię, i wyglądało to całkiem prosto; nie spodziewałem się jakichkolwiek trudności podczas drobnej przejażdżki na drugą stronę kanału La Manche!

Czując świeży przyływ determinacji, odwróciłem się do dźwigni kontrolnych. Kończyły się uchwyty z wyprofilowanej gumy, nieco zbyt wielkimi dla mnie. Same dźwignie, sporządzone z lekkiej stali, służyły, o ile dobrze pamiętałem, do kontroli zapłonu i siły ciągu silników rakietowych „Faetona”.

Kiedy zacisnąłem dłonie na uchwytych, poczułem, jak splywa po nich mój pot.

Silniki ożyły z rykiem. Statek zadygotał.

–Ned!

Traveller wdrapywał się z trudnością przez właz saloniku. Zgubił cylinder i rozburzone siwe włosy zasłaniały mu czoło. Dyszał, pot splywał po platynowym nosie, a spojrzenie, którym mnie mierzył, było równie palące jak promienie słońca.

–Niech pan nie próbuje mnie powstrzymać, Traveller!

–Ned. – Stanął nade mną. Głosem spokojnym, ale wystarczająco donośnym rozkazał: – Zejdź z mojego stanowiska.

–Ujawnił mi pan plany Gladstone’a. Jako uczciwy Anglik nie mogę stać z boku i nie zaprotestować przeciwko takim potwornościom. Zamierzam polecieć do Francji i...

–I co? – Pochylił się nade mną, pot zalewał głęboko osadzone oczy. – Co wtedy, Ned? Strącisz z powietrza pociski Gladstone’a? Przemyśl to, do diabła. Co osiągniesz, poza tym, że prawdopodobnie zginiesz jako dodatkowa ofiara masowej zagłady?

Zadarłem podbródek i rzekłem:

–Ale przynajmniej zdołam ostrzec władze...

–Jakie władze? Ned, w tej chwili nie wiadomo, kto rządzi Francuzami! A co się tyczy Prusaków...

–Przynajmniej ostrzegę, kogo trzeba. I może uratuję kilka dusz z otchłani zniszczenia, która niebawem się otworzy, i przywrócę część utraconego honoru Anglii.

Zacisnął wargi, po czym jego gniew jakby trochę zelżał.

–Edwardzie, jesteś głupcem, ale podejrzewam, że są gorsze sposoby zmarnowania życia... I, oczywiście, masz na względzie swoją Françoise.

Przeszyłem go wzrokiem, który sygnalizował, że gdyby tylko ośmielił się kpić ze mnie, spotkałaby go sroga odprawa.

–Mademoiselle Françoise stała się dla mnie symbolem tych wszystkich nieszczęsnych istot, które padły ofiarą wojny. Jeśli nadal żyje na pokładzie porwanego liniowca, przysięgam, że ją uratuję – lub zginę!

–Och, ty cholerny idioto. Stawiam zakład, że ta przeklęta niewiasta jest dokładnie tam, gdzie ma ochotę przebywać, że zestrzeli cię, kiedy tylko się do niej zbliżysz, rozdziawiając gębę w durnym uśmiechu. – Spojrzał na mnie jeszcze surowiej, ale dostrzegłem w jego wzroku głębię wiedzy o ludzkiej naturze, mądrość, która objawiła się już wcześniej. – Ach, lecz to nie ma znaczenia. Nieprawdaż? To nie myśl o grożącym jej niebezpieczeństwie tak cię dręczy. Musisz znać prawdę o swojej Françoise...

Nie podobało mi się to, że grzebał mi w duszy.

–Niech mnie pan zostawi, Traveller! Nie dam się powstrzymać.

–Ned... – Wyciągnął niepewnie dłonie. – Nie możesz poprowadzić tego statku. Zniszczysz go, zanim jeszcze wzbijesz się w powietrze! Przecież nawet nie zamknąłeś włazów.

–Traveller, niech pan nie próbuje mnie zatrzymać...! Niech pan wraca do swojego przyjaciela premiera i buduje jego anioły śmierci w zamian za pieniądze, które panu oferuje.

Zmarszczył czoło.

Poczułem ukłucie wstydu, ale postanowiłem się niczym nie przejmować.

–Sir Josiah, damę panu dziesięć sekund na opuszczenie tego statku. Następnie lecę do Francji.

–Nie dbam o twoje dziesięć sekund! – Krzyczał, ale ten krzyk był pełen siły i spokoju. – Ani mi się śni opuszczać „Faetona”. Nie pozwolę ci go zniszczyć.

–W takim razie jesteśmy w impasie. Czy muszę wyrzucić pana siłą?

Westchnął, ukrył twarz w dłoniach, a potem spojrzał na mnie.

–To nie będzie konieczne, Ned, widzę bowiem, że nie dasz się powstrzymać. Dlatego też nie pozostaje mi nic innego, jak tylko ci towarzyszyć.

–Co...?

–Poprowadzę statek. A teraz bądź tak łaskaw i opuść moją kanapę, żebyśmy mogli przystąpić do działania...

Przyglądałem mu się z głęboką podejrzliwością, ale na podłużnej twarzy widziałem jedynie twarde postanowienie.

–Traveller, dlaczego jest pan gotów to uczynić? Czemu nie miałbym podejrzewać pana o jakiś szwindel?

Panował nad sobą resztkami woli i cierpliwości.

–Podejrzewaj mnie, o co chcesz. Szwindle nie należą do mojego arsenału środków, Edwardzie, nie minąłem się o włos z prawdą, kiedy powiedziałem, że zniszczysz ten statek w ciągu paru sekund, jeśli pokierujesz nim bez pomocy.

–W takim razie proszę mi pomóc, powiedzieć, jak to robić.

–To niemożliwe. Wytłumaczenie samych podstaw działania układu sterującego zajęłoby kilka dni. Nawet najbystrzszemu uczniowi – dodał bez śladu ironii, wyliczając na długich palcach. – Po drugie: będziemy lecieć w atmosferze. Ned, „Faeton” nie jest z zasady stabilny, co oznacza, że pilot musi bezustannie reagować na jego zachowania, chyba że chcesz go dźwignąć pionowo, jak nasz francuski kolega. W innym wypadku fiknie kozła i całą siłą ciągu runie prosto na ziemię. To jedyna latająca maszyna na świecie, a ja jestem jedynym człowiekiem, który potrafi ją ujarzmić. Po trzecie: przypomnij sobie, że „Faeton” jest prototypem. Dlatego też ma rozmaite kaprysy i szczególne właściwości, które tylko ja umiem przewidzieć...

–Już dobrze! – Wysięk, którego wymagało panowanie nad urządzeniami sterującymi, sprawiał, że palce i całe dłonie zeszywniały mi jak odnóża kraba.

Niespodziewanie Traveller uśmiechnął się szeroko, gładząc włosy.

–Pytasz, czemu miałbym poprowadzić statek. Chłopcze, nie chcę, żebyś go rozbił. To oczywiście najważniejsze. Poza tym... No cóż, stary Gladstone Szelmowskie Oko dał jasno do zrozumienia, że zbuduje pociski rakietowe z moim udziałem czy bez niego. Zmusiłeś mnie do głębokiego zastanowienia i skoro antylód znów może zostać użyty jako broń wojenna, to raczej powinienem być świadkiem konsekwencji moich czynków, niż z trzydniowym opóźnieniem czytać jakieś bezładne relacje w „Guardianie”. Ned, klamka zapadła. Wybieramy się na poszukiwanie twojej cennej damy, lecimy do Paryża, królowej miast!

Powtórnie przyjrzałem mu się uważnie. Na twarzy inżyniera nie było śladu podstępni ani przebiegłości. Wręcz przeciwnie, przypominał mi impulsywnego entuzjastę, którego przebudziłem w nim podczas ostatnich chwil lotu na Księżyc. Tak więc w końcu przystałem na jego propozycję.

Traveller klasnął w dłonie.

–Powiedziałem Pocketowi, aby schronił się w domu, tak więc możemy wyruszać. A teraz, Ned, gdybyś był łaskaw opuścić moją kanapkę... Zwolnij te dźwignie najostrożniej, jak tylko potrafisz...

I niebawem huk rakiet osiągnął głośność gromu; brezentowa osłona opadła i „Faeton” wzbił się wysoko nad wiejskie krajobrazy Surrey.

Traveller sprawnie i z wdziękiem pilotował statek na wysokości około pół mili nad ziemią. Pochylił dysze, tłumacząc, że silniki mogą nie tylko wynieść latającą maszynę w górę, ale nadać jej znaczącą prędkość podczas lotu równoległego do powierzchni.

Udaliśmy się na południe.

Stałem, przyciskając twarz do okna. Łąd oglądany z takiej wysokości, nie zasłonięty

przez chmury, przybiera wygląd krainy zabawek, w której wyróżniają się filigranowe domki, drzewa i połyskliwe wstęgi rzek. Przeżyliśmy wstrząs, kiedy nagle wyłoniły się pod nami szare jak stał okrętowa wody kanału La Manche.

Po jakiejś godzinie dotarliśmy nad wybrzeże Francji. W dole rozłożył się port, wyglądem przypominający wielki plan. Traveller przyłożył teleskop do oka i porównał widoki z mapą. W końcu pokiwał głową z satysfakcją.

–Dotarliśmy nad Hawr. Teraz tylko krótki lot do Paryża! Wyobraziłem sobie prostych rybaków, którzy zadzierają głowy i zdumiewają się widokiem ryczącego, plującego ogniem potwora, który przemyka po niebie.

Prowadziła nas Sekwana; lecieliśmy w górę jej srebrzystych nurtów, nad Normandią. Spirale dymów wznosiły się z kominów porzrzucanych chat, a pod wpływem wiatrów, które nadlatywały głównie z zachodu, rozkładały się niczym pióropusze. Z naszej godnej bogów wysokości nie widzieliśmy żadnych oznak wojny.

Kiedy przelatywaliśmy nad Rouen, przypomniałem sobie, że to tam Anglicy spalili na stosie Dziewicę Orleańską. Co też pomyślałaby ta dzielna kobieta-wojownik, ujrawszy naszą wielką aluminiową łódź powietrzną? Czy uznałaby ją za jeszcze jedną wizję zesłaną przez Pana?

W końcu około drugiej po południu dotarliśmy nad obrzeża Paryża.

Z powietrza stolica Francji przypomina jakby koło, przecięte Sekwaną dokładnie na osi wschód-zachód. Za pomocą peryskopu dostrzegliśmy wysepki w środku miasta i eleganckie dachy katedry Notre Dame – jeszcze nie tknięte przez pruską artylerię, która okrążyła już miasto. Widzieliśmy Rue de Rivoli, ciągnącą się nieopodal pomocnego brzegu rzeki. Idąc wzrokiem na zachód, odnalazłem Pola Elizejskie. Zdumiałem się widokiem drzew zalegających pokotem aleję i przypominających z naszej wysokości rozsypane zapałki. Myślałem, że to dzieło niemieckiej artylerii, ale Traveller podsunął mi myśl, że wspaniała aleję ogołocono z jej ozdoby, aby zapewnić drewno na opał oblężonym mieszkańcom.

Wokół brązowo-szarego lewiatana rozciągały się główne fortyfikacje; widzieliśmy dwudziestomilowe mury, sięgające od Lasku Bulońskiego na zachodzie do lasku Vincennes na wschodzie. Dalej, na obszarach wiejskich, rozłożyła się armia pruska. Oficerskie namioty rozrzucone między zagajnikami i polami przypominały barwne chusteczki; kiedy zeszliśmy trochę niżej, dojrzeliliśmy zagłębienia terenu, w których rozlokowano działa – setki dział kierujących swe groźne paszcze przeciwko bezradnym obywatelom Paryża. Rozróżnialiśmy nawet mundury pruskich żołnierzy, połyskujące czerwienią, srebrem i błękitem.

Kiedy wpatrywałem się w zadarte, zdumione oblicza niemieckich zdobywców,

uderzyło mnie, że wystarczyłoby cisnąć naczynie Dewara pełne antyrodu, by osiągnąć niesłychanie niszczący skutek. Prusacy nie byłiby w stanie zorganizować żadnej obrony. Łatwo usunęlibyśmy się poza zasięg artylerii, nawet gdyby wyszkolenie celowniczych obejmowało zwalczanie obiektów powietrznych.

Zadygotałem, zadając sobie pytanie, czy to nie wizja jakichś wojen przyszłości.

Następnie z fascynacją obserwowaliśmy ogromny, majestatyczny balon, napęczniony gorącym powietrzem, wylaniający się spomiędzy ceglanych zabudowań. Manchesterskie gazety prześcigały się w opisach dzielnych Paryżan, usiłujących stworzyć linie komunikacyjne z resztą Francji za pomocą takich statków powietrznych. Chwytano się jeszcze bardziej rozpaczliwych sposobów. Pocztę kurierską zapewniały tresowane gołębie! Niemniej jednak widok, który ukazał się naszym oczom, był zaiste zdumiewający. Nieporadny statek przypominał wielką koldrę, zszytą niewprawnymi dłońmi z rozmaitych barwnych kawałków. Za-kołysał się w ostrych podmuchach wiatru, wzniósł się ponad dachy, ale w końcu ruszył na wschód, nie bez pewnej gracji. Niebawem wy dostał się poza mury miasta.

Używając teleskopów, przeczesaliśmy wzrokiem horyzont, ale nie dostrzeżliśmy śladu „Księcia Alberta”. Inżynier zadumał się i spytał:

–No i co teraz, Ned?

Potrząsnąłem głową, zbity z tropu i zawiedziony. Skala wojennego konfliktu, który rozgrywał się przede mną, była tak wielka, że moje impulsywne pragnienia wydały się mrzonkami głupca. Jak jeden człowiek, nawet uzbrojony w narzędzie klasy „Faetona”, mógłby zmienić bieg tych wydarzeń!

–Nie wiem, co moglibyśmy tu uczynić – wyznałem w końcu. – Ale prawdę mówiąc, nadal bardzo chciałbym odnaleźć Françoise.

Traveller uszczypnął się w podbródek.

–W takim razie musimy zebrać więcej informacji o „Albercie”.

–Powinniśmy wylądować w Paryżu?

Uważnie przestudiował mapę.

–Nie jestem przekonany. Nie zdołalibyśmy ostrzec mieszkańców o naszym lądowaniu i nie mamy jak się upewnić, czy obszar, który wybierzemy do tego celu, okaże się bezludny. Prawdę mówiąc, przy obecnym staniu poruszenia umysłów Paryżan nasze lądowanie mogłoby przyciągnąć tłumy, które dostałyby się w zasięg kłębow gorącej pary, buchającej z silników. Nie, Ned, nie polecałbym lądowania w mieście. Ale mam inną propozycję.

–Jaką?

–Udajmy się za balonem. Kiedy pilot sprowadzi swój statek na ziemię, będziemy mogli bezpiecznie wylądować i nawiążemy z nim kontakt.

Przemyślałem jego słowa. Nie uśmiechało mi się marnować czasu na podążanie śladem prymitywnego i powolnego statku powietrznego. Lecz z drugiej strony pilot balonu na pewno dysponował szerszą wiedzą na temat sytuacji niż przeciętny Paryżanin, gdyż w innym wypadku nie wyznaczono by go do tej roli. Kilka minut rozmowy z tym nieustraszonym człowiekiem mogło dać lepsze efekty niż kilkugodzinne przepytywanie paryskiej tłuszczy.

–Świetnie – powiedziałem. – Udajmy się za dzielnym pilotem i miejmy nadzieję, że zdoła nam pomóc.

Na wschód od Paryża leży region Szampanii i to tam, jakieś dwadzieścia mil od murów miasta, wiatry złożyły na ziemi naszego pilota. Sflaczała czasza balonu spoczywała niczym kolorowy staw pośród schludnych winnic, doskonale widoczna z powietrza.

Traveller wylądował ćwierć mili dalej na północ. Zanim dysze silników ochłody, wyrzuciliśmy drabinkę sznurową i zeszliśmy na ziemię. Nastąpiło już późne popołudnie i przystanęliśmy na chwilę, mrużąc oczy i oceniając zachmurzone niebo. „Faeton” po swym zwykłym, spektakularnym lądowaniu rozpierał się w środku koła szerniałych i powalonych krzewów winnej latorośli; nigdy więcej nie miały one przynieść owoców! Tuż za obszarem spalenizny stał, wytrzeszczając oczy, młody człowiek w prostym fartuchu. Mimo odległości widać było, że rozdziawia szeroko szczęki.

Traveller udał się pewnym krokiem w kierunku wieśniaka i wcisnął mu w dłoń pieniądze. Oznajmił łamaną francuszczyzną, że to rekompensata dla jego chlebowodawcy za zniszczenie uprawy. Biedne, ogłupiałe chłopisko rozłożyło bilet bankowy i wpatrywało się w niego, jakby nigdy przedtem nie oglądało pięciu funtów w jednym kawałku. Ale nie mieliśmy czasu na dalsze wyjaśnienia; ze słowami krótkiego pożegnania opuściliśmy naszego gospodarza mimo woli i podążyliśmy na przełaj przez żywopłoty i rzędy winorośli.

Pięć minut później dotarliśmy do balonu. Statek zbudowano z najdziwniejszych materiałów – rozpoznałem obrusy, prześcieradła, zasłony, a nawet miękkie, białe materiały, które kojarzyły mi się z najdelikatniejszymi elementami niewieściej bielizny. Wśród nich odznaczały się regularne prostokąty, do których biegł szpagat. Najwyraźniej szarpnięciem sznurka uwalniało się nagromadzone powietrze, regulując wysokość lotu. Ale wór był nie tylko pootwierany, również częściowo rozdarty, co świadczyło, że opadł prędzej niż planował to uczynić pilot.

–Dobry Boże, sir Josiah, całe to urządzenie to tylko jedna wielka improwizacja – zauważyłem.

–Żeby wzbić się w powietrze za pomocą czegoś takiego, potrzeba więcej odwagi niż wymaga podróż „Faetonem” na Księżyc – odparł Traveller. – Doprawdy, położenie mieszkańców *Paryża* musi być rozpaczliwe...

**–Jestem Paryżaninem, ale tak naprawdę to rozpaczliwie pragnąłbym wydostać się z tego interesu, żeby nie musieć słuchać aroganckich uwag jakichś Anglików i auu...!
– przemówił głos ze zwojów materiału.**

Zaskoczeni wymieniliśmy spojrzenia i pośpieszyliśmy do zniszczonego statku powietrznego.

Za gondolę służył wielki kosz, w jakim zwykle przenosi się pranie, umocowany skórzanymi pasami do balonu. Kosz spoczywał na boku, roniąc mnogość papierów i zawiniątek. Pośród tego bałaganu siedział młody człowiek. Był mniej więcej w moim wieku, mojej postury i urody, lecz miał smagłą cerę i ciemne włosy typowe dla przystojnego Francuza. Nosił zwykłe, proste ubranie pracownika miejskiego i mógł być na przykład kasjerem bankowym. Ale szara marynarka była rozdarta i zabłocona. Lewą nogę trzymał wyprostowaną i za każdym razem, kiedy usiłował powstać, wspierając się na tej kończynie, opadał z powrotem na ziemię, krzywiąc się z bólu.

Traveller pochylił się, oglądając nadwyrężoną nogę.

–Musi pan tu spocząć – oznajmiłem po angielsku. – Widać przecież, że odniósł pan ranę i...

–Nazywam się Charles Nandron – odparł po francusku. – Jestem członkiem Rządu Obrony Narodowej. Monsieur, jest pan na ziemi francuskiej, niewątpliwie przez nikogo nie zaproszony; będzie pan łaskaw rozmawiać w języku mojego kraju albo w ogóle, auu...!

Palce Travellera dotarły do kostki u nogi. Nandron odrzucił w tył głowę i zazgrzytał zębami.

Przedstawiłem siebie i Travellera płyną francuszczyzną i dodałem:

–Przybyliśmy tu „Faetonem”, antylodowym...

–Nie obchodzą mnie żadne angielskie wymysły – powiedział z pogardą członek francuskiego rządu. – Zaryzykowałem utratę życia, aby skomunikować się z naszym rządem tymczasowym w Tours...

–Jak nie będziesz siedział spokojnie i nie zaczniesz myśleć o swojej nodze, młody

człowieku – rzekł swoja warkliwą angielszczyzną Traveller – to przez jakiś czas będziesz skazany wyłącznie na komunikowanie się z tutejszymi hodowcami winorośli. – Odwrócił się do mnie i oznajmił: – Nie jestem lekarzem, ale wydaje mi się, że to nie złamanie. Tylko rozdarcie skóry i brzydkie nadwyręzenie ścięgna. W „Faetonie” mam jakieś szarpie. Jeśli zdołasz utemperować naszego wyniosłego młodzieńca i przypilnujesz, żeby się stąd nie odczołgał, to przyniosę opatrunki.

Skinąłem głową. Kiedy Traveller oddalał się szybkim krokiem, aroganckie spojrzenie Nandrona powędrowało z ciekawością ku platynowemu nosowi sir Josiaha, lecz Francuz wkrótce z powrotem zatopił wzrok w niebiosach.

–Do Manchesteru dochodzą jedynie strzępki informacji o sytuacji w Paryżu – odezwałem się po francusku – oparte głównie na wieściach dostarczanych przez pomysłowych uciekinierów, takich jak pan, i zmałcone sporą dawką spekulacji.

Skinął głową i przymknął powieki.

–Paryż jest w wielkim niebezpieczeństwie – rzekł. – Prusacy chcą zmusić nas głodem do kapitulacji.

–Otrzymujecie jakieś wiadomości o wojnie?

–Wiemy, że Bismarck opanował całą Francję na północ i wschód od Orleanu z wyjątkiem samego Paryża. Tak jak w tysiąc osiemset piętnastym Francja utrzyma się lub padnie, co zależy od tego, czy Paryż utrzyma się lub padnie. Lecz tym razem odepchniemy najeźdźców...

–Tak. A czy za murami miastami jest jakieś wojsko?

–Armia obywatelska, monsieur. Stan Gwardii Narodowej został podwojony i wynosi około trzystu tysięcy ludzi; praktycznie każdy sprawny mężczyzna w mieście zgłosił się do obrony ojczyzny. Nawet my, politycy, mamy obowiązek służyć w okopach!

Patrzyłem na dumną twarz, zbolełą i pokrytą warstwą potu, i pomyślałem, że jeśli historia wielogłowej jak hydra tłuszczy paryskiej może być jakimś przewodnikiem, to nietrudno zgadnąć, iż ci nieszczęśni politycy nie mieli specjalnego wyboru, ale musieli wznosić barykady wraz z całą resztą mieszkańców. Lecz wstrzymałem się z jakimkolwiek komentarzem i spytałem:

–A jak przedstawia się sytuacja w mieście?

Potrząsnął głową.

–Wie pan, że nie da się sprowadzać żywności. Przeciwnie wiatry uniemożliwiają dostarczenie nawet paru marnych funtów balonem. Ale są spore zapasy. Rząd

boryka się głównie z problemem równomiernej dystrybucji, zarówno jeśli chodzi o zaopatrzenie wszystkich zakątków regionu, jak i wszystkich warstw społeczeństwa. – Roześmiał się nieco cynicznie. – Nic dziwnego, że najbiedniejsi cierpią najbardziej. Również sklepikarze są zrujnowani. Ale najlepsze restauracje gwarantują pełne menu. – Zmierzył mnie płomiennym wzrokiem i usiłował się wyprostować. – Być może pan i jego dyletancki towarzysz mielibyście ochotę odwiedzić jedną z nich podczas waszej wizyty. W imieniu wszystkich Paryżan proszę o wybaczenie braków. Nie ma świeżych warzyw i owoców morza. Ale menu zyskało na egzotyczności za sprawą potraw z kangura, słonia i wielkich kotów...

Położyłem dłoń na jego ramieniu uspokajającym gestem.

–Drogi panie, nie jesteśmy waszymi wrogami. Ryzykujemy życie, aby znaleźć pewną osobę.

–Kogo? – zapytał, popchnięty ciekawości.

–Czy słyszał pan o „Księżu Albercie”? – Wyjaśniłem mu okoliczności porwania statku przez *franc-tireurów* i opowiedziałem, że podobno znajduje się na południe od Paryża.

Ale Nandron pokręcił przecząco głową.

–Nic mi nie wiadomo o takim statku – rzekł. – Zresztą nasi bojowcy mają teraz o wiele istotniejsze zajęcie. Atakują pruskie linie zaopatrzeniowe, prowadzące aż z Berlina...

Chociaż spotkał mnie kolejny zawód, czas pozostały do przybycia Travellera strawiłem na rozmowie z wyniosłym Paryżaninem o warunkach panujących w mieście. Opowiedział mi na przykład, że nawet teraz trwają liczne spory i kłótnie w sprawie odbudowy trzydziestoletnich murów obronnych, gdyż rywalizujące grupy inżynierów nie mogą dojść do zgody, który projekt jest najelegantszy i najpiękniejszy. Natychmiast przypomniałem sobie relację brata o prostych, choć skutecznych fortyfikacjach ziemnych wzniesionych przez Rosjan wokół Sewastopola.

W spokojnym, gasnącym blasku sielskiego popołudnia ciężko mi się słuchało tych dręczących serce opowieści.

Wyglądało na to, że największą nadzieją Francji był minister spraw wewnętrznych, Gambetta, który kilka tygodni wcześniej wyleciał balonem z Paryża. Tenże Gambetta stworzył nową armię, złożoną z samych prostych synów Francji, i uderzył już na Prusaków – nie bez powodzenia – pod Coulmiers, nieopodal Orleanu. Teraz zbliżał się do samego miasta, gdzie zamierzał utworzyć punkt oporu przeciwko najeźdźcom. Lecz wielkie siły pruskie, do tej pory zajęte oblężeniem Metz, wyruszyły mu na spotkanie. Orlean miał stać się równie decydującym miejscem bitwy jak Sedan.

Traveller powrócił i sprawnie założył opatrunek Nandronowi. Tymczasem ten mówił:

–Podobno generał Trochu, szef rządu tymczasowego, nie lęka się o przyszłość Francji, gdyż wierzy, że święta Genowefa, która uratowała ojczyznę przed barbarzyńcami w piątym stuleciu, powróci i dokona jeszcze raz tego wyczynu. – Roześmiał się z pewną goryczą.

–Nie dzieli pan tej wiary? – zapytałem.

–Blizsze są mi już plotki krążące po gospodach miasta, jakoby sam Bonaparte wstał z grobu. Przy czym twierdzi się, że wcale nie umarł i żył do tej pory na wygnaniu z woli Anglików. Ma powrócić na wielkim rydwanie, łącząc się z wojskami Gambetty pod Orleanem, i wygoni Prusaków.

–Sam dobry, stary Bonapartuś, hę? – spytałem, kiwając głową. – Co za uroczy obrazek...

Ale Traveller uciszył mnie ruchem dłoni.

–Czy te uliczne plotki przytaczają jakieś szczegóły względem tego „wielkiego rydwanu”? – warknął łamaną francuszczyzną.

–Oczywiście, że nie. To pożywka dla umysłów gamoni i tumanów...

Spojrzałem na Travellera, tknięty jakimś przeczuciem.

–Myśli pan, że chodzi o „Alberta”?

Wzruszył ramionami.

–Czemu nie? Wyobraź sobie ten wielki liniowiec antylodowy krążący po polach Francji, pilotowany przez nieustraszonych *franc-tireurów*. Czy zniekształcone wieści na jego temat nie mogły dotrzeć do zdesperowanych Paryżan i spleść się z jakimiś bzdurami o Korsykaninie?

–W takim razie musimy udać się do Orleanu! – wykrzyknąłem.

–Mylicie się. Żaden szanujący się syn Francji nie chciałby mieć do czynienia z jarmarcznymi maszynami Anglików – warknął Nandron. – W opinii Rządu Obrony Narodowej technologiczna inwazja Wielkiej Brytanii na Francję jest równie ohydna, jak napór pruskich barbarzyńców...

–Mimo że nieco trudniejsza do sprecyzowania, hę? – oświadczył z humorem Traveller. – No cóż, mój chłopcze, nienawidź sobie, ile wlezie, nawet imienia Brytanii, ale jeśli nie przyjmiesz naszej brytyjskiej pomocy, to mimo moich czarodziejskich

talentów uzdrowicielskich nie dotrzesz na piechotę do Tours przed zimą.

–Dziękuję, ale wolę uczynić to własnym sposobem – rzekł lodowato Francuz.

Sfrustrowany Traveller palnął się w czoło.

–Czy głupota tego młodzieńca zna jakieś granice...?!

–Zrozumcie, nie jesteście tu mile widziani – oznajmił Nandron po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem. – Nie chcemy was. Musimy zrzucić jarzmo Prusaków, płacąc francuską krwią!

Podrapałem się po policzku.

–Żałuję, że nie może pan tego powiedzieć Gladstone’owi.

–Komu? – Nie wiedział, o kim mówię.

–Nieważne. – Wyprostowałem się. – No cóż, sir Josiah, wygląda na to, że więcej tu nie osiągniemy.

–Do Orleanu?

–Tak jest!

Pożegnaliśmy się z Nandronem, słysząc w zamian głucho milczenie, i wyruszyliśmy przez staranne rządki winorośli: kiedy obejrzałem się po raz ostatni, ujrzałem, jak uparty przedstawiciel rządu Francji, podskakując na jednej nodze, zbiera dokumenty i inne rzeczy, które z takimi trudnościami wywiózł z oblężonego Paryża.

Rozdział 14

Franc-tireurzy

–Nie mamy czasu do stracenia – powiedziałem z naciskiem. – Nawet w tej chwili „Książę Albert” może zbliżyć się do wojsk pruskich. Kiedy wybuchnie starcie, życie niewinnych osób na pokładzie liniowca z pewnością będzie narażone na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Traveller potarł podbródek.

–Tak, i twój ryzykancki plan odbicia Françoise utraci wszelkie szansę powodzenia, kiedy pruskie i francuskie pociski zaczną latać w powietrzu. Musimy znaleźć liniowiec, zanim zaatakuje Prusaków. Pośpiech jest wskazany z jeszcze jednej przyczyny, która może umknęła twojej uwadze.

–Cóż to za przyczyna?

Zacisnął kościstą pięść.

–Broń antylodowa.

–Przecież przygotowanie urządzeń, które pan opisał, musi zająć trochę czasu. Zwłaszcza że pan sam i pańska wiedza jesteście teraz poza terenem Anglii.

Pokręcił przecząco wielką głową.

–Obawiam się, że sytuacja nie wygląda tak pięknie, jak byś sobie życzył. Liczne urządzenia rakietowe... prototypy silników „Faetona”... leżą ukończone w moim laboratorium. Ludzie Gladstone’a niebawem przerobią je do swoich celów. I, Ned, nie wolno ci przeceniać wagi mojej osoby. Newton raz dwa pojąłby zasady działania silników antylodowych. Dzisiejszy łebski inżynier będzie potrzebował na to kilku minut. Nawet moje najbardziej oryginalne rozwiązania, w rodzaju żyroskopowego układu prowadzącego, nie są wcale tak trudne do pojęcia.

Jego uwagi były niezwykle niepokojące.

–Mój Boże. W takim razie musimy natychmiast startować!

–Nie. – Wskazał na ciemniejące niebo. Była już piąta po południu, a mieliśmy jesień. – Lądowanie „Faetonem” w głębokich ciemnościach pośrodku pola bitwy to niezbyt dobry pomysł. A poza tym obaj mamy za sobą bardzo ciężki dzień. Zaledwie kilka godzin temu witałem w moich progach starego Gladstone’a.

Użyłem wszelkich możliwych argumentów przeciwko dalszej zwłoce, ale Traveller

był niewzruszony. Tak więc pozostało nam jedynie przygotować się na jeszcze jedną noc w aluminiowych ścianach „Faetona”. Udało mi się sklecić jakiś posiłek z resztek konserwowanego prowiantu; Traveller napełnił kielichy znakomitym koniakiem i siedliśmy w światłach saloniku, jak dawniej w przestrzeni kosmicznej.

Centralny element saloniku, precyzyjny model „Wielkiej Wschodzącej”, zastąpiła replika, dokładna co do ostatniego szczegółu, na ile mogłem to ocenić. Pianinko Travellera pozostało na swoim miejscu, smutna pamiątka weselszych chwil.

Przez moment wspominaliśmy wyprawę w przestrzeń, ale nasze umysły były za bardzo zaangażowane w sprawy jutrzejszego dnia. W końcu powiedziałem:

–Oczywiście, bieg wypadków tej wojny nie zostanie zdeterminowany wyłącznie kwestią użycia antylodu. Przecież rząd z pewnością wykorzysta kanały dyplomatyczne. Ludzie z kontynentu muszą zdawać sobie sprawę, że w razie czego Brytyjczycy nie zawahają się użyć antylodu.

Roześmiał się.

–Aha, wystarczy, że stary Gladstone pogrozi im palcem, a oni grzecznie złożą broń! Nie, Ned, musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Bismarck wiedział wszystko o naszych możliwościach użycia antylodu, zanim wywołał tę wojnę, a jednak zlekceważył zagrożenie. Tylko zrzuć antylodowej bomby w środek jego armii przekona go, że nie będziemy przyglądać się z dala z założonymi rękami. Co zaś się tyczy Francuzów... Ned, ci ludzie walczą o swoje życie, honor i ukochaną *patrie*. Trudno się spodziewać, żeby rozważali teoretyczną możliwość użycia angielskiej superbroni. I w tym wypadku jedynie zastosowanie jej na polu bitwy przemówi im do rozsądku. Tak więc dyplomacja nie ma tu żadnego znaczenia; za jej pomocą nie osiągnie się niczego. I jestem przekonany, że do takich samych wniosków doszedł Gladstone i jego gabinet.

To była ponura ocena sytuacji. Pociągnąłem tęgi łyk koniaku.

–Tak więc uważa pan, że wszystko przemawia za użyciem antylodu.

Rozejrzał się po migocących palnikach.

–Nie widzę innej możliwości.

Pochyliłem się ku niemu.

–Sir Josiah, może powinien pan zostać w Anglii i wypowiedzieć się przeciwko takiemu krokowi. Być może siła pańskich argumentów przeważałaby w debacie.

Spojrzał na mnie z rozbawieniem w chłodnych oczach.

–Serdeczne dzięki za tę niezwykle przemyślaną i zgrabnie wyrażoną poradę, i to od człowieka, który nie zostawił mi żadnego wyboru, ale wręcz zmusił do opuszczenia miejsca, w którym niebawem zapadną najważniejsze decyzje! Ale moja obecność w kraju i tak nic by nie zmieniła. Gladstone nie przyjechał, by omówić zagadnienie, ale by zmusić mnie do poparcia swojej decyzji.

Tak minął wieczór.

Gdy zapadła ciemność, ułożyliśmy się do snu na wąskich kojach. Przez całą noc spoczywałem bez ruchu, ale w głowie wirowały mi tysiące scenariuszy przyszłych wypadków i prawie nie zmrużyłem oka.

Obaj zerwaliśmy się, kiedy szarość poranka wyrzała za bulajami. Mały Księżyc wisiał wysoko na czystym niebie, rozjaśniając ostrym światłem budzącą się okolicę.

Wymieniwszy kilka słów, umyliśmy się, odziali, zjedli z pośpiechem śniadanie i – w niecałą godzinę po świcie – kolejny raz wzbiliśmy się „Faetonem” w niebo okupowanej Francji.

Wiekowy Orlean znajduje się jakieś pięćdziesiąt mil na południe od Paryża, nad brzegami Loary. Cztery lata temu Joanna D’Arc, zwana Dziewicą Orleańską, uwolniła go z uścisku angielskiego oblężenia. Obecnie na przedpolach miasta toczyła się inna wojna, a Francja była w jeszcze bardziej rozpaczliwym położeniu.

Traveller uparł się, by napełnić zbiorniki, i ku mojej wielkiej irytacji posadził „Faetona” nad rzeką. Gderając, pomogłem mu przeciągnąć długie szlauchy do zarośniętego trzciną brzegu i czekałem z niecierpliwością, podczas gdy pompy zasysały płyn niezbędny do wprawiania w ruch silników.

Dotarliśmy do Orleanu tuż przed wpół do ósmej. Mimo niedawnego zwycięstwa Gambetty pod pobliskim Coulmiers sam Orlean był nadal okupowany. Kiedy zawiśliśmy jakieś ćwierć mili nad dachami i wieżyczkami miasta, rozglądając się przez teleskopy po uniesionych obliczach mieszkańców, wszędzie widzieliśmy pruskich żołnierzy i oficerów. Jeden z nich – kirasjer we wspaniałym napierśniku z białego metalu i hełmie z pióropuszem ślącym oślepiające błyski – wycelował w nas z karabinu i oddał strzał. Ujrzałem błysk i po chwili dobiegł mnie daleki huk wystrzału; ale kula spadła na ziemię, nie wyrządzając żadnej szkody.

Nie było śladu „Księcia Alberta”. Proponowałem, aby wylądować i zebrać świeże wiadomości, ale Traveller zwrócił moją uwagę na fakt, że roje Prusaków opuszczają kwatery; w świetle poranka widzieliśmy formującą się kolumnę marszową na północnych obrzeżach miasta.

–Myślę, że najmądrzej będzie zachować dyskrecję – powiedział Traveller. – Gdybyśmy wylądowali z hukiem, ci skorzy do walki Niemcy niewątpliwie wpadliby w

bitewny zapal.

–Co w takim razie powinniśmy uczynić?

Inżynier, spoczywający na kanapce pilota, manipulował przy okularze peryskopu.

–Rzekłbym, iż pruska kolumna szykuje się, by wyruszyć na zachód, może w kierunku Coulmiers, aby znów zetrzeć się z Francuzami. Niewątpliwie jeśli mamy spotkać „Alberta”, to najpewniej tam.

–A jeśli znów się nam nie uda?

–To wtedy faktycznie pozostaje nam tylko wylądować z nadzieją, że zdołamy zasięgnąć języka i nie dostać przy tym kuli w łeb. Ale nie ma co martwić się na zapas. Do Coulmiers!

Traveller poprowadził „Faetona” lśniącym szlakiem Loary na zachód, a po jakimś czasie skręcił na północ, nad szeroką równinę ograniczoną żywopłotami. Lecz im bliżej było Coulmiers, tym wyraźniejszy stawał się kobierzec barw wyrastający nad horyzontem, urozmaicenie nudnego pejzażu francuskiej wsi. Niebiesko-szare kurtyny kurzu i metaliczne błyski zwiastowały przemarsz wojsk. Ten obszar aktywności powoli, ale nieustępliwie przemieszczał się na wschód, ku Orleanowi!

Tak więc natrafiliśmy na francuską Armię Loary, nową *levee en masse* Gambetty.

Przemknęliśmy nad nadciągającymi wojskami jak drapieżny ptak. Z bliska te spore, lichy odziane i nie najlepiej wyposażone oddziały nie robiły już wrażenia. Działa artyleryjskie ciągnięte przez konie sunęły jak żelazne tratwy w morzu żołnierstwa, ale granatowe szynel i czerwone czapki piechoty, zniszczone białe plecaki i płótna namiotowe, wszystko świadczyło o wielodniowych ciężkich przeprawach. Twarze, zarówno młode, jak i stare, pełne były zmęczenia i lęku.

Kolejny raz obsypano nas kulami, nie czyniąc żadnej szkody; lecz kiedy zatrzymano działa i skierowano lufy w górę, Traveller szybko zwiększył wysokość.

Gdy żołnierze kolejny raz zlali się w monstrualne ludzkie morze, zdałem sobie sprawę z ogromu pospolitego ruszenia. Oddziały wypełniały przestrzeń po horyzont, wielka fala grożąca zatopieniem dumnych Prusaków, jak zdarzyło się to wielu na-jeźdźcom.

–Dobry Boże, Traveller, to największa armia świata – powiedziałem. – Tam musi być pół miliona żołnierzy. Zmiażdżą Prusaków samą przewagą liczebną.

–Może. Ten Gambetta najwyraźniej umie przemówić do ludzkich serc, że zebrał takie masy. Tyle że niektóre z dział wyglądają na mocno przestarzałe, a czy

zauważyłeś te flinty? Trudno będzie zaopatrzyć w amunicję tych dzielnych ludzi, kiedy każdy taska broń innego kalibru.

Traveller okazał się bystrzejszym obserwatorem ode mnie, ja bowiem nie zwróciłem uwagi na te sprawy.

–Więc zapatruje się pan pesymistycznie na ich szansę w starciu z Prusakami? – spytałem.

–Dość napatrzyłem się wojny i wiem więcej o jej mechanizmach, niżbym tego pragnął – rzekł, odsuwając peryskop. – Przewaga liczebna, chociaż jest istotnym czynnikiem, niewiele znaczy w obliczu wyszkolenia i umiejętności. Spójrz na ten żaloszny szyk, Ned! Francuzi są jeszcze w marszu, a już ich zgrupowano w formacje bojowe. To wyraźnie świadczy, że nie umieją się szybko przegrupować. Dowódcy pewnie dużo wcześniej muszą zaganiać ich niczym stado baranów i wieść jak do bitwy. Tymczasem Prusacy maszerują swobodnie i w każdej chwili potrafią sformować szyk bojowy... Ned, lękam się, że czeka nas dzień krwi i grozy. Jeśli dzisiejsze starcie ma okazać się decydujące, to możemy się jedynie spodziewać sukcesu Prusaków...

Ale ledwo go słuchałem, gdyż na wschodzie dostrzegłem coś nowego. Jakby jakaś forteca wyrastała nad połyskującymi bagnetami francuskich żołnierzy; ale ta forteca toczyła się równiną wraz z piechotą...

Niezdolny powściągnąć ekscytację, odwróciłem się i złapałem Travellera za ramię.

–Sir Josiah, niech pan spojrzy tam. Czy Prusacy nie zawrócą i nie uciekną przed... tym?

To był „Książę Albert”. Znaleźliśmy go w końcu!

Liniowiec lądowy był sztabą żelaza unoszącą się pośród ludzkiego oceanu. Statek zostawiał pasma poruszonej ziemi, idealnie proste bruzdy sięgające horyzontu. Traveller był uradowany tym dowodem sprawności antylodowego systemu napędowego.

Najwyraźniej na pokładzie „Alberta” pozostała nadal masa ludzi, znająca historię jego powstania i związki łączące go z niesłychaną łodzią powietrzną, która nad nimi zawisała, powitały nas bowiem wiwaty z pokładu spacerowego i okrzyki żołnierzy kroczących blisko błotnistych kolein. Pomachałem w odpowiedzi, mając nadzieję, że widać mnie przez kopułę „Faetona”. To była ze wszech miar przyjemna odmiana po karabinowych kulach na dzień dobry.

Lecz Traveller zachował mroczny wyraz twarzy; przyłożywszy oko do peryskopu, oceniał szkody, które poniosła jego gigantyczna maszyna.

Pięć z sześciu kominów stało nadal, chociaż ozdobna czerwona farba była zniszczona i pokryta błotem. W miejscu, w którym niegdyś sterczał szósty, ziała tylko wielka, czarna, rozwarta rana, prowadząca jak usta trupa w ciemne wąpia statku. Zglądając w nią, wspomniałem szczegóły tamtego upiornego sierpniowego dnia, kiedy przeprowadzono rozruch silników. Krew uderzyła mi do głowy, tak że niemal słyszałem, jak tętni mi w skroniach.

Reszta uszkodzeń wyglądała na powierzchowne. Osłonięte szkłem zejściówki, zdobiące niegdyś burty, odcięto i zastąpiono sznurowymi drabinkami – podejrzewam, że obecni posiadacze statku obawiali się abordażu. W kadłubie wyrąbano tysiąc nieregularnych otworów. Kiedyś może odsłoniłyby eleganckie wnętrza salonów lub delikatne koronki żelaznych arabesek, typowe dla oszczędnej elegancji statku, lecz teraz widniały w nich brzydkie paszcze niewielkich dział.

W rzeczy samej liniowiec lądowy przemieniono w maszynę wojenną.

Traveller był zły i głęboko rozgoryczony.

–Edwardzie, gdyby tylko Prusacy uświadamiali sobie, jak delikatny jest „Albert”, z pewnością nie pozwoliliby mu wtargnąć tak głęboko w obszar Francji.

–Ale widzi pan, że dla francuskiej piechoty jest czymś na kształt świętego sztandaru, znakiem, pod którym się gromadzi.

–To symbol, ale nic więcej. I, Edwardzie, ten symbol prędzej poprowadzi biedaków do grobu niż ku wiktorii.

Zmarszczyłem brwi i odwróciłem się ku bulajowi wychodzącemu na wschód.

–W takim razie lepiej będzie, jak wylądujemy bez dalszej zwłoki, sir Josiah, gdyż... niech pan patrzy!

Na horyzoncie, pod lśniącym Małym Księżycem, rozciągała się połyskliwa linia srebra, granatowych mundurów, ziejących paszcz dział, nerwowo tańczących wierzchowców. Pruska armia, która opuściła Orlean, zbliżała się w szyku bojowym.

Od bitwy dzieliło nas może pół godziny.

Ozdobną sadzawkę „Alberta” zakryto deskami i ogród zamienił się w błotnistą kałużę zasłaną pniakami połamanych drzew. Cały górny pokład był pełen artylerii i ludzi gotowych do walki; ta zbieranina obejmowała z jednej strony wspaniałych oficerów huzarów w wysokich czapach z czarnej owczej wełny, z drugiej cywili – panów i panie – w zniszczonych, niegdyś eleganckich strojach. Widząc tych ostatnich, poczułem uścisk w sercu, ponieważ jeśli zwiedzający tego autoramentu, osoby dobrze urodzone, pozostali na statku po nieszczęsnym rozruchu silników, to

była jakaś szansa, że znajdę Françoise żywą.

Traveller przez dobrą chwilę utrzymywał „Faetona” w bezruchu, aż zrozumiano nasze intencje; jeden z oficerów huzarów wziął się do usuwania ludzi z miejsca lądowania.

„Faeton” spoczął na pokładzie tak łagodnie, jakby był ze szkła. Nie czekając, aż dysze ostygną, otworzyłem właz, opuściłem drabinkę sznurową i zszedłem na pokład.

Oślepiło mnie mocne słońce. (Tymczasem zrobiło się wpół do dziewiątej). Kiedy hałas silników ucichł, osoby z pokładu spacerowego, zarówno żołnierze, jak i cywile, zbliżyły się do nas. Wszyscy byli uzbrojeni, nawet pewna kobieta! Byłem wstrząśnięty tym widokiem. Ta wyjątkowa istota miała na sobie resztki jedwabnej sukni, która przypominała mi kreację noszoną przez Franc tamtego dnia; ale suknia była porwana i zakrwawiona, odsłaniając spore fragmenty bielizny, co w mniej ponurych okolicznościach świadczyłoby o wielkim braku skromności. Kobieta miała zabrudzone oblicze ziemistej barwy, w dłoniach fuzję myśliwską, wycelowaną we mnie równie sprawnie i bezwzględnie, jak broń jej towarzyszy brzydszej płci.

Z podejrzliwie spoglądającej zbieraniny wyłonił się ten sam oficer, który uprzednio opróżnił lądowisko. Był to wysoki mężczyzna mający około trzydziestu lat, w dobrze skrojonym brązowym mundurze i białej szarfie, oznace pułku. Surowe spojrzenie piwnych oczu, cienki wąsik, regulaminowo zapięty pasek czapki – wszystko to świadczyło o sile woli, inteligencji i kompetencji. Ale pod oczami widniały ciemne podkowy, a twarz okrywał kilkudniowy zarost. Przedstawił się jako kapitan Drugiego Pułku Huzarów i spytał o powód naszego przybycia. Ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, ze wschodu dobiegło nas jakby ciężkie basowe kasznięcie.

Huzar padł na pokład jak podcięty; Traveller i ja nieco wolniej poszliśmy w jego ślady.

–Pruska artyleria – szepnął Traveller.

–Niewątpliwie. Niech tylko wstrzelą się w cel... Gdzieś po mojej lewej stronie rozległ się ostry gwizd. Pocisk zarył się w ziemię nieopodal rzeszy francuskich żołnierzy i wybuchł, nie czyniąc żadnej szkody. Pasażerowie „Alberta” wydali bezładny okrzyk zadowolenia.

Lecz ochota do wiwatowania znacznie opadła, kiedy drugi pocisk uderzył w ziemię około ćwierć mili za naszymi plecami, rozrzucając żołnierzy jak kula kręgle. Pokład zatrzęsł się pode mną i wielki gejzer koloru rdzy trysnął w powietrze. Był to przerażający widok. Bryły ziemi i ludzkie szczątki wymieszały się tak ściśle, jakby ranę zadano samej Ziemi.

–Traveller, to bitwa?

–Obawiam się, że tak, chłopcze.

Huzar odwrócił się do mnie i rzekł potoczystą francuszczyzną:

–Panowie, jak widzicie, zostaliśmy namierzeni; jeśli nie chcecie, żeby wasza zabawka została rozerwana na kawałki, to lepiej udajcie się w jakieś zaciszniejsze miejsce.

Złapałem go za ramię.

–Czekaj pan! Szukamy pasażerki tego statku, została uwięziona, kiedy...

Ale kapitan z gniewnym zniecierpliwieniem odtrącił moją rękę i pośpieszył do podkomendnych. Odwróciłem się do Travellera.

–Muszę ją odszukać – powiedziałem.

–Edwardzie, mamy nie więcej niż dziesięć minut. Jeden dobry strzał Prusaków...

Rozpaczliwie potrząsnąłem go za ramiona.

–Dotarliśmy tak daleko. Zaczeka pan na mnie?

Odepchnął mnie ze słowami:

–Nie trać czasu, chłopcze.

Błąkałem się po pokładzie jak w koszmarnym śnie. Nie po-trafiłem wyobrazić sobie Françoise w innej roli niż uwięzionej pasażerki, ofiary, dlatego też szukałem jej kryjówek bądź prowizorycznej celi. Zajrzałem w dół schodów prowadzących do wnętrza statku. Ale tam, gdzie niegdyś królowały szampan i błyskotliwa konwersacja, wszystko kojarzyło się z wnętrzem okrętów wojennych lorda Nelsona. Lufy dział wyglądały z rozdartych płyt kadłuba jak psie pyski, wszędzie unosił się smród kordytu i oparów formaldehydu, wszędzie leżały zwoje bandaży jak w lazarecie. Natknąłem się na salon reprezentacyjny – lub to, co z niego pozostało. W miejscu, gdzie niegdyś ozdobne panele osłaniały komin, ziała ohydna dziura, a całe wnętrze było szerniałe i zniszczone. Ale ludzie, którzy się tam poruszali, z równo mężczyzn, jak i niewiasty, nie ulegli panice, szykowali broń. Postacie z eleganckich malowideł, zniszczonych, popękanych, oglądały ze zdumieniem i niewiarą wydarzenia, których nie przewidzieli twórcy porozwieszanych dzieł.

Lecz nigdzie nie zauważyłem śladu Françoise. Byłem tak podminowany, że niemal odchodziłem od zmysłów.

Wróciłem na pokład spacerowy. Ze wszystkich stron dobiegały mnie bezładne okrzyki. Wyjrzałem poza burtę. Nierówne francuskie formacje rozpoczęły już wymianę ognia z Prusakami. Pociski z gwizdem przelatywały nad naszymi głowami, płynęła francuska krew. Odezwały się również działa „Alberta”. Z każdym wystrzelianym pociskiem cała delikatna konstrukcja liniowca trzęsła się i dygotała.

Wtem usłyszałem Travellera wzywającego mnie po imieniu. Jego głos miał siłę oboju pokonującego z łatwością harmider wielkiej orkiestry podczas strojenia instrumentów. Odwróciłem się ku „Faetonowi”. Kiedy inżynier mnie zobaczył, wskazał na niebo.

Mrużąc oczy w blasku wschodzącego słońca, ujrzałem białą linię, coś na kształt wąskiej chmury, przecinającą niebiosa na tle Małego Księżyca. Ta linia wydłużała się, jakby pisana ręką Boga... i zmierzała nad polem bitwy w kierunku Orleanu. Żaden dźwięk nie towarzyszył zjawisku i jednocześnie rozjuszeni i ogarnięci trwogą żołnierze nie zwracali nań najmniejszej uwagi.

Bez kłopotu zrozumiałem, co widzę. To była antylodowa rakietka. Serce mi zamarło, nie z lęku o siebie, ale porażone wstydem w tej godzinie hańby Anglii i wszystkich Anglików.

Jednak otrząsnąłem się i rozejrzałem po najbliższym otoczeniu. Chaos rósł. Zastanawiałem się, jak doprowadzić do końca poszukiwania w ciągu tych paru chwil, które zostały do spadnięcia anty lodowej bomby.

Dostrzegłem kobietę żołnierza, którą zauważyłem wcześniej. Zażarta damulka wybrała stanowisko strzeleckie przy relingu dziobowym i przyciskała broń do ramienia, celując w Prusaków. Postanowiłem ją zagadnąć. Z pewnością te nieliczne kobiety, które pozostały na statku, pomagały sobie i wspierały się nawzajem, bez względu na to, co sądziły o całym konflikcie, tak więc może ta współczesna Joanna mogłaby wskazać mi drogę do Françoise, której uratowanie było moim jedynym celem w tym całym zamieszaniu!

Zacząłem powoli przedzierać się na dziób. Pobudliwi Francuzi miotali się między burtami, podekscytowani wonią pruskiej krwi, nieraz zbijając mnie z nóg. Panowała piekielna wrzawa. Pruskie pociski nadal wybuchały nad nami i co chwila musiałem przykucać lub nawet kłaść się plackiem na pokładzie.

Lecz w końcu dotarłem do walecznej damy. Strzelała z lodowatym spokojem, a kiedy położyłem jej dłoń na ramieniu, odwróciła się do mnie i warknęła szybko po francusku z marsylskim akcentem:

–Zjeżdżaj, do diabła! Czego chcesz...? – Wtem przerwała i zwęziła oczy – błękitne oczy, których urody nie mogła zasłonić maska kurzu, okrywająca twarz.

Cofnąłem się, zapominając o armatniej kanonadzie.

–Françoise? To ty?

–A któż by inny! A kim ty, do diabła... Ach, przypominam sobie. Vicars. Edward Vicars. – Miałem wrażenie, że jej oblicze oddala się ode mnie, jakbym patrzył przez odwróconą lunetę. Krew zakrzepła mi w żyłach i ogłuchłem na huk bitwy.

Tak więc to była prawda. Jak podejrzewał Holden, jak szybko dostrzegł Traveller. Tylko ja w swojej naiwności i głupocie nie chciałem niczego zrozumieć.

Potrząsnęła głową, dopuszczając do siebie zdumienie mimo napięcia i gniewu.

–Edward Vicars. Myślałam, że zginąłeś w wybuchu.

–Byłem na pokładzie „Faetona”, kiedy doszło do eksplozji. Frederic Bourne porwał latający statek. Polecieliśmy... Françoise, polecieliśmy na Księżyc!

Popatrzyła na mnie, jakbym oszalał.

–Co mówisz...? Ale co się stało z Frederikiem?

–Żyje i jest dobrze strzeżony. Ale co z tobą... – Położyłem dłonie na jej ramionach i poczułem, jak bardzo jest napięta. – Françoise, co się z tobą stało?

Odepchnęła mnie i przycisnęła broń do ubrudzonej sukni.

–Nic mi się nie stało.

–Ale twoje zachowanie... ta broń...

Roześmiała się.

–Cóż w tym dziwnego, że kobieta dzierży broń? Jestem Francuzką, a mojemu krajowi zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo! Oczywiście, użyję jej.

–Ale... – Smród dymu i kordytu, dziki huk pocisków, kołysanie się pokładu – wszystko to przyprawiało mnie o zamęt w głowie. – Myślałem, że może zginęłaś, kiedy komin wybuchł; a jeśli przeżyłaś, to że cię uwięziono.

Przysunęła się do mnie i popatrzyła mi głęboko w oczy. Na jej twarzy, która niegdyś wydawała mi się piękna, malowała się pogarda.

–Kiedyś uważałam, że ty i podobni tobie jesteście... mili. W najgorszym wypadku nieszkodliwi. Teraz widzę, że jesteś niebezpiecznym głupcem. Edwardzie, posłuchaj. Nie mogłam zostać ranna, bo ukryłam się w najdalszym kącie statku, po tym, jak

podczas obchodu z tamtym inżynierkiem zakręciłam kurek odcinający.

Wreszcie zrozumiałem, dlaczego tak mi zależało na przybyciu do tego straszego miejsca. Zjawiłem się tu, aby w końcu spojrzeć prawdzie w oczy. I dowiedziałem się, jak wygląda, naga i straszliwa. Niemal nie mogłem mówić.

Zahuczał nadlatujący pocisk. Był głośniejszy niż wszystkie do tej pory. Staralem się przekrzyczeć huk:

–Françoise... wróć ze mną!

Otworzyła usta i wybuchła gromkim śmiechem. Na jej ślicznych ząbkach zaśniła ślina.

–Ned, wy, Anglicy, nigdy nie pojmiecie, co to jest wojna. Wynoś się do domu. –
Odwróciła się ode mnie i...

...pokład podskoczył. Runąłem na plecy. Uszy wypełnił mi huk i zgiełk okrzyków.

„Albert” został trafiony. Zarył się w ziemię. Traveller miał rację; wystarczył jeden pocisk, żeby unieruchomić liniowiec. Cztery kominy pracowały nadal, lecz z piątego wzlatywał złowróźbny czarny dym, a z otchłani statku dobiegał powolny, rozpaczliwy zgrzyt, jakby metalowe odnóża drapały grunt, nadaremnie usiłując zdobywać przestrzeń.

Pokład spacerowy zamienił się we wzburzony ocean metalu. Stalowe płyty uwolniły się ze śrub i sterczały na wszystkie strony.

Żołnierze leżeli pokotem, karabiny i działa wyglądały jak porozrzucone zabawki. Ale wszędzie wszczął się już ruch, żywi pełzali po trupach towarzyszy broni, sięgając po karabiny.

Françoise znikła. Może ocknęła się wcześniej ode mnie – a może leżała ranna lub bez życia pośród swych ziomków, nowa Dziewica Orleańska.

Nie byłem w stanie niczego dla niej uczynić – zapewne nie tylko w tej chwili, ale zawsze. Musiałem skupić się na ratowaniu własnego życia. „Faeton” nadal stał na pokładzie, chociaż pod nieco zwariowanym kątem. Kiedy rzuciłem się do biegu, druga eksplozja wstrząsnęła statkiem i kolejny raz padłem na zlany krwią pokład. Wyglądało na to, że „Księżę Albert” sam rozpadnie się na kawałki bez dalszej pomocy Prusaków.

Z dysz „Faetona” buchała para. Wdrapałem się po drabince, wciągnąłem ją za sobą, zatrzasnąłem właz, a potem resztką sił powlokłem się na mostek.

Traveller spoczywał na kanapce. Jego twarz była groteskową maską; platynowy nos został oderwany i w tym miejscu była tylko dziura, z której sączyła się gęsta, ciemna krew. Zimne oczy omiotły mnie krótkim spojrzeniem, po czym nacisnął dźwignie sterujące i „Faeton” bez ceremonii wzbił się w powietrze.

Równocześnie światło skąpało mostek. Przyłgnałem do podłogi, podczas gdy statek podskoczył w wirujących masach powietrza, niczym spłoszony koń!

Naczynia Dewara na pokładzie „Alberta” odmówiły posłuszeństwa. Uwolniona energia rozerwała kadłub statku jak papierową torebkę. Powiew żaru niczym wiatr z piekła złapał „Faetona” i cisnął wzwyż, jakby był jesiennym liściem niesionym nad ogniskiem. Traveller długo walczył z dźwigniami sterującymi, a mnie pozostało tylko czekać na chwilę, w której latający statek fiknie kozła, spadnie i roztrzaska się o ziemię.

...Ale powoli opuszczaliśmy burzową strefę, wrzenie powietrza ustało. „Faeton” przestał stawać dęba, jedynie łagodnie zatoczył się kilka razy i w końcu wyrównał lot.

Powstałem ostrożnie; wydawało mi się, że każdy cal mojego ciała przeszedł solidną i systematyczną młóckę. Ale nie odniosłem żadnej rany, wszystkie kości miałem całe, tak że kolejny raz mogłem podziękować Bogu za wyratowanie mnie z opałów.

Traveller odwrócił do mnie okropną twarz.

–Nic ci nie jest?

–Nie. Françoise... jest *franc-tireurem*.

–Ned, ona z pewnością już nie żyje. Ale to była jej decyzja... I mnie nie pozostaje nic innego – dodał tajemniczo.

Wyrząłem na zewnątrz. Oddziały Francuzów i Prusaków zwały się w starciu. Pod sobą mieliśmy obszar kurzu, rozlanej krwi, tysiący niewielkich eksplozji; los łaskawie oddzielił nas od tego pola śmierci, toteż nie słyszeliśmy krzyków rannych i nie czuliśmy smrodu krwi.

Traveller wskazał na lewo.

–Patrz. Widzisz? To ślad bomby Gladstone’a. Spojrzałem w górę. Kiedy wyteżyłem wzrok, dostrzegłem dziwną linię oparu, rozciągniętą w powietrzu. Nieco się powykrzywiała. Czy naprawdę minęły tylko minuty od chwili, w której stałem na pokładzie „Alberta” i przyglądałem się temu śladowi?

–Traveller, dokąd ona leci?

–No cóż, z pewnością została wycelowana w pole bitwy. Czyż jest jakiś lepszy sposób zademonstrowania niezadowolenia jego królewskiej mości niż upokorzyć jednym ciosem dumę Prusaków i Francuzów...? Ale te jolopy Gladstone'a pokpiły sprawę. Przestrzeliły. Wiedziałem, że powinienem zostać w kraju i zrobić za nich wszystko, jak należy. Wiedziałem...

Mówił spokojnym tonem, ale kryła się w nim dziwna nuta, i czułem, że lada chwila straci nad sobą panowanie.

–Traveller, być może to błogosławieństwo, że źle wycelowano. Jeśli bomba spadnie bez szkody na obszar niezamieszkały...

–Ned, w komorze ładowania bomby jest naczynie Dewara zawierające kilka funtów antylodu. Niepodobna, aby spadła „bez szkody” ... A zresztą śledziłem trajektorię lotu na tyle długo, że wiem, gdzie spadnie.

–Gdzie?

–To nastąpi za kilka sekund, Ned; lepiej zasłoń oczy.

–Gdzie, do cholery?!

–Na Orlean.

Najpierw rozkwitło przepiękne światło, rozszerzające się po ziemi we wszystkich kierunkach z centrum starego miasta. Kiedy opadło i mogliśmy otworzyć oślepienie i zalane łzami oczy, ujrzeliśmy, że za światłem ruszył w pogoń potężny wiatr; drzewa łamały się jak zapałki, domy sypały w gruzy.

W kilka sekund po bombardowaniu nad miastem wzniósł się ogromny balon dymu. Monstrualna burzowa chmura żeglująca do nieba, która czerniała w miarę wysokości, a której spód lizało czerwone lśnienie przywodzące na myśl ognie piekieł – niewątpliwie odblask pożarów Orleanu. Błyskawice przeszywały kłęby dymu.

Wszystko to rozgrywało się w zupełnej ciszy.

Zdałem sobie sprawę, że walczące armie znieruchomiały, karabiny i działa umilkły. Zapewne setki tysięcy żołnierzy odwracały się od dotychczasowych przeciwników i kierowały wzrok ku monstrualnej zjawie.

–Co ja zrobiłem? – szepnął Traveller. – Sewastopol przy tym to pestka.

–Nie mógł pan temu zapobiec... – usiłowałem go uspokoić.

Odwrócił się do mnie. Parodia uśmiechu pojawiła się na groteskowo wyglądającym

obliczu.

–Ned, od czasu Krymu poświęciłem życie pokojowemu wykorzystaniu antylodu. Wierzyłem, że jeśli uda mi się spożytkować to cholerstwo do nieszkodliwych, choć czasem efektownych celów, wtedy ludzie nigdy więcej nie użyją go przeciwko sobie. No cóż, teraz odpowiedzialność spada na Gladstone'a... Aleja zawiodłem. Więcej, rozwijając coraz to bardziej pomysłowe technologie, sprowadziłem ten dzień na Ziemię. Ned, chciałbym zademonstrować ci jeszcze jeden wynalazek.

Zaczął rozpinąć pasy. Upiorny uśmiech nadal zniekształcał mu twarz.

–Jaki?

–To pomysł Leonarda, jednego z tych niewielu Włochów, którzy mieli smykałkę do spraw praktycznych. Sądzę, że uznasz go za zabawny...

I przy ostatnich słowach walnął mnie z całej siły pięścią w skroń.

Zimne powietrze otrzeźwiło mnie jak uderzenie w policzek. Otworzyłem oczy. W głowie czułem pulsujący ból.

Cały zasięg mego pola widzenia wypełniał Mały Księżyc.

Siedziałem w rozwartym włazie, blisko saloniku. Nogi dyndały mi poza kadłubem, pod sobą miałem setki metrów pustki, a potem pole bitewne. Do piersi przytroczono mi dziwny bawełniany plecak barwy khaki, przypominający żołnierski tornister.

Ocknąwszy się zupełnie, gorączkowo złapałem się krawędzi włazu. Czyjaś dłoń spoczęła na moim ramieniu. Odwróciłem się i patrzyłem tępo na długie palce, wyglądające jak odnóża starego pająka.

Oczywiście, była to dłoń Travellera.

–Niewiele zostało do zrobienia, Ned – powiedział, przekrzykując wycie powietrza. – Antarktyczny pokład anty lodu jest już niemal na wyczerpaniu. Teraz muszę tylko zniszczyć ostatni zapas. – Roześmiał się. Dziura w twarzy zniekształcała brzmienie głosu, który i bez tego miał przerażający ton.

–Traveller, wyładujmy gdzieś w bezpiecznym miejscu... – zacząłem.

–Nie, Ned. Kiedyś nasz młody francuski sabotażysta powiedział, że dla zniszczenia kilku uncji antylodu warto poświęcić życie patrioty. No cóż, dzisiaj muszę przyznać mu rację. Zamierzam zniszczyć „Faetona” i tym aktem skruchy przyspieszyć usunięcie antylodowej klątwy z powierzchni Ziemi.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

–Traveller, rozumiem. Ale...

Ale nie dane mi było kontynuować, gdyż poczęstowany kopniakiem w miejsce, w którym plecy kończą swoją szlachetną nazwę, wypadłem nogami do przodu w przestwór!

Kiedy poczułem w uszach świst zimnego powietrza, wrzasnąłem, przekonany, iż w końcu przyjdzie mi umrzeć. Jakich głębi rozpacz musiał sięgnąć Traveller, że zdecydował się na podobny czyn – pomyślałem, ale... po przeleceniu około pięćdziesięciu stóp poczułem ostre szarpnięcie na wysokości torsu. Dopiero teraz dostrzegłem sznury przymocowane do plecaka. Naprężyły się i chociaż początkowo wydało mi się, że zawisam w powietrzu, po chwili stwierdziłem, iż powoli opadam. Spojrzałem w górę – z trudnością, gdyż pasy plecaka wrzynały mi się w pachy. Okazało się, że sznury zamocowane do plecaka sięgają konstrukcji z materiału i linek, czaszy łapiącej powietrze, tak że moje spadanie zostało spowolnione do bezpiecznej prędkości.

Wierząc się, popatrzyłem z kolei w dół, poniżej dyndających stóp. Antylodowa chmura nadal rosła, wspinając się nad trupem Orleanu. Armie Francji i Prus rozciągały się pode mną, ale nie przeprowadzały żadnych manewrów i uznałem za rzecz nie do pojęcia, żeby po tym, co zaszło, ludzie ci znów rzucili się sobie do gardeł. W ciszy i spokoju mojego otoczenia przyszło mi do głowy, iż teraz, kiedy właściwie wyczerpano światowe zasoby antylodu, ten upiorny... wypadek... będzie ostrzegał przyszłe pokolenia przed niebezpieczeństwami i potwornościami wojny.

Może Traveller wreszcie osiągnął swój cel, świat pozbawiony wojen – ale za cenę trudną do zaakceptowania.

Gdzieś znad mojej czaszy dobiegał ryk i padał blask ognia. Znów wykręciłem głowę w górę – tam, gdzie zdumiony Mały Księżyc spoglądał na umęczoną Ziemię – i ujrzałem cudownego „Faetona”, jak po raz ostatni stroszy pióropusze pary.

Wspinał się coraz wyżej niezachwianym kursem. Niebawem tylko smuga skondensowanej pary, pozostałość bomby Gladstone’a, wyznaczała jego lot i zrozumiałem, że Traveller nie miał zamiaru powracać do świata ludzi. W końcu smuga stała się prawie niewidoczna, gdy Traveller dosięgnął granicy atmosfery... ale biegła niczym strzała w serce Małego Księżyca.

Teraz intencja Travellera stał się oczywista. Zamierzał roztrzaskać latający statek o powierzchnię ziemskiego satelity.

Minęło kilka minut. Wszelki ślad po „Faetonie” się rozplynął, a ja huśtałem się bezwolnie, chociaż wygodnie, pod czaszą Leonarda; nie odrywałem wzroku od

Małego Księżyca, żywiąc nadzieję, iż wypatrzę moment upadku „Faetona”...

Światło zalało Ziemię po horyzont. Można by pomyśleć, że niebo się zapaliło.

Mały Księżyc eksplodował.

Oślepiiony opadłem ciężko na ziemię w sam środek ugrupowania zdumionej francuskiej piechoty.

Epilog

List do syna

Leśnie Ustronie, Sussex,

4 listopada 1910 roku

Mój drogi Edwardzie,

mam nadzieję, że otrzymując tę paczkę, będziesz w takim stanie, w jakim ja ją nadawałem, to jest zdrowy na ciele i umyśle.

Niewątpliwie doznasz zaskoczenia, otwierając najświeższą przesyłkę i widząc zamiast pisma Twojej drogiej matki kilka stron zaczernionych moją ręką. Mam nadzieję, że wybaczysz mi, iż pominię milczeniem wypadki, które zaszły ostatnio w domu, powiem tylko, że wszyscy jesteśmy zdrowi, dobrej myśli i ogromnie za Tobą tęsknimy.

Ujmuję pióro w dłoń, żeby niezdarnie spróbować zasypać przepaść, która nie powinna dalej rozdzielać ojca i syna. Biorę na siebie całe brzemie winy za istniejącą do tej pory sytuację i być może zdajesz sobie sprawę, że nasza ostatnia długa rozmowa przed objęciem przez Ciebie stanowiska w Berlinie – pamiętasz może tamto późne sobotnie popołudnie, fajczany dym, szklaneczki whisky i bambosze przed gasnącym kominkiem – to była wcześniejsza próba przełamania dzielących nas lodów. Oczywiście, nie udało mi się ich roztopić. A jednak w obliczu Twego czystego gniewu serce mi pękało, gdy widziałem w Tobie tamtego wieczoru tak wiele z mej własnej osoby, mnie samego sprzed trzydziestu czy czterdziestu laty!

Pozwól, że użyję zwyczajnych słów: jestem Twoim ojcem. Nie brak mi odwagi, a tym bardziej patriotyzmu. Zapewniam Cię, że pod tymi względami nie musisz się mnie wstydzić. Ale moje poglądy na zbliżający się konflikt z Prusakami wyraźnie odbiegają od tego, co Ty sądzisz na ten temat.

Nie mam zamiaru narzucać Ci moich przekonań; jesteś oficerem najwspanialszej armii świata i jestem z Ciebie bardzo dumny. Ale pragnę, żebyś mnie zrozumiał. Kiedy wojna wybuchnie – a jak wierzę, jest to nieuchronne – wtedy, oby Bóg miał Cię w swojej opiece, z pewnością staniesz się innym człowiekiem i pragnę wytłumaczyć przed Tobą – młodzieńcem, którego wychowałem – moje postęпки od tamtych fatalnych dni 1870 roku.

Przeczytałeś moje zapiski o wydarzeniach, w których uczestniczyłem czterdzieści lat temu – jak i bardziej wygładzone relacje sir George' a Holdena. George przed przedwczesną śmiercią, spowodowaną nadmiernie swobodnym pochłanianiem

portwajnu i innych trunków, wykorzystał swe doświadczenia do uzyskania satysfakcjonujących, wręcz lukratywnych dochodów. Fortunę, oczywiście, zbił na publikacji romansu naukowego *Nowa Kartagina*, którego akcja zasadzała się na odkryciu antylodu przez mieszkańców tego starożytnego miasta i następnie opisie spektakularnej zemsty na ich odwiecznych wrogach, Rzymianach. Krytyka uznała dzieło za „gładko napisane, ale daleko odbiegające od rzeczywistości”, co pokrywało się z oceną Josiaha Travellera, kiedy rzucił pomysł Holdenowi wiele lat temu na pokładzie „Faetona”!

Nie zazdroszczę George’owi ani pensa z niespodziewanie osiągniętych dochodów – zasłużył na ten uśmiech losu – i nigdy nie gonilem za sławą.

Powróciwszy do Anglii, po tym jak zrzucono pierwszą bombę Gladstone’a, zrezygnowałem ze stanowiska w Londynie i udałem się do rodzinnego Sussexu. Podjąłem studia, publikowałem artykuły i pracowałem w spokoju – starannie unikając wszelkiego rozgłosu -jako radca prawny, który jeśli już mógł się poszczycić jakimikolwiek osiągnięciami, to jedynie w lokalnym wymiarze.

Lecz obserwowałem rozwój wydarzeń w skali światowej, który nastąpił po tamtym jesiennym kataklizmie, i wydawało mi się czasem, że dalszy ciąg dziejów ludzkości rozwijał się niczym chorowity kwiat z tamtego jednego straszliwego ziarna, bomby Gladstone’a.

Nie będę się rozwodził nad tym, jak wyglądał zrównany z ziemią Orlean. Oby Bóg oszczędził Ci takich widoków, Edwardzie. Lecz być może wymogi służby rzucą Cię w to upiorne miejsce, w którym nadal stoi „Książę Albert”, unieruchomiony przez pruską artylerię, rdzewiejący pomnik kolejnej wojny.

Oczywiście, zbombardowanie Orleanu wyznaczyło koniec tamtego europejskiego konfliktu; jeśli nie wystarczył lęk przed kolejną brytyjską interwencją, to wola walki żołnierzy, zgromadzonych na równinach Loary, wyczerpała się podczas działań ratunkowych i zatruł ją smród Orleanu. Pamiętam widok pruskich kolumn, kiedy brudne, ucichłe i poważne formowały się, kierując się ku ojczyźnie, i wiedziałem, iż jedno pokolenie ma już dość wojny.

Edwardzie, przeżywam wielki wstrząs, widząc, że zbombardowanie Orleanu nazywa się ogromnym triumfem Brytanii. Zdecydował przypadek – bomby nie wycelowano w miasto – a jeśli interwencja spełniła tak wiele celów, była to jedynie sprawa straszliwego pokłosa, które zostawiła: hekatombę i grozy.

Wiosną 1871 roku, na kongresie w Tours, Francja i Prusy podpisały traktat pokojowy pod czujnym okiem Wielkiej Brytanii. Po niezwykle kosztownym ukróceniu ambicji Bismarcka, zmierzającego do zjednoczenia Niemiec, ten przebiegły i doświadczony dżentelmen był zmuszony walczyć o utrzymanie wpływów i władzy.

(Oczywiście z korzystnym dla siebie rezultatem). I tak Niemcy pozostają po dziś dzień zlepkiem państewek rządzonych przez rozliczne książątka, podczas gdy pruski orzeł tkwi spętany w kące. Taka sytuacja jest oczywiście wygodniejsza i korzystniejsza w oczach Brytyjczyków, niż powstanie wielkiego państwa niemieckiego, potęgi środkowoeuropejskiej.

Tymczasem we Francji nowy rząd tymczasowy Gambetty z radością powitał wsparcie brytyjskie podczas uspokajania Paryża, targanego nieustannymi zamieszkami. Gambetta skorzystał następnie ze wsparcia wybitnych brytyjskich parlamentarzystów przy tworzeniu konstytucji trzeciego cesarstwa. I tak francuski parlament – identyczny jak manchesterska matka wszystkich parlamentów świata – spotyka się codziennie w Paryżu i przez cztery dziesiątki lat zasady konstytucyjne wrodzone naszym brytyjskim metodom rządzenia państwem zakorzeniły się we wszystkich sferach francuskiego społeczeństwa.

Europa została zorganizowana tak, jak najuczciwszy i najbardziej skrupulatny – brytyjski – mąż stanu z lat sześćdziesiątych minionego wieku mógłby sobie tylko zażyczyć, a utrzymaniu tego porządku służą nasze garnizony, stacjonujące w tradycyjnie zapalnych punktach kontynentu: Belgii, Alzacji i Lotaryngii, Danii, a nawet na przedmieściach samego Berlina. Może nie wznieśliśmy normandzkich fortec, jak marzyli synowie Gaskonii, niemniej jednak udało się nam stworzyć brytyjską Europę.

A jakby nie wystarczała ta cała dominacja polityczna i militarna, cud technologii antylodowej nie przestaje zadziwiać świata. Sieć napowietrznych kolei sięga coraz dalej w głąb kontynentu, a łodzie powietrzne, zarówno pasażerskie jak i towarowe, tak wielkie, że zdolne połączyć kochanego, starego „Faetona”, wzbijają się codziennie ponad chmury, skracając czas podróży z Manchesteru do Moskwy do kilku marnych godzin. Transatmosferyczne powozy kursują między Ziemią i Księżycem i Królewskie Towarzystwo Geograficzne co roku raczy nas sprawozdaniami o najświeższych odkryciach, sięgających w głąb Krateru Travellera i między Febian, skalne zwierzęta.

I, oczywiście, w wyrzutniach ukrytych pod polami Kentu czekają bomby Gladstone’a, jedna na każde wielkie europejskie miasto.

Dziwna teraz wydaje się wiara Josiaha Travellera, którą głosił pod koniec życia, że wraz z wyczerpaniem zapasów antylodu na biegunie południowym ustanie eksploatacja tego surowca – na dobre czy złe... Cóż za ironia losu, że jego ostatni rozpaczliwy czyn wskazał ludzkości, gdzie ma wyciągnąć chciwe ręce po dalsze pokłady antylodu, przekraczające wszelkie wyobrażenia, tak bogate, że praktycznie niewyczerpane!

Kto by pomyślał, że Mały Księżyc składa się niemal wyłącznie z antylodu? Dla astronomów obserwujących eksplozję spowodowaną przez „Faetona” od razu było

jasne, że tak ogromny wybuch mogła wywołać tylko detonacja antylodu. Obecnie uczeni wiedzą, że Mały Księżyc to cząstka komety zniszczonej po wyłobieniu Krateru Travellera, która znalazła się na orbicie okołoziemskiej, kiedy już być może otarła się kilkakrotnie o atmosferyczny płaszcz naszej planety. Naukowcy uważają, iż wszystko to stało się w XVIII wieku, a przecież w tym okresie australijscy Aborygeni widzieli inny fragment komety sunący nad nimi ku Antarktyce.

Tak więc ogromne zasoby antylodu okrążają Ziemię, chronione przed roztopieniem i wybuchem szybką rotacją wokół swojej osi i periodycznie cieniem Ziemi.

Po tym jak Traveller nieuchronnie wskazał kierunek, resztki ziemskich zapasów antylodu posłużyły do napędzenia nowych „Faetonów”, które doleciały na Mały Księżyc i powróciły z cennymi naczyniami Dewara, pełnymi zamrożonego paliwa. I teraz każdy Europejczyk może obserwować iskierki na niebie, brytyjskie łodzie orbitalne, które w nieskończoność wspinają się ku Małemu Księżycowi i spadają z powrotem w bańkę powietrza, utrwalając naszą potęgę.

Biedny Traveller! Jakąż odrazą napęłniłby go ten widok. Często się zastanawiam, czy podczas tamtego ostatniego momentu, kiedy straszliwe światło przepalało aluminiowe ściany „Faetona”, zrozumiał implikacje swojego czynu. Modłę się, aby tak nie było; mam nadzieję, że jego wielki genialny mózg zasnął na długo przed zniszczeniem statku, nieświadom nieskuteczności samobójczego aktu...

Ale odbiegam od głównego wątku.

Edwardzie, powracam do tematu naszej rozmowy tamtego sobotniego wieczoru. Czy świat stał się lepszy, gdy dzięki anty-lodowi, naszemu przemysłowi i administracji narzuciliśmy mu Pax Britannica?

Muszę ze smutkiem odpowiedzieć: nie. Nawet dla nas samych, Brytyjczyków.

Wiem, że Twoje zainteresowanie polityką jest w najlepszym wypadku pobieżne, ale nawet Ty z pewnością śledziłeś ostatnie upiorne wydarzenia w ojczyźnie, takie jak strajki przeciwko nowym podatkom na żywność, narzuconym przez Balfoura – podatkom, które uderzają głównie w pozbawioną praw obywatelskich biedotę – i brutalne zdławienie tychże strajków przez oddziały Churchilla.

Anglia przez stulecia była wolna od podobnych zamieszek. Jak my, Brytyjczycy, z naszą umiejętnością dostosowania się i kompromisu, mogliśmy dopuścić do podobnych wydarzeń? Przecież historia wskazuje, że brytyjskim remedium na groźbę rozlewu krwi była gotowość do ustępstw. Może reforma parlamentu – w rodzaju realizacji nie spełnionych propozycji Disraelego z lat sześćdziesiątych minionego wieku – chociaż częściowo uspokoiłaby nastroje i rozładowała napięcia. Balfour mógłby zdecydować się na kompromis, podejmując niektóre pomysły tego

Walijczyka, Davida Lloyd George'a, który doradzał reformę podatkową wymierzoną w wielkich bogaczy i obszarników. Tak, Edwardzie, mam na myśli Lloyd George'a, wicherzyciela i niedawnego skazańca! Jesteś wstrząśnięty? No cóż, być może gdyby zaproszono takich ludzi do prac rządu, znaleziono by szczęśliwsze rozwiązania.

Lecz w dzisiejszej Brytanii nie ma miejsca na najmniejszą choćby ustępliwość. Edwardzie, to złowróżbny wpływ antylodu i nowych technologii dał bezmierną władzę przemysłowcom – kosztem innych, pozbawionych prawa głosu odłamów społeczeństwa. Zmieniliśmy się na gorsze i teraz -jak niegdyś przewidział pewien mój francuski znajomy – grozi nam niebezpieczeństwo, że sprzeczności, do których powstania sami się przyczyniliśmy, rozerwą nas na strzępy.

Nie oczekuję, że zgodzisz się z którymkolwiek z moich poglądów; liczę jedynie, że je uszanujesz.

Trudno także rzec, aby sytuacja poza naszymi granicami rysowała się różowo.

Weźmy na przykład Francję. Edwardzie, znam Francuzów. Czy przypuszczasz, że pogodzili się z narzuconymi im wzorcami parlamentarnymi? Powiadam Ci, są dla nich nie do przełknięcia, jak ja nie mogę przełknąć tych ich suchych, patykowatych bułek. Nie czas teraz na rozprawianie o zaletach i niedoskonałościach ustroju brytyjskiego. Chodzi mi tylko o to, że nie jest on francuski; czy nie powinniśmy więc pozwolić naszym galijskim kuzynom na dalsze poszukiwania remediów konstytucyjnych, które być może rozwiązałyby ich problemy zgodnie z narodowym charakterem i historią? Ale nie poszliśmy tym tropem; tak więc Francuzi marzą nadal o czasach chwały, rewolucji i ich wspaniałym Bonapartem.

Co do Prus, to ten stary chytry lis ksiązę Otto von Schön-hausen Bismarck wciąż rządzi berlińskim kurnikiem, mimo dziewięćdziesięciu pięciu lat. Nowy cesarz, Wilhelm II, to marionetka w pokrytych wątrobianymi plamami łapach Bismarcka.

Przez długi czas głośzono, że Bismarck, chociaż z musu, stał się przyjacielem Brytyjczyków. Wskazywano na wymianę handlową i kulturalną, która podczas ostatnich dziesięciu lat rozwinęła się między naszymi narodami.

Ale ostatnie wydarzenia – głównie interwencja Bismarcka w sprawę sukcesji austriackiej, jakże podobnej w charakterze do sprawy tronu Hiszpanii, która wywołała ostatnią wojnę z Francją – udowodniły ponad wszelką wątpliwość, że to ułuda.

Podczas ostatnich dekad Bismarck udowodnił, kim jest – oportunistą, krętaczem i przebiegłym politykiem. Dzięki całemu szeregowi podstępów, wybiegów i forteli utrzymał swoją pozycję w Prusach i Prus w Europie.

Bismarck to żaden przyjaciel Brytanii. Brytania uniemożliwiła mu osiągnięcie celu

życia: zjednoczenia Niemiec. Można by pomyśleć, że Bismarck odmawia pójścia do grobu, póki ten cel się nie ziści, a przynajmniej póki on sam nie uzyska pewności, że Manchester nie będzie interweniował.

Teraz jest gotów do uderzenia. I oczekujemy nowego telegramu z Ems, który sprowokuje zbrojny konflikt z Brytanią. Jaką pozycję zajmie Francja? Jeśli celem Prusaków jest wymazanie wpływów Brytanii z równin Europy, to szczytem naszych marzeń jest neutralność Francji. Nie zapominajmy o upiorze Orleanu... I w niczym nie pomaga nam fakt, że obecnym ministrem spraw zagranicznych Francji jest niejaki Frederic Bourne.

Z pewnością powiesz, że Bismarck jedynie targa lwa Brytanii za wąsy. Przecież nie zaryzykuje potopu antylodowego ognia na głowy swych rodaków.

Ja twierdzę, że jest gotów podjąć to ryzyko. Wierzę bowiem, że Bismarck dysponuje obecnie własną bronią antylodową, którą może się nam zrewanżować; choćbyśmy nie wiem jak strzegli naszych zapasów antylodu, nie mogły pozostać nietknięte przez dziesiątki lat. Broń Prusaków będzie równie potężna jak brytyjska – lub jeszcze potężniejsza, biorąc pod uwagę pruską pomysłowość w zakresie sztuki wojennej.

W takim razie jakiego wyniku można się spodziewać?

Podaję, że wyłoni się nowa równowaga sił; niepisany układ między dwoma państwami, Brytanią i Prusami, narzucający samoograniczenie każdej ze stron. Uzbrojone po zęby w pociski antylodowe będą wzdrygały się przed ich użyciem z obawy przed niszczącymi możliwościami przeciwniczki... Czy ta równowaga zagwarantuje pokój? Być może. Ale parlamenty Europy niełatwo zapomną ostatnie dziesięciolecie brytyjskiej hegemonii. Przypomnij sobie apel do Wspólnoty Narodów skierowany przez jego królewską mość u świtu tego wieku, w którym opisywał on przyszłość. Tysiące lat brytyjskiej władzy... cień naszej flagi padający na przyszłe stulecia – tego rodzaju bombastyczne tyrady tylko przybliżają powódzie nieszczęść, które czekają nas lub naszych potomków.

Edwardzie, lękam się, iż wojna jest nieuchronna. Zgorzkniali starcy rządzący Berlinem czy Paryżem nie mrugną nawet okiem na myśl o zniszczeniu swych narodów, gdyby miało to oznaczać starcie Brytanii z mapy Europy. I tak zwiedzeni próżnością, arogancją i samozadowoleniem stoimy w obliczu konfliktu strasznego niż wszystko, co człowiek widział do tej pory.

Modlę się, abyś pojął mój lęk i przerażenie. I, oczywiście, modlę się, abyśmy wszyscy przeżyli nadchodzące dni ciemności i w końcu połączyli się w słonecznym blasku lepszego i sprawiedliwszego świata.

Twój kochający i oddany ojciec,

1983

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/